



Kalkiettozomó

szlakai



2

Antologia

Rakietowe Szlaki 2

Spis treści

[Poul Anderson Eutopia](#)

[Barrington Bayley Rejs po promieniu](#)

[John Brunner Faktograf nr 6](#)

[Alan Dean Foster Polacy to ludzie łagodni](#)

[Ursula K. Le Guin](#)

[Stephen Robinett Piekłomiot 4](#)

[Bob Shaw Członek rzeczywisty](#)

[Clifford D. Simak Barak budowlany](#)

[Norman Spinard Coś pięknego](#)

[Theodore Sturgeon Powolna rzeźba](#)

[William Tenn Bernie Faust](#)

[Roger Zelazny Diabelski samochód](#)

Antologia

Rakietowe szlaki

B. W. Aldiss. Człowiek ze swoim czasem -jest

P. Anderson. Eutopia (Eutopia)

B. Bayley. Rejs po promieniu

J. Brunner. Faktograf 6

A. D. Foster. Polacy to ludzie łagodni

U. K. Le Guin. Rękopis na ziarenkach akacji

S. Robinett. Piekłomiot 4

B. Shaw. Członek rzeczywisty

C. D. Simok. Barak budowlany ...

N. Spinard. Coś pięknego

T. Sturgeon. Powolna rzeźba

W. Tenn. Bemie Faust

R. Żelazny. Diabelski samochód

Poul Anderson Eutopia

- Gif thit nafn!

Duńskie słowa buchnęły nagle z głośnika radia umieszczonego w samochodzie, zanim mógł je pochłonąć hałas śmigieł helikoptera, który zagłuszył odgłos motoru i opon. - Kim jesteś? - powtórzył głos. Jazon Philippou spojrzał ku niebu poprzez przezroczysty dach samochodu. Nad jego głową ciągnął się pas błękitu między dwoma poszarpanymi zielonymi ścianami świerkowego lasu rosnącego po obu stronach drogi. Promienie słońca odbijały się od ścian wojskowego helikoptera unoszącego się nad szosą.

Jazon poczuł, jak zimny pot gromadzi mu się pod pachami i ścieka wzdłuż żeber. Nie wolno mi wpaść w panikę, pomyślał odruchowo. Boże, dopomóż mi. Tym jednak, co przywoływał na pomoc, był własny wieloletni trening. Psychosomatyka: Opanuj symptomy, oddychaj równomiernie, każ zwolnić tętno, a usuniesz lęk przed śmiercią. Był młody, toteż miał wiele do stracenia. Ale filozofowie z Eutopii dobrze kształcili dzieci oddane ich opiece. Będiesz mężczyzną, a więc dojrzałym człowiekiem, mówili mu, istota człowieczeństwa zaś polega na niezależności od instynktów i odruchów. Jesteśmy wolni, ponieważ możemy zapanować nad sobą. I to jest nasz powód do dumy.

Nie mógł udać zwykłego obywatela Norlandii. (Nie, tu nazywano ich „mootmanomi”). Pomijając JUŻ wszystko inne, jego helleński akcent był zbyt wyraźny. Ale mógłby zwieść pilota helikoptera - choćby na kilka minut - udając, że jest przybyszem z jakiegoś Innego kraju tego świata. Pogrubiał głos, by choć częściowo zamaskować swą wymowę i zapytał ze stosowną wyniosłością:

- A ty kto jesteś? I czego chcesz?

- Jestem Runolf Einarsson, kapitan armii Ottara ThorkeIssona, Prawodawcy Norlandii. Ścigam kogoś, kto ściągnął wendetę na swą głowę. Podaj swe imię.

Runolf, pomyślał Jazon. Dobrze cię pamiętam. Smukły mężczyzna, którego ciemne włosy świadczyły o tym, że w jego żyłach płynie tyrkierska krew. Ale twoje błękitne oczy wskazują na to, że inni twoi przodkowie przybyli z Thule. Refleksja wewnętrznego obserwatora: Nie, mieszam różne znane mi historie. Ja bym nazwał autochtonów Erytrejczykami, a ty kraj swych europejskich przodków nazywasz Danarik.

- Zwą mnie Xipec. Jestem kupcem z Meyaco - odparł nie zwalniając. Dzięki szalonej całonocnej jeździe po ucieczce z zamku Prawodawcy już tylko niewiele stadiów dzieliło go od granicy. Nie miał wielkiej nadziei, że uda mu się dotrzeć aż tak daleko, ale każdy obrót kół przybliżał ratunek. Drzewa tylko migotały po obu stronach pędzącego wozu.

- Jeśli jest tak, jak mówisz, to muszę prosić się o wybaczenie, że cię zatrzymałem - głos Runolfa zatrzeszczał w odbiorniku. - Zwróć się do Prawodawcy, a możesz być pewien, że szybko otrzymasz odszkodowanie za naruszenie twych praw. Ale teraz zatrzymaj się i wysiądź z wozu, żebym mógł zobaczyć twój twarz.

- Ale właściwie o co chodzi? - Jeszcze kilka sekund zwłoki.

- Mieliśmy w Ernvik pewnego gościa ze Starej Ziemi. (Z Europy - pomyślał automatycznie Jazon). Ottar Thorkelsson podejmował go niezwykle serdecznie, a ten nędznik dopuścił się postępuku, który tylko śmierć może zmasać. I zamiast przyjąć wyzwanie Ottara, skradł samochód - tej samej marki co twój - i uciekł.

- Czy nie wystarczyłoby nazwać go wobec całego ludu nicponiem? (A jednak czegoś się nauczyłem z ich barbarzyńskich obyczajów...)

- Dziwne słowa jak na Meyakańczyka! Natychmiast zatrzymaj się i wysiadaj, bo w przeciwnym

razie otworzę ogień!

Jazon uzmysłowił sobie, że zaciska zęby aż do bólu. Na Hades! Któż byłby w stanie zapamiętać obyczaje panujące w setkach małych państweczek, na który podzielony był cały kontynent? Westfalia stanowiła jeszcze bardziej fantastyczną mozaikę niż cała Ziemia w tej jej historii, w której kontynent ten nazywano Ameryką. - Dobra -

pomyśl! - teraz będę miał okazję przekonać się, jakie mam szansę raz jeszcze powrócić do niej jako do Eutopii...

- Bardzo dobrze - powiedział. - Nie mam wyboru. Ale możesz być pewien, że zażądam rekompensaty za obrazę.

Hamował najwolniej, jak tylko mógł. Droga wiała się przed nim niby twarda czarna wstążka rozdzielająca ogromne włosy drzew. Nie miał pojęcia, czy kiedykolwiek je wycinano. Być może wtedy, kiedy biali ludzie po raz pierwszy przepłynęli przez Pentalimne (czyli Pięć Jezior, jak je nazwano w jego dziejach), by założyć miasto Ernvik, gdzie Duluth znajdowało się w Ameryce, a Lykopiis w Eutopii. W tamtych czasach Norlandia rozciągała się daleko poza krainę jezior. Ale później doszło do wojen z Dakotami i Madziarami, które zmniejszyły jej obszar. A rozwój handlu - w ostatnim okresie był to handel syntetykami - pozwolił mieszkańcom kraju wykorzystywać jego głębiej położone rejony jako tereny myśliwskie. (Polowania były ich prawdziwą, namiętnością). Po trzystu latach prastary las powrócił do swych praw.

Przed oczami stanął mu jak żywy obraz tych stron takich, jak przedstawiały się w jego historii. Oaje i ogrody, wioski, które zbudowano z myślą o ich urodzie, gibkie brązowe ciała w gimnazjonach, muzyka w świetle księżyca... Nawet straszna Ameryka wydawała się bardziej ludzka od tej puszczy.

Ale był to tylko obraz, obraz rzeczywistości zagubionej w wielorakich wymiarach czasoprzestrzeni. Tu był sam, a nad jego głową krążyła śmierć, i przestań litować się nad sobą, ty idioto! Oszczędzaj energię, jeśli chcesz przeżyć...

Wóz zahamował gwałtownie, tuż na skraju drogi. Jazon napiął mięśnie, otworzył drzwiczki i wyskoczył.

To, co usłyszał w głośniku radia za swymi piecami, musiało być przekleństwem. Helikopter zatoczył łuk i niby jastrząb rzucił się w dół. Kule posypały się jak grad.

Ale Jazon był już między drzewami. Ich gałęzie osłoniły go niby dach, przez który tu i ówdzie przebijały promienie słońca. Pnie drzew stały całe w swej męskiej krasie. Kobiety mogłyby pozazdrościć im zapachu... Opadłe igły sosen pokrywające ziemię tłumity uderzenia jego stóp, skądś dobiegł go głos drozda, lekki wiatr chłodził mu policzki. Jazon rzucił się na ziemię, w cień najbliższej sosny i leżał dysząc ciężko, a gwałtowne bicie jego serca niemal zagłuszał złowieszczy ryk helikoptera.

Po chwili helikopter zniknął gdzieś w oddali. Runolf musiał wrócić do swego pana. Ottar wyruszył w pogoń końmi i weźmie ze sobą psy, bo tylko tak będzie mógł schwytać zbiega. Ale Jazon miał porę godzin wytchnienia.

A potem... przywołał na pomoc swój trening, usiadł i zaczął myśleć. Jeśli Sokrates, czując chłód cykuty podchodzący mu pod serce, potrafił mówić o mądrości do młodzieńców ateńskich, to Jazona Philippou stać w trudnej chwili przynajmniej na ocenę własnych szans. A poza tym widmo śmierci oddaliło się na pewien czas.

Nie uciekł z Ernviku tak, jak stał. Miał ze sobą pistolet miejscowej produkcji i kompas, pełna kieszeń złotych i srebrnych monet, a na sobie płaszcz, który mógł służyć jako koc, oraz kurtkę, spodnie i buty, składające się na strój noszony w środkowej Westfalii. A wreszcie dysponował także najważniejszym narzędziem - sobą samym. Był mężczyzną wysokim i mocno zbudowanym - o jasnych

włosach i niedużym nosie, który odziedziczył po swych gallickich przodkach - a za mistrzów miał ludzi, którzy zdobywali laury na niejednej olimpiadzie. Ale jeszcze większe znaczenie miał jego umysł i cały system nerwowy. Zasady logiki i semantyki, jakie wpoili weń pedagogzy i Eutopii, stały się dla jego umysłu czymś tak naturalnym, jak oddychanie dla jego ciała. Pamięć miał wyćwiczona tak, że nie potrzebował brać ze sobą mapy. Toteż mimo, że dopuścił się katastrofalnego błędu, wiedział, iż jego umysł S jego ciało poradzą sobie nawet z najbardziej egzotycznymi przejawami ducha ludzkiego.

A przede wszystkim - tak - miał powód, by żyć. Było to coś więcej niż ślepa pragnienie zachowania siebie samego. Było to coś, co pojawiała się już w pierwszej cząsteczce DNA, kiedy zapragnęła dać początek innym cząsteczkom. Miał kogoś, kogo kochał i do kogo chciał powrócić. Miał swój kraj, Eutopię, Dobrą Ziemię, którą jego lud powołał do istnienia przed dwoma tysiącami lat na nowym kontynencie, zostawiając za sobą nienawiści i okropności Europy, zabierając zaś dzieła Arystotelesa i stanowiąc w końcu w swych syntagma, że: „Celem narodu jest osiągnięcie powszechnej harmonii”.

Jazon Philippou wracał do ojczyzny.

Wstał i ruszył na południe.

Było to w tetradę, dzień, który jego prześladowcy zwali onsdag. W jakiejś półtorej doby potem, o zachodzie słońca w dniu zwanym thorsdag, (ciągle jeszcze) przedzierał się przez las staniając się na nogach, z ustami pełnymi piasku i brzuchem przyrośniętym do krzyża. Szedł z drżącymi kolanami i opędzał się od rojów much, które przyciągał pot wysychający na jego skórze. Za sobą słyszał dalekie poszczekiwanie gończych psów.

Dźwięk rogu, niby długie metaliczne warknięcia, doleciał go poprzez arkady liści. Byli już na jego śladzie, a nie mógł przecież być szybszy od ścigających go jeźdźców. Nigdy już nie zobaczy gwiazd.

Jego ręka odruchowo sięgnęła po broń. Przynajmniej kilku z nich zabiorę ze sobą... Nie. Był przecież Hellenem, który nikogo nie zabijał bez powodu, nawet barbarzyńców, którzy chcieli pozbawić go życia tylko dlatego, że naruszył jedno z ich tabu. Stanę pod gołym niebem, wezmę w siebie ich kule i zstąpię w ciemność pamiętając o Eutopii, wszystkich moich przyjaciółach, a przede wszystkim o Niki, mojej miłości...

Niejasno uzmysłowił sobie, że wyszedł już z sosnowego lasu i kroczy właśnie przez brzozy zagajnik. Światło złociło liście drzew i pieściło ich wysmukłe, białe pnie. Gdzieś z przodu doszedł go warkot motoru.

Stanął. Teraz dopiero poczuł, jak bliski jest kompletnego wycieńczenia. Na szczęście jednak jego organizm dysponował rezerwami, do których w pełni zintegrowany człowiek mógł jeszcze sięgnąć. Usunął ze świadomości dalekie poszczekiwanie psów, wszelki ból i wyczerpanie. Zaczął oddychać rytmicznie, koncentrując się na czystości i świeżości wciąganego do płuc powietrza i wyobrażając sobie atomy tlenu docierające do każdej komórki jego ciała. Uciszył gwałtowne bicie serca i nadał mu powolny, głęboki rytm; przez chwilę napinał i rozluźniał mięśnie, aż doprowadził je do normalnego funkcjonowania. Ból, który przenikał uprzednio całe ciało, ucichł, a rozpacz zzerająca duszę ustąpiła miejsca spokojowi i chłodnej rozwadze. Przed nim w kierunku południowym rozciągały się ziemie uprawne: fale wiatru przetaczały się przez młode zboże połyskujące złotawo w blasku zachodzącego słońca. Nieopodal widniała grupa zabudowań samotnej farmy; były to długie i niskie budynki o spiczastych dachach. Z kominów dym wznosił się ku niebu. Jednakże wzrok Jazona pobiegł najpierw ku mężczyźnie, który siedział na siodelku traktora pracującego w polu. Chociaż w tym świecie znano już dielektryczny motor, to jednak na północy nie wszedł on jeszcze w użycie; dlatego Jazon nie zdziwił się, kiedy poczuł ostrą woń spalin, i pomyśleć, że uważa ją za jedną z

największych obrzydliwości, jakie spotkał w Ameryce! (Ten chlew, który oni nazywali Los Angeles!) Teraz woń ta wydała mu się czysta i mocna; była wysłanniczką nadziei.

Kierowca traktora ujrzał go, zatrzymał swój pojazd i sięgnął po przytroczoną z boku strzelbę. Jazon podszedł bliżej podnosząc ręce i ukazując puste dłonie, aby przekonać go o swych pokojowych zamiarach. Kierowca wyraźnie przyjął to z ulgą. Był to typowy Węgier: tęgi i krzepki, o wystających kościach policzkowych, z trefioną brodą, w barwnie wyszywanym stroju. A więc już przeszedłem granicę! - pomyślał Jazon z radością. Uciekłem z Norlandii i oto jestem w województwie Dakoty!

Zanim go tu przystano, antropologowie z Instytutu Badań Parachronicznych oczywiście wpoili mu - na drodze elektrochemicznej - znajomość głównych języków Westfalii. Szkoda tylko, że nie przyłożyli się bardziej do nauczania go tutejszych obyczajów...) Ale z drugiej strony zbyt szybko przenoszono go na tę placówkę po przypadkowej śmierci Megasthenesa. Przypuszczano również, że doświadczenie, jakie zdobył w Ameryce, dawało mu szczególne kwalifikacje do zajęcia się tą wersją historii, która także była wersją niealeksandryjską. I oczywiście, misje takie, jak ta, miały jedynie na celu poznanie, jak dalece społeczeństwa żyjące na różnych Ziemiach różniły się między sobą. Uralskoaltajskie słowa bez trudu spłynęły mu z warg:

- Bądź pozdrowiony! Przybywam tu jako błagalnik...

Farmer siedział spokojnie, ale napięcie nie schodziło z jego twarzy. Spoglądał w do! na Jazona. I nasłuchiwał głosu psów dobiegających z oddali. Broń trzymał gotowa do strzału. - Jesteś człowiekiem wyjętym spod prawa? - zapyta).

- Nie w tym kraju, ispanie. (Jeszcze jedno określenie „obywatela”!) Jestem spokojnym kupcem ze Starej Ziemi przybyłym do Prawodawcy Oftrara Thorkelssona, do Emvik. Ale - nie wiem, z jakich przyczyn - jego gniew spadł na mnie; i to gniew tak wielki, że Ottar złamał prawo świętej gościnności i sięgnął po moje życie, życie swojego gościa. Oto jego siepacze są na moim śladzie. Słyszysz głos ich psów.

- Norlandczycy? Przecież tu jest już Dakota! Jazon skinął potakująco głową. Uśmiechnął się ukazując zęby, które błysnęły bielą z brudnej i nie ogolonej twarzy. - Słusznie. Wtargnęli na twoją ziemię nie zapytawszy o pozwolenie. Jeśli pozostaniesz bezczynny, dotrą aż tu i zabiją mnie - tego, który prosi cię o pomoc.

Farmer podniósł swą broń. - Skąd mam wiedzieć, że mówisz prawdę?

- Zabierz mnie do Wojewody - powiedział Jazon. - W ten sposób zachowasz zarówno prawo, jak i swój honor. - Bardzo ostrożnie wyjął pistolet z kabury i podał go farmerowi. - Będę na wieki twoim dłużnikiem.

Niewiara, lęk i gniew kolejno dawały się zauważyć na twarzy traktorzysty. Nie wziął podawanej mu broni. Jazon czekał. Jeśli dobrze wyczuwam to, co się w nim dzieje, to zdobyłem kilka godzin życia. Może nawet więcej. Ale to już będzie zależało od Wojewody. Moją jedyną szansą jest umiejętność wykorzystania ich barbarzyństwa - ich rozbicia na małe państewka, ich zwariowanego pojęcia honoru, ich fetysza własności i siebiepaństwa - po to, by zrobić z nimi, co zechcę.

A jeśli poniosę klęskę, to umrę jak człowiek cywilizowany. Tego mnie nie pozbawią.

- Psy cię już zwietrzyły. Będą tu, zanim zdążymy uciec - powiedział Węgier z niepokojem.

Ulgą, którą Jazon poczuł, przypawiła go o zawrót głowy. Pokonał go z największym wysiłkiem i powiedział: - Możemy im zrobić niespodziankę... Daj mi trochę benzyny.

- Aehal W ten sposób! Farmer zachichotał i zeskoczył z traktora. - Dobry pomysł, cudzodziemcze. A poza tym - to ja ci dziękuję. Ostatnio było tu już zbyt nudno.

Na traktorze miał zapasową bańkę z benzyną. Na sporym odcinku drogi cofnęli się śladem Jazona, obficie polewając ziemię i drzewa w lesie. Jeśli to nie powstrzyma sfory - pomyślał Jazon - to nic

jej nie powstrzyma.

- A teraz, szybko! Wracamy do domu!

Węgier pierwszy ruszył przodem.

Jego farma z trzech stron otaczała otwarty podwórzec. Ze stodoł dochodził słodki zapach siana i domowych zwierząt. Z domu wybiegło kilkoro dzieci i z otwartymi ustami wpatrzyło się w przybysza. Żona farmera zapędziła je z powrotem do domu, wzięła strzelbę męża i stanęła na straży u drzwi, nie zmieniając wyrazu twarzy.

Dom był solidny, obszerny i mógł się podobać, jeśli nie miało się nic przeciwko skomplikowanym, bogatym wzorom obić pokrywających ściany i kolorowym kolumnom. Nad kominkiem, w niszy, widniał ołtarz rodzinny. Chociaż większość mieszkańców Westfalii dawno już zostawiła za sobą wiarę w mity swych przodków, to jednak chłopci w dalszym ciągu zdawali się czcić Troistego Boga OdinaAttilęManitou. Farmer podszedł do radia najnowszej konstrukcji. - Sam nie mam helikoptera - powiedział - ale mogę poprosić o przystanie...

Jazon usiadł i zaczął czekać. Po chwili podeszła do niego młoda dziewczyna i nieśmiało podała mu puchar napełniony piwem i razowiec z kawałkiem sera. - Bądź naszym świętym gościem - powiedziała.

- Oddam za was moją krew - odparł Jazon bez namysłu. Z trudem udało mu się spożyć posiłek nie pożerając go jak zwierzę.

Kończył jeść, kiedy wrócił farmer. - Jeszcze kilka minut - powiedział. - Acha. Jestem Arpad, syn Kolomana.

- Jazon Philippou. - Podanie fałszywego imienia wydało mu się rzeczą niewłaściwą. Ręka farmera, którą uściśnął, była mocna i ciepła.

- Dlaczego doszło do sporu między tobą a starym Ottarem? - zapytał Arpad.

Wciągnęto mnie w zasadzkę - powiedział Jazon z goryczą. Ponieważ zobaczyłem, jak swobodne są ich kobie' ty...

- Istotnie. To rozpustny pomiot te Danskarki. Są niemal tak samo bezwstydne, jak Tyrkerki, - Arpad zdjął z półki fajkę i woreczek z tytoniem. - Zapalisz?

- Nie, dziękuję. (My w Eutopii nie ponizamy się używaniem narkotyków).

Ujadanie psów przybliżyło się, by po chwili przejść w żalosne zawrodożenie. Psy zgubiły trop. Odezwał się głos rogów. Arpad nabijał swą fajkę z takim spokojem, jakby znajdował się na przedstawieniu. - Jakże muszą kłąć! - wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Przyznać muszę, że Danskarowie to prawdziwi poeci, zwłaszcza jeśli chodzi o przekleństwa, I, oczywiście, dzielni ludzie. Byłem w ich kraju jakieś dziesięć lat temu, kiedy była u nich wielka powódź, a Wojewoda Bela posłał im pomoc. Śmiali się ze strat i zniszczeń. A w czasie dawnych wojen nieźle dali się nam we znaki!

- Myślisz, że dojdzie jeszcze do wojen w Westfalii? - spytał Jazon. Chciał przede wszystkim uniknąć rozmowy na swój temat. Nie wiedział, co jego gospodarz zrobiłby, gdyby dowiedział się o przyczynach, które kazały mu szukać schronienia w Dakocie.

- Nie. Nie w Westfalii. Za dużo tu mamy do zrobienia. Jeśli młodej krwi nie ostudzą pojedynki, to zawsze można zostać najemnikiem u barbarzyńców, którzy prowadzą swe wojny za morzami. Albo polecieć na inne planety. Mój najstarszy chłopak właśnie się wybiera w kosmos.

Jazon przypomniał sobie, że kilka państw, położonych bardziej na południe, połączyło swe zasoby i wysiłki i podjęło już pierwsze wyprawy poza Ziemię. Ich technologia osiągnęła ten sam poziom rozwoju, co technologia amerykańska, a ponieważ nie musiały finansować ani wielkiej maszyny obronnej, ani rozbudowanego systemu świadczeń społecznych, przeto udało się im już

założyć bazę na Księżycu i wysłać kilka ekspedycji na Aresa. Z czasem - pomyślał - uda się im także to, co Hellenom udało się już przed tysiącem lat: zmienić Afrodytę w Nową Ziemię. Ale czy wtedy będą już mieli prawdziwą cywilizację? Czy będą racjonalnymi ludźmi, żyjącymi w racjonalnie zaplanowanym społeczeństwie? Bardzo w to wątpił.

Arpad wstał, kiedy usłyszeli ryk motoru za oknem. - To twój helikopter - powiedział. - Pośpiesz się. Czerwony Koń zabierze cię do Yarady.

- Danskarowie wkrótce tu będą - odezwał się Jazon z troską w głosie.

- Niech tam! - Arpad wzruszył ramionami. - Zaalarmuję sąsiadów, a Danskarowie nie są tak głupi, żeby nie domyślić się, że to zrobię. Powymyślamy sobie nawzajem - już słyszę ten turniej wyzwisk - a potem każę im wynosić się z mojej ziemi. Żegnaj, gościu!

- Chciałbym... chciałbym móc ci się jakoś odwdziżyć...

- Phil Nie ma o czym mówić. Miałem trochę zabawy... A poza tym szansę pokazania moim synom, jak postępuje prawdziwy mężczyzna.

Jazon wyszedł na zewnątrz. Helikopter - grawityki tu jeszcze nie znano - pilotował małomówny młody autochton. Przedstawił się jako miejscowy hodowca bydła i dodał, że przewiezienie obcego do stolicy traktował nie tyle jako przysługę dla Arpada, co jako odpowiedź na bezczelność Noria ndczyków, którzy wtargnęli na terytorium Dakoty. To było wszystko, co powiedział, i Jazon odetchnął z ulgą, kiedy okazało się, że nie musi podtrzymywać rozmowy.

Maszyna wzbiła się w powietrze. W drodze (lecieli na południe) widział wioski budowane u rozstajnych dróg, tu i ówdzie dwór jakiegoś magnata, przede wszystkim jednak ogromne falujące równiny. Przyrost naturalny w Westfalii był - podobnie jak w Eutopii - ściśle kontrolowany. Tu jednak - myślał Jazon - kontrolowano go nie dlatego, by zapewnić ludziom wystarczającą przestrzeń do życia i czyste powietrze do oddychania. Tu kontrolę narodzin traktowano jako narzędzie ekonomicznej polityki rodzinnej, służyła ona po prostu chciwości. Ojcowie nie chcieli dzielić swej własności między wiele dzieci.

Słońce zaszło i bliski pełni księżyc, wielki, koloru dyni, wspiął się na wschodnią krawędź świata. Jazon usiadł wygodnie, czując w kościach każde drgnięcie maszyny, niemal smakując swe zmęczenie, i objął wzrokiem towarzysza Ziemi. Nic nie wskazywało na to, że znajduje się tam ludzka baza. Zdąży wrócić do domu, zanim w tej historii na Księżycu rozbłyszczą światła miast.

Ale dom znajdował się nieskończenie daleko. Mógłby udać się na najdalszą z tych gwiazd, które zaczęły się teraz zapalać na tle purpurowego brzasku - gdyby można było przekroczyć szybkość światła - i nie znalazłby Eutopii. Dzielili ją od niego całe wymiary i los. Tylko linie sił parachronionu mogły przewieźć go przez rzekę czasu i przywrócić go rodzinnym brzegom.

Dlaczego świat jest taki, jaki jest? Była to pusta spekulacja, ale jego zmęczony umysł znajdował ulgę w roztrząsaniu tego infantylnego pytania. Dlaczego Bóg zechciał, by czas rozgałęział się na wiele odnóg, niby ogromne, cieniste drzewo wszechświatów, Yggdrasil z dankarskich legend? Czy po to, by człowiek mógł urzeczywistnić każdą ze swych potencjalnych możliwości?

Na pewno nie. Przecież tak wiele z nich było możliwościami absolutnie przerażającymi...

Przypuśćmy, że Aleksander Zdobywca nie wyzdrowiał z gorączki, która chwyciła go w Babilonie. Przypuśćmy, że - inaczej niż w naszym świecie, gdzie jakby przez nią oczyszczony, resztę swego długiego życia poświęcił umacnianiu fundamentów swego imperium - przypuśćmy, że umarł.

Ale tak rzeczywiście się zdarzyło i to nie w jednej historii. Potem imperium rozpadło się wskutek wojen o sukcesję. Rozwój Hellady i Orientu poszedł różnymi drogami. Rodząca się nauka zdegenerowała się w metafizykę, a w końcu nawet w mistycyzm. Osłabiony świat Śródziemnomorza opanowali stopniowo Rzymianie: chłodny, okrutny i nietwórczy lud, roszczący sobie pretensję do

dziedzictwa po Helladzie nawet wtedy, kiedy niszczył Korynt. Potem pewien heretycki prorok żydowski założył misteryjny kult i znalazł zwolenników w całym ówczesnym świecie, bo rozpacz przenikała życie ludzkie. Był to kult, który nie znał słowa „tolerancja”. Jego kapłani negowali wszystkie z przelicznych dróg, na których można dojść do Boga; wszystkie - z wyjątkiem własnej. Wycinali święte gaje, usuwali z domów ich skromne bóstwa i mordowali ostatnich ludzi o wolnych umysłach.

- O tak - myślał Jazon - z czasem utracili wpływy i znaczenie. Dzięki temu mogła powstać nauka - prawie dwa tysiące lat później niż u nas. Ale ich trucizna pozostała: przekonanie, że człowiek musi przystosować się nie tylko do panujących form zachowania, ale także do panujących wierzeń i przekonań. W Ameryce nazywają to totalitaryzmem, i dlatego właśnie doszło do ohydnej wylęgu: do powstania broni atomowej.

Nienawidzę tamtej historii - jej brudu, jej marnotrawstwa, Jej brzydoty, jej ograniczeń, jej hipokryzji, jej obłędu. Nigdy nie będę miał do czynienia z trudniejszym zadaniem, niż miałem wtedy, kiedy musiałem udawać Amerykanina, by zobaczyć niejako od wewnątrz, co ci ludzie sami myślą o sobie. Ale dziś... Żai mi cię, biedny, zgwałcony świecie, i nie wiem, czy życzyć ci, byś jak najszybciej unicestwił sam siebie, czy też mieć nadzieję, że kiedyś twoi następcy wywalczą sobie to, co my osiągnęliśmy przed wiekami.

Ten świat miał więcej szczęścia, muszę to przyznać. Chrzęści Jaństwo znalazło swój kres pod naporem Arabów, wikingów i Węgrów. Później Imperium Muzułmańskie rozpadło się wskutek wojen domowych i europejscy barbarzyńcy znaleźli świat otwartym. Kiedy tysiąc lat temu przekroczyli Atlantyk, nie mieli dość siły, by dopuścić się ludobójstwa na tubylcach, toteż musieli się z nimi jakoś porozumieć. Nie mieli wtedy przemysłu, nie mogli więc zniszczyć całej hemisfery. Dlatego też z konieczności wrastali w ten kraj powoli, biorąc go w posiadanie tak, jak mężczyzna bierze swą ukochaną.

Ale te ogromne ciemne lasy, ponure równiny, nie zaludnione pustynie i góry, z biegającymi po nich kozicami... Atmosfera tego kraju przeniknęła w ich duszę. Toteż w swoich sercach zawsze będą dzikusami.

Westchnął, usadowił się wygodniej i zmusił się do zaśnięcia, każdy z jego snów miał no imię Niki. Gdzie wodospad zaznaczył kres nawigacji na tej wielkiej rzece znanej już to jako Zeus, już to jako Missisipi, już to jako Długa Rzeka, lud zasadniczo rolniczy, który nie rozwinął transportu powietrznego w takim stopniu, jak stało się to w Eupatii, musiał zbudować miasto. Handel i aktywność militarna pociągnęły za sobą powstanie określonego systemu politycznego, sztuki, nauki, pedagogiki. Władze liczyły około stu tysięcy mieszkańców - w Westfalii nie przeprowadzano spisów ludności - których domy o oknach wychodzących jedynie na wewnętrzne podwórca otaczały wieże zamku Wojewody. Zaraz po obudzeniu Jazon wyszedł na balkon, skąd przysłuchiwał się dalekim odgłosom ruchu ulicznego. Baniaste dachy domów przypominały bunkry obronnych fortów. Pytanie - pomyślał - czy pokój oparty na równowadze sił między tymi państewkami może się utrzymać?

Ale poranek, był zbyt orzeźwiający i słoneczny, by oddawać się takim rozmyśleniom. Był tu już bezpieczny; umył się i wypoczął. Niewiele z nim rozmawiano po przybyciu. Widząc stan, w jakim znajdował się uciekinier, który prosił go o azyl, syn Beli Zsolta kazał dać mu posiłek i posłał go do łóżka.

Niedługo będziemy rozmawiać - myślał Jazon - i wtedy będę musiał zachować najwyższą ostrożność, jeśli chcę żyć. Ale czuł się już tak silny i zdrowy, że nie musiał nawet tłumić niepokoju.

Za jego plecami rozległ się dzwonek. Jazon wrócił do pokoju; było to pomieszczenie duże i zaopatrzone w dobrą wentylację, ale ozdobne ponad wszelką przesadę. Przypomniał sobie, że

miejscowy obyczaj potępiał nagość, toteż narzucił szatę, lekko wzdrygając się na widok pokrywających ją wzorów. - Proszę wejść - zawołał po węgiersku.

Drzwi otworzyły się i do pokoju weszła młoda kobieta pchając przed sobą wózek ze śniadaniem. - Życzę ci dobrego dnia, gościu - powiedziała z obcym akcentem. Była Tyrkerką i nawet ubrana była w tyrkerski narodowy strój obszyty paciorkami i licznymi frędzelkami. - Czy dobrze spałeś?

- Jak Kojot po zabawie - odparł śmiejąc się.

Uśmiechnęła się, widocznie zadowolona z aluzji, i zaczęła zastawiać stół. Razem usiedli do jedzenia, goście bowiem nie jadali samotnie. Dziczyszna wydała mu się dość ciężką potrawą jak na tak wczesną porę dnia, ale kawa była niezwykle smaczna, a dziewczyna była czarującą towarzyszką. Pracowała tu jako pokojówka i część zaro-

bionych piars^dzy odkładała na posag, jaki miała wnieść swemu przyszłemu mężowi w kraju Czerokezów.

- Czy Wojewoda zechce mnie przyjąć? - zapytał Jazon, kiedy śniadanie zbHżało się już do końca.

- Oczekuje *clq* i nie wątpi, że rozmowa z tobą sprawi mu przyjemność. Zatrzepotała rzęsami. - Ale nie ma pośpiechu... Zaczęła odpinać pasek u sukni,

Tak hojna gościnność musiała być skutkiem zdominowania surowych obyczajów węgierskich przez swobodne obyczaje danskarskie i jeszcze swobodniejsze - tyrkerskie. Jazon miał przez chwilę wrażenie, że znalazł się w swej ojczyźnie, w świecie, gdzie ludzie szukali rozkoszy w sobie jak uznawali za stosowne. Milcząca propozycja była także pokusą: Tyrkerką miała szerokie, gładkie brwi jak Niki... Wysiłkiem woli odrzucił jednak pokusę. Miał niewiele czasu. Był w pułapce, jeżeli nie uda mu się ustalić swej pozycji, zanim Ottar pomyśli o zawiadomieniu Beli.

Pochylił się nad stołem i pocieszająco pogładził małą dłoń dziewczyny. - Dziękuję ci, miła - powiedział - ale złożyłem komuś ślubowanie.

Jego reakcję przyjęła równie naturalnie, jak wystąpiła ze swą propozycją. Ten świat mimo, że miał sposoby, by się zjednoczyć, wolał pozostać mozaiką różnych kultur. Poczucie obcości wróciło doń na chwilę, kiedy spoglądał za dziewczyną opuszczającą pokój. Ujrzał bowiem jedynie błysk swobody. Życie w Westfalii pozostawało labiryntem tradycji, obyczajów, praw i przelicznych tabu.

Co też niemal przypłaciłem życiem, pomyślał, i jeszcze mogę przepłacić. Pospieszmy się więc.

Narzucił na siebie strój, który dlań przygotowano, i wybiegł z pokoju. Zszedłszy schodami w dół, znalazł się w długim kamiennym hallu. Tu jakiś sługa pałacowy skierował go do pomieszczeń zajmowanych przez Wojewodę. Przed drzwiami kilkoro ludzi czekało ze swymi skargami i sprawami, które chcieli poddać pod sąd władcy. Jednakże kiedy tylko Jazon kazał zaanonsować swą obecność, natychmiast został wpuszczony poza kolejnością.

Pokój, do którego wszedł, należał niewątpliwie do najstarszej części pałacu. Popękane od starości drewniane kolumny, pokryte groteskowymi rzeźbami bogów i herosów, podtrzymywały niski dach. Z paleniska na podłodze unosił się dym ku otworowi w dachu; niestety, jego część pozostawała w pomieszczeniu, toteż Jazon szybko poczuł palenie w oczach. Z łatwością mogli dać swemu władcy jakieś nowoczesne pomieszczenie - pomyślał - ale oczywiście nie mogli tego zrobić, bo skoro jego przodkowie urzędowali właśnie w tej budzie, to i on musiał robić to samo...

Światło przenikające przez wąskie okna oświetlało pomarszczoną twarz Beli i rozplątywało się w cieniu. Wojewoda był przysadzistym i siwowłosym starcem. Rysy jego twarzy zdradzały poważną przymieszkę chromosomów tyrkerskich. Zasiadał na drewnianym tronie, owinięty kocem, z głową przyozdobioną rogami i piórami. W lewym ręku dzierżył berło ozdobione końskim ogonem, a na jego kolanach leżała obnażona szabla.

- Witaj, Jazonie Philippou - powiedział z powagą. Ręka wskazał Jazonowi krzesło. - Siądź,

proszę.

- Dzięki ci, mój panie. Eutopiańczyk z trudem zmusił się do wypowiedzenia poniżającego tytułu.

W jego historii nie tytułowano nikogo.

- Czy gotów jesteś mówić prawdę?

- Tak.

- Dobrze. - Wojewoda nagle porzucił oficjalną pozę, założył nogę na nogę i spod okrywającego go koca wyciągnął cygaro. - Palisz? Nie? No, ale ja zapalę. - Uśmiech przemknął przez jego pomarszczoną twarz. - Jesteś cudzoziemcem, nie muszę więc ciągnąć dalej tej cholernej ceremonii.

Jazon zaryzykował ten sam ton. - Będzie to ulgą i dla mnie. Nie wiecie mamy ceremonii w Republice Peloponezu.

- To twoja ojczyzna, co? Słyszę, że nie najlepiej wam się wiedzie.

- W istocie. Moja ojczyzna podupada. Wiemy, że przyszłość należy do Westfalii, toteż tu kierujemy nasz wzrok.

- Powiedziałeś wczoraj, że przybyłeś do Norlandii jako kupiec.

- Tak. Przybyłem, by zawrzeć umowę handlową. - Jazon starał się nie kłamać - o ile było to w ogóle możliwe. Nie można innym historiom zdradzić faktu, że Hellenowie wynaleźli parachronion. Nie tylko zmieniłoby to układy historyczne, które były przedmiotem badań; co więcej, dać poznać ludziom, że inni ludzie osiągnęli stan doskonałości, byłoby zbyt wielkim okrucieństwem. - Mój kraj dokonuje wielkich zakupów drewna i futer.

- Acha. Tak więc Ottar zaprosił cię do siebie. To rozumiem. Nieczęsto widzujemy ludzi ze Starej Ojczyzny. Ale pewnego dnia zopragnął twojej krwi. Dlaczego?

Jazon mógł uniknąć konieczności odpowiedzi zasłaniając się przystugującym mu prawem do zachowania w tajemnicy spraw prywatnych. Ale taka skrytość zrobiłaby złe wrażenie. A kłamstwo było niebezpieczne: przed tronem Wojewody trzeba było zeznawać pod przysięgą. - Niewątpliwie, w pewnym stopniu była to moja wina - powiedział. - Ktoś z rodziny Ottara - osoba niemal dorosła zresztą - przywiązała się do mnie i... No, moja żona została na Peloponezie... A poza tym wszyscy mnie zapewniali, że przedmażeńskie stosunki w, Danskarze są bardzo swobodne, no i tak. Nie chciałem nikogo skrzywdzić! Okazałem tej osobie trochę więcej serdeczności. W końcu Ottar dowiedział się o tym i wyzwiał mnie na pojedynek.

- Dlaczego nie przyjąłeś wezwania?

Nie miało sensu tłumaczyć mu, że człowiek cywilizowany unika środków gwałtownych, jeśli ma do dyspozycji inne możliwości. - Pomyśl, mój panie - powiedział Jazon. - Gdybym przegrał, zginąłbym. Gdybym wygrał, oznaczałoby to kres naszego handlu z Norlandią. Synowie Ottara nigdy nie przyjęliby okupu, prawda? W najlepszym dla nas razie wygnaliby nas z kraju. A Peloponez potrzebuje drewna. Doszedłem więc do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli ucieknę. A później moi współpracownicy wyparliby się mnie przed całą Norlandią.

- Hm... Dziwne to rozumowanie. W każdym razie jesteś człowiekiem lojalnym. Ale czego życzysz sobie ode mnie?

- Jedyne, o co proszę, to umożliwienie mi bezpiecznego dotarcia do Steinvik. (Niewiele brakowało, by użył nazwy „Neathenai”). Musiał pohamować swój zapal. - Mamy tam naszego agenta i statek.

Bela wypuścił kłęb dymu i z ponurą miną przyjrzał się żarzącemu się czubkowi cygara. - Chciałbym wiedzieć, dlaczego Ottar wpadł w taki gniew. To niepodobne do niego. Ale z drugiej strony, jeśli w grę wchodziła jego córka, nie mógł być wyrozumiały... Pochylił się ku Jazonowi. - Dla mnie - powiedział opryskliwie - najważniejsze jest to, że uzbrojeni Norlandczycy przekroczyli

granicę mojego państwa, nie pytając mnie o zgodę.

- Było to poważne pogwałcenie twoich praw. Wojewodo. To prawda.

Bela zaklął jak stary kawaierzysta. - Nie rozumiesz mnie! Granice nie są święte dlatego, że chce tego Attia, jeśli nawet szamani wygodać takie głupstwa. Są święte dlatego, że tylko dzięki nim można utrzymać pokój. Jeśli nie wyrażę oficjalnie mojego oburzenia z tego powodu i nie ukarzę Ottara, to któregoś dnia jakiś awanturnik powtórzy próbę Ottara. A dziś każdy ma broń jądrową!

- Ależ ja nie chcę, żeby z mojego powodu doszło do wojny! - zawołał Jazon z przerażeniem. - To już raczej odesłaj mnie do Norlandii

- Nie gadaj głupstw. Ottara ukarzę właśnie w ten sposób, że nie pozwolę mu zemścić się na tobie, niezależnie od tego, czy racja jest po jego stronie, i będzie musiał to prze!knąć.

Beia wsta?. Odłożył cygaro na popielniczkę, podniósł szablę - i od razu uległ kompletnej przemianie. Zdawało się, że to nie człowiek przemawia, lecz jakiś pogański bóg: - Od tej chwili, Jazone Philippou, nikt w Dakocie nie śmie cię tknąć. Pozostajesz pod osłoną naszej tarczy, toteż zło tobie wyrządzone będzie złem wyrządzonym także mnie, mojemu domowi i mojemu ludowi. Przysięgam na Trójcę!

Jazon stracił panowanie nad sobą. Runął na kolana i wśród szlochu wyjękiwał słowa podzięk.

- Przestań! - mruknął Beia. - Lepiej będzie, jeśli możliwie najszybciej zajmijmy się przygotowaniami do twojej dalszej drogi. Polecisz scimolotom z wojsłową eskortą. Ale oczywiście najpierw muszę uzyskać pozwolenie od władT krajów, *nad kt&rymS* będziesz pzelotywai. To ml zajmie trochę czasu. Teraz wracaj do sSebie, odpocznij, o ja wezws c^, kiedy wszystko będzie gotowe.

Jozon wyszedł, dając jesc7.e t;ując drzenie.

Spędził kilka przyjemnych godzin wałęsając się po zamku i jego podwórcach. Młodzieńcy z orszaku Beli zrobili wszystko, by zaimponować człowiekowi ze Starej Ojczyzny. Nie mógł nie podziwiać ich malowniczych popisów w jeździe konnej, strzelaniu i zawodach w rozw!ązywaniu zagadek. Niejasne uczucia wzbudziły w nim opowieści o wyprawach poprzez ogromne równiny, w głąb kniei i poprzez wezbrane rzeki aż ku murom bajecznej metropolii - Unnborgu. Pieśń barda przenosiła słuchaczy w czasy dawniejsze niż historia, w czasy mięsożernych małp - przodków człowieka.

Ale właśnie od tych wspaniałych pokus odwróciliśmy się w Eutopii. Bo my wyrzekliśmy się naszego zwierzęcego pochodzenia. My jesteśmy ludźmi obdarzonymi rozumem. I w tym tkwi istota naszego człowieczeństwa.

Wracam do ojczyzny. Wracam do domu. Wracam do domu.

W tej chwili jakiś sługa dotknął jego ramienia. - Wojewoda chce cię widzieć. - W jego głosie czuło się lęk.

Jazon zadrzał. Co się mogło stoć? Tym razem nie zaprowadzono go do sali tronowej. Bela oczekiwał go na parapecie murów zamku. Za nim stało na baczność dwóch rycerzy, ich pozbawione wyrazu twarze kryły się w cieniu hełmów ozdobionych pióropuszcami.

Spojrzenie, jakim obrzucił go Bela, nie wróżyło nic dobrego. Wojewoda splunął Jazonowi pod nogi. - Ottar telefonował do mnie - odezwał się.

- Ja... Czy powiedział...

- A ja sądziłem, że chciałeś tylko przespać się z dziewczyną. Ty zaś niemal zniszczyłeś dom, który obdarzył cię przyjaźnią!

- Paniel

- Możesz się nie bać. Wyłudziłeś ode mnie przysięgę na Trójcę... Minie wiele lat, zanim uda mi

się wynagrodzić Ottarowi szkodę, jaką mu wyrządziłem.

- Ale? Spokój! Spokój! Mogłeś si[^] pręteż tego spodziewać.

- Nie polecisz samolotem wojskowym. Ale będziesz miał eskortę. Maszynę, która cię zabierze, trzeba będzie potem spalić. Teraz masz poczekać tam, przy stajniach, koło tej kupy gnoju, aż będziemy gotowi.

- Nie chciałem nikomu zaszkodzić - zawołał Jazon. - Nie wiedziałem o tym, że...

- Zabierzcie go stąd, bo go zabiję - rozkazał Bela.

Steinvik był starym miastem. Te wąskie brukowane uliczki, te ponure domy widziały jeszcze statki ozdobione wizerunkami smoków. A od Atlantyku wiał ten sam wiatr, słony i świeży, i on to przegnał z duszy Jazona pozostałe w niej jeszcze resztki rozgoryczenia, które dręczyło go do tej pory. Gwiżdżąc przepychał się przez tłum przechodniów.

Mieszkaniec Westfalii czy Ameryki załamałby się po tych wszystkich doświadczeniach i niepowodzeniach. Czyż bowiem on, Jazon, nie poniósł całkowitej klęski? Czy nie należało go zastąpić kimś, kto - przynajmniej oficjalnie - nie miałby nic wspólnego z Helladą? Ale w Eutopii dobrze zdawano sobie sprawę z przyczyn jego niepowodzenia: popełnił błąd, ale nie było w tym jego winy. Błędu tego bowiem nie popełniłby, gdyby lepiej go poinstruowano. Oczywiście - uczymy się na błędach.

Wspomnienie o ludziach z Ernvik i Varady - porywczym, hojnym ludziach, których przyjaźń pragnąłby zachować - dręczyło go jeszcze przez chwilę. Ale szybko wymazał je z pamięci. Były przecież jeszcze inne światy, nieskończony ich ogrom.

Szyld zatrzeszczał pod uderzeniem wiatru. Bracia Hunyadi i Ivar. Armatorzy. Był to dobry kamuflaż w mieście, gdzie co druga firma miała coś wspólnego z morzem. Wbiegł po schodach na drugie piętro.

Rozpostarł dłoń przed mapą morską umieszczoną na ścianie. Ukryty aparat zidentyfikował indywidualny wzór jego linii daktyloskopijnych i drzwi, przed którymi stał, rozsunęły się. Pokój, w którym się znalazł, był wykładany boozerią utrzymaną w stylu panującym w Steinvik. Ale jego proporcje nasuwały myśl o Eutopii; a na półce rozpościerała swe skrzydła Nike.

Nike... Niki... Wracam już do ciebie! Serce zabiło mu żywiej.

Dajmonax Aristides podniósł wzrok z nad swego biurka. Jazon niekiedy zadawał sobie pytanie, czy cokolwiek w świecie byłoby w stanie wstrząsnąć tym człowiekiem. - Chajre! - usłyszał głęboki, bas Dajmonaxa. - Raduj się! Cóż cię tu sprowadza?

- Przykro mi, ale przynoszę złe wieści.

- No? Ale po tobie nie widać, żeby sprawa przedstawiała się aż tak katastrofalnie! Dajmonax uniósł się z krzesła, podszedł do szafy z winem, napełnił parę delikatnych i pięknych pucharów, po czym spoczął na łożu. - No, teraz opowiadaj. - Jozon wyciągnął się na drugim łożu. - Nieświadomie pogwałciłem coś, co - jak się zdaje - jest tu tabu o pierwszorzędnym znaczeniu. Mogę się uważać za szczęśliwca, że udało mi się ujść z życiem.

- No, no... - Dajmonax pogładził swą siwiejącą już brodę. - To nie pierwszy taki wypadek - i nie ostatni. Zmierzamy po omacku do wiedzy, ale rzeczywistość zawsze nas zaskakuje... W każdym razie gratuluję ci tego, że uratowałeś własną skórę. Z prawdziwą przykrością opłakiwałbym twoją śmierć.

Uroczyście uleli po kilka kropel ze swych kielichów - jako libację bogom - zanim przystąpili do picia. Człowiek racjonalny potrafi uznać potrzebę ceremonii, a dlaczego nie wziąć jej ze - zdezaktualizowanej zresztą - sfery mitu? (Podłoga była uodporniona na plamy).

- Możesz już złożyć raport?

- Tak. Idąc tu u porządku kawałem sobie wszystko w pamięci.

Dajmonax uruchomił aparat rejestrujący, wypowiedział kilka katalogujących formuł i powiedział:
- Zaczynaj.

Jazon mógł sobie pochlebić, że jego relacja była dobrze przygotowana: była przejrzysta, szczerą i wyczerpującą. Ale kiedy mówił, jego pamięć mimo woli powracała do minionych doświadczeń, a była to przede wszystkim pamięć doznanych wrażeń, uczuć, przeżyć... Znow widział migotanie fal no największym z jezior Pentalimny; przechadzał się po krużgankach zamku w Ernvik z pełnym ciekawości i podziwu młodym Leifem; widział, jak Ottar zamienia się w zwierzę; uciekał z więzienia, ogłuszywszy strażnika, i drżącymi palcami uruchamiał wóz; mknął pustą drogą, a potem przedzierał się przez las goniąc resztkami sił; widział, jak Bela spluwa mu pod nogi, i radość.

jakaż czuł na myśli o wolności, zmieniała się w gorzyc. Wreszcie nie mógł się powstrzymać;

- Czemuż mnie nie poinformowano? Byłbym zachował ostrożność! Ale powiedzieli mi, że będę miał do czynienia z ludźmi pozbawionymi przesądów i zdrowymi - w każdym razie przed małżeństwem... Skąd miałem wiedzieć?

- Tak, to było przeoczenie - zgodził się Dajmonax. - Aie zbyt krótko zajmujemy się parachronią, toteż ciągle jeszcze dużo rzeczy bierzemy za oczywiste.

- Po co w ogóle tu jesteśmy? Czego możemy się nauczyć od tych barbarzyńców? Mamy do zbadania nieskończoną ilość światów, to dlaczego marnujemy czas zajmując się akurat tym światem? Jednym z dwóch najbardziej upiornych, spośród tych, jakie znamy...

Dajmonax wyłączył aparat rejestrujący. Przez dłuższą chwilę obaj mężczyźni milczeli. Z zewnątrz dobiegało dudnienie kół przejeżdżających wozów, czyjs śmiech mieszał się z melodią śpiewanej piosenki. Za oknem rozciągał się ocean rozjarzony w świetle słońca.

- Nie wiesz tego? - odezwał się w końcu Dajmonax. Głos miał ściszony.

- No tak... Zainteresowania naukowe, oczywiście... - Jazon przetknął ślinę. - Przepraszam. Naturalnie, działalność Instytutu opiera się na sensownych podstawach. W historii amerykańskiej obserwujemy błędną drogę rozwoju człowieka. Przypuszczam, że w tej także.

Dajmonax potrząsnął głową. - Nie.:Nie o to chodzi.

- To o co?

- Uczymy się tu czegoś zbyt cennego, by z tego zrezygnować - odparł Dajmonax. - Jest to lekcja upokarzająca, ale trochę pokory zrobi dobrze naszej zadowolonej z siebie Eutopii. Nie wiedziałeś o tym, bo dotychczas nie mieliśmy do dyspozycji dostatecznej ilości faktów, by móc opublikować nasze konkluzje. Poza tym pracujesz w tym zawodzie od niedawna, a pierwszą misję odbywałeś w innej historii. Ale widzisz, mamy najlepsze racje, by sądzić, że Westfalia jest także rodzajem Eutopii - Dobrej Krainy.

- To niemożliwe - wyszeptał Jazon. Dajmonax uśmiechnął się i pociągnął łyk wina. - Pomyśl tylko - rzekł. - Czego potrzeba człowiekowi? Prze de wszystkim musi zaspokoić swe potrzeby biologiczne;

musi mieć pożywienie, dach nad głową, musi mieć jakieś leki, życie seksualne, a wreszcie żyć w środowisku dość bezpiecznym, by móc wychować swe dzieci. Po drugie, szczególnie ludzką potrzebę stanowi dążenie do czegoś, chęć uczenia się i tworzenia. No, nie powiesz mi, że w tej historii ludzie nie zaspokajają tych wszystkich potrzeb?

- To samo można by powiedzieć o każdym plemieniu z epoki kamiennej. Nie możesz stawiać znaku równości między zadowoleniem a szczęściem.

- Oczywiście, że nie. A jeśli jakiś świat nie jest uporządkowaną, zunifikowaną Eutopią, krainą łagodnych krów, w której wszystko jest zaplanowane? Rozwiązaliśmy wszelkie konflikty, nawet te, które rozdzierały ludzką duszę; opanowaliśmy cały system słoneczny, choć gwiazdy okazały się nam

niedostępne; gdyby więc dobry Bóg nie pozwolił nam wymyślić parachronionu, to cóż by nam zostało do roboty?

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że... - Jazonowi zabrakło słów. Uprzytomnił sobie, że tylko człowiek chory umysłowo obraża się, kiedy słyszy coś, co przeczy jego ulubionym poglądom. - A więc człowiek uwolniony od agresji, klanowości, przesądów, rytuału i tabu - nie ma już nic?

- Mniej więcej. Społeczeństwo musi mieć swą strukturę i sens. Ale natura nie dyktuje mu ani jego struktury, ani sensu. Nasz racjonalizm jest wyborem nieracjonalnym. To, że spętujemy zwierzęcość, która w nas żyje, jest po prostu jeszcze jednym tabu. Wolno nam kochać innych według naszego upodobania, ale nie wolno nam nienawidzić. Czyż mamy więc większą swobodę niż mieszkańcy Westfalii?

- Ale przecież są kultury lepsze od innych!

- Nie przeczę - powiedział Dajmonax. - Zwracam ci tylko uwagę na to, że każda kultura za swe istnienie płaci pewną cenę. Drogo płacimy za to wszystko, czym cieszymy się u nas w Eutopii. Nie pozwalamy sobie nawet na jeden bezmyślny, czysto emocjonalny impuls. Likwidując wszelkie niebezpieczeństwa i trudności, eliminując różnice między ludźmi, nie zostawiamy sobie żadnych nadziei na zwycięstwo. A - być może - najgorsze jest to; że stośiśnsy się wy}ącznie jednostkami. Nie mamy poczucia przynależności. Nasze jedyne zobowiązanie ma charakter negatywny: jesteśmy zobowiązani nie zmuszać do niczego żadnej innej jednostki. Państwo - doskonale zorganizowany, pozbawiony twarzy i niewymagający mechanizm - troszczy się o zaspokojenie każdej naszej potrzeby i naprawienie każdej przykrości, która nas spotyka. A gdzie jest lojalność wobec śmierci? Gdzie jest intymność, jaka można znaleźć tylko w cotym przeżytym z kimś życiu? Bawimy się w czasie różnych uroczystości i ceremonii, ale ponieważ wiemy, że sprowadzają się do arbitralnych gestów, przeto pytam: jakaż jest ich wartość? Ponieważ ujednoliciliśmy nasz świat, przeto zagubiliśmy jego barwę i kontrasty, utraciliśmy dumę z naszej odrębności...

Natomiast mieszkańcy Westfalii - mimo wszystkie ich wady - wiedzą, kim są, jacy są, do czego należą i co należy do nich. Swej tradycji nie zagrzebali w księgach;

jest ona dalej częścią ich życia. Toteż ich zmarli pozostają z nimi dalej w ich pamięci. Mają realne problemy, toteż mają także realne sukcesy. Wierzą w swe rytuały. Wierzą, że warto żyć i umierać dla rodziny, króla, narodu. Być może - choć nie jestem tego zupełnie pewien - myślą mniej od nas, ale za to w większym stopniu używają swych nerwów, gruczołów i mięśni. Toteż znają dobrze ten aspekt człowieczeństwa, którego wyrzekł się nasz ostrożny świat.

Jeśli potrafili pozostać takimi, tworząc jednocześnie naukę, technikę, to czyż nie powinniśmy nauczyć się tego od nich?

Jazon milczał. Nie potrafił na to odpowiedzieć.

W końcu Dajmonax przerwał milczenie. - Możesz teraz powrócić do Eutopii. A kiedy odpoczniesz, otrzymasz nową misję w jakiejś historii, która będzie ci bardziej odpowiadać. - Rozstańmy się jak przyjaciele.

Zaszumiał parachronion. Tętno czasu biło między wszechświatami... Drzwi pomieszczenia otwały się i Jazon wyszedł na zewnątrz.

Wszedł w las błyszczących kolumn. Białe Neathenai, wdzięczne, pogodne miasto, schodziło tarasami ku morzu. Człowiekiem, który wyszedł mu naprzeciw, był filozof.

Czekała nań już porządna tunika i sandały. Dobiegał skądś dźwięk liry.

Radość trzepotała w Jazonie. Nie pamiętał już o Leifie. Była to pokusa, która mogła powstać tylko na skutek samotności i tęsknoty... Teraz był już w domu. A tu czekct na niego Niki, Nikiasz Demostheneou, najpiękniejszy i najbardziej czarujący z chłopców.

Barrington Bayley Rejs po promieniu

Ostatnia wyprawa podziemnego okrętu Drażyciel rozpoczęła się jako jego rejs próbny. Został właśnie niedawno ukończony: połowa pomieszczeń ziała jeszcze pustka oczekując na zainstalowanie reszty wyposażenia i urządzenie kajut dla pełnej załogi. Mimo to mieliśmy pokaźny ładunek, dwuosobową załogę i cała część techniczna z uzbrojeniem włącznie była gotowa. Dwa przedziały amunicyjne, jeden rio dziobie i drugi na rufie, mieściły komplet torped, a cała masa statku spoczywała pewnie w uchwycie pól wytwarzanych przez polaryzatory, dzięki którym nowo zbudowany okręt mógł przenikać przez ciała stałe.

Okręty podziemne stanowiły ostatnie słowo techniki. Drażyciel był piątym z kolei, poprzedzały go jedynie cztery prototypy. Był ogromny i potężny, jak przystało na okręt wojenny. Na razie kraj nasz nie prowadził wojny, ale wrogów mieliśmy i możliwość przemieszczania się pod ziemią dawała nam łatwo zrozumiałą przewagę. Tak więc pod komendą kapitana Joule'a i ze mną jako oficerem technicznym wyruszyliśmy w rejs pod kontynentem amerykańskim ze wschodu na zachód na głębokości dziesięciu mil. Przeszliśmy pod łańcuchami górskimi, pod pustyniami i jeziorami, przecięliśmy wszelkie możliwe formacje geologiczne. Sprawdziliśmy prędkość oraz sterowanie głębokościowe i poziome - proces wielce skomplikowany tam, gdzie w grę wchodzi polaryzatory atomowe. Wszystkie urządzenia działały bez zarzutu. Polaryzatory pracowały równomiernie nawet wówczas, gdy skierowaliśmy Drażyciela ostro na lewą, a potem natychmiast na prawą burtę. Budowa pierwszego, całkowicie sprawnego okrętu podziemnego została uwieńczona sukcesem.

Byliśmy w znakomitym nastroju. Nie podejrzewaliśmy zblizając się do Zachodniego Wybrzeża, że los zgotował nam poważne kłopoty, które miały nas skłonić do nie przemyślanego kroku i spowodować, że zostaniemy uwięzieni w potężnym uścisku planety.

Znajdowałem się w centrum dowodzenia, gdy kapitan louie wydat rozkaz wynurzenia się w zawczasu ustalonym miejscu. Nie unosząc dziobu okręt zaczął się stopniowo wznosić.

Na głębokości siedmiu mil metalowy korpus statku rozbrzmiał wysokim dźwiękiem przechodzącym w miarę wznoszenia się w przejmujący pisk. Jednocześnie napłynął pilny meldunek z przedziału polaryzatorów.

Z ekranu wideofonu spoglądała na nas pobladła twarz Głównego Mechanika.

- Kapitanie! Jakaś siła zewnętrzna odkształca pole! Nie możemy go utrzymać!

- Schodzimy głębiej! - skomenderował kapitan Joule. Poszliśmy w głąb i przeraźliwy dźwięk natychmiast ustał. Kiedy Drażyciel drgnął i stanął, Joule zapytał Głównego Mechanika:

- Co to było?

- Pole magnetyczne, bardzo siłne. Hałas, który słyszeliśmy, był wynikiem wibracji każdego atomu metalowych części okrętu. Jeszcze pół minuty i cały okręt uległby depolaryzacji!

- Jak silne jest to pole obecnie? - spytał marszcząc czoło kapitan.

Główny Mechanik wzruszył ramionami.

- Wskaźniki nie działają. Zupełnie nie rozumiem! Nie przypuszczaliśmy, że na głębokości zaledwie pięciu mil mogą występować tak potężne siły.

- Sekcja bojowa! - skomenderował Joule po chwili namysłu, - Torpeda pionowo w górę, bez zapalnika!

W sekundę później Drażyciel po raz pierwszy zrobił użytek ze swego uzbrojenia. Wystrzeliła w górę torpeda; jej bieg śledziły detektory polaryzacji. Wkrótce po przejściu pułapu pięciu mil pocisk zniknął z ekranów i odebraliśmy serię silnych wstrząsów.

Polaryzatory torpedy przestały działać.

Kapitana to nie przekonało. Powtórnie dał rozkaz do wynurzenia. Ostrożnie podeszliśmy do niebezpiecznej strefy i okręt znów rozbrzmiał piskiem wibrujących atomów. Idąc za zdaniem sekcji polaryzatorów zanurzyliśmy się czym prędzej na bezpieczną głębokość.

Nasza pewność siebie znikła. Cofnąwszy się spróbowaliśmy jeszcze raz z takim samym rezultatem. Ponawialiśmy co pewien czas swoje próby w drodze powrotnej na Wschodnie Wybrzeże i przez dwa następne tygodnie błądziliśmy pod kontynentem szukając wyjścia. Ale to samo niewiarygodnie silne zjawisko pokrywało jak kołdra cały ląd.

Co do mnie, wątpiłem w jego magnetyczny charakter. Najprawdopodobniej był to efekt magnetyczny wywołany nietypowym strumieniem cząsteczek, który zaczął płynąć po naszym zanurzeniu.

Kapitan Joule miał ponurą minę, kiedy zapoznałem go ze swoją hipotezą.

- W takim razie - zauważył - to może być sztuczne. Byłaby to niewątpliwie skuteczna broń przeciwko okrętom podziemnym.

Jednak niezależnie od przyczyn zjawiska, fakt pozostawał faktem: na powierzchnię wyjść nie mogliśmy.

Nastrój na Drażycielu zmieniał się w miarę, jak sobie to uświadamialiśmy. Rozwiała się radość z sukcesu. Po raz pierwszy zauważyłem, jak puste jest wnętrze okrętu, jak każdy dźwięk odbija się echem w jego pomieszczeniach, jak matowo jego zakrzywione ściany odbijają żółte światło. Nietrudno było sobie wyobrazić, jak głęboko tkwimy we wnętrzu Ziemi. Spoglądałem na kapitana i wiedziałem, że dręczą go podobne myśli.

Nagle wybuchno.tem śmiechem,

- No więc jesteśmy w pułapce - powiedział lekkim tonem - ale co z tego? Tym lepiej. Mamy szansę bezkarnie zagrać na nosie tym tchórzliwym bubkom z Departamentu Marynarki.

- Co masz na myśli? - spytał Joule.

- Zabronili nam przez wzgląd na ostrożność zanurzać się w pierwszym okresie głębiej niż na dziesięć mil. Skoro jednak nie możemy się wynurzyć, wróćmy na powierzchnię dłuższą drogą - po średnicy planety.

Kapitan uśmiechnął się rozważając moją propozycję bez zbytecznych słów. Pamiętałem poprzednie nasze rozmowy na ten temat w latach, kiedy nad polem polaryzującym prowadzono jeszcze powolne, zmuadne badania w laboratoriach Marynarki Wojennej. Kusiło nas wiele podobnych projektów i czekaliśmy tylko na odpowiednią chwilę, żeby przystąpić do ich realizacji.

- Przedstawmy to pozostałym - zdecydował wreszcie kapitan i zarządził odprawę oficerów.

Centrala dowodzenia mogła przyprawić o klaustrofobię, z chwilą gdy wcisnęło się do niej sześciu oficerów. Przewody wentylacyjne nie były dostosowane do tylu osób i po dziesięciu minutach oddychałem z trudem.

Zanim Joule przemówił, słyszałem równy szum nieruchomego okrętu.

- Teraz chyba już wszyscy wiecie - zaczął - że nie możemy wyjść na powierzchnię. Ross ma propozycję, którą zaraz przedstawi - skinął w moją stronę.

- Gdy tylko idea podziemnych okrętów stała się realna - powiedziałem - zacząłem myśleć o wyprawie w głąb Ziemi, może nawet do środka. W trakcie budowy Drażyciela wykorzystalem zdolność silnika polaryzującego do poruszania bardzo dużych mas i poczyniłem wstępne przygotowania do takiej wyprawy. Drażyciel jest znacznie większy, niż to przewidywały pierwotne plany: ma potężniejsze silniki, więcej wyposażenia, żywności i urządzeń do regeneracji powietrza, które wystarczyłyby pełnej załodze na wiele lat. Przygotowałem również warsztaty i zainstalowałem aparaturę chłodzącą dla ochrony przed przegrzaniem.

Wśród oficerów marynarki rozległo się kilka okrzyków zdumienia, kiedy przedstawiłem swój plan, ale ludzie z mojego, cywilnego zespołu już go znali. Nie obawiałem się sprzeciwów. Człowiek cywilizowany nigdy nie jest całkiem obojętny na głąb wiedzy.

- Drażyciel nie jest jeszcze w pełni wyposażony do podróży, która miałem na myśli - mówiłem dalej - ale w moim przekonaniu może ją odbyć. Skoro odcięci jesteśmy od Ameryki, proponuję wynurzyć się na drugiej półkuli. Joule przerwał mi:

- Jedna rzecz, o której należy pamiętać. Możliwe, że bariera zagrządzająca nam drogę jest tworem sztucznym. Jeżeli tak, to znaczy, że naród nasz toczy wojnę i nasi wrogowie wiedzą już o podziemnych okrętach. Wówczas obowiązkiem naszym jest wracać czym prędzej, nie zaś wędrować dla zaspokojenia naszej własnej ciekawości.

- Wyznaję - powiedziałem - że cieszę się z tej okazji do realizacji moich ambicji. Jednak tak czy inaczej, nie ma innego sposobu, żeby Drażyciel wziął udział w boju, gdyż najkrótsza droga ku każdemu innemu kontynentowi wiedzie teraz przez jądro Ziemi.

- Czy mogę zadać pytanie techniczne? - spytał jeden z oficerów. - Jesteśmy już teraz w strefie, gdzie skorupa ziemską przechodzi w gorętszy płaszcz. Głębiej płynne jądro jest jeszcze bardziej rozgrzane. Czy możemy wytrzymać takie warunki?

- Wytwarzane przez nas pole chroni nas teoretycznie przed dowolnym ciśnieniem i temperaturą - odparłem - ale nie przed grawitacją i magnetyzmem. Grawitacja będzie nam początkowo pomagać, a potem przeszkadzać, Magnetyzm również będzie wzrastać w miarę zbliżania się do środka Ziemi, a widzieliśmy już, jak się to odbija na pracy polaryzatorów.

Zebrani zadrżeli, kiedy to powiedziałem.

- Szczerze mówiąc - kontynuowałem - leżeli natkniemy się na zjawisko podobne do tego, przed którym umknęliśmy, to nie wiem, co zrobimy. Istnieje jednak pomysłowe urządzenie zwane bocznikiem Gaussa pozwalające kontroliować stopniowy wzrost magnetyzmu za pomocą strumienia mezonów. Jego budowa nie potrwa długo i będziemy mogli zneutralizować stopniowy wzrost magnetyzmu, z jakim się zapewne spotkamy.

Oficerowie rozważali sprawę w milczeniu. Już teraz Drażyciel zanurzył się na rekordowo głębokość przenikając litą skałę dzięki temu, że atomy okrętu, załogi i powietrza były indywidualnie zorientowane w różnych kierunkach.

Przez cały czas kabiny, ściany, nawet nasze ciała były wypełnione zwartą masą gorącej skały, której nie odczuwaliśmy tylko dzięki delikatnemu stanowi równowagi.

Świadomość tego była dość koszmarna, ale mieliśmy tu twardych ludzi, najlepszych z najlepszych, ożywionych moim entuzjazmem i dowództwem Jouls'a.

- Decydujecie się! - zachęcałem. - Nikt jeszcze nie odbył takiej podróży. To wielka przygoda!

- Popieram propozycję Rossa - powiedział Joule. - Czy są jakieś pytania?

Nie było pytań, a z chwiłą gdy Joule zakomunikował swoją decyzję, nie było również żadnych zastrzeżeń.

- Ross powie wam, jak przygotować się do głębokiego zanurzenia - zakończył krótko. - To wszystko.

Na trzy dni Drażyciel zawiesił swoją potężną masę na głębokości dziesięciu mil, podczas gdy pracowaliśmy nad bocznikiem Gaussa. Przy naszych zasobach nie było to trudne. Zbudowaliśmy działko mezonowe przy silniku okrętu oraz wewnętrzny szkielet przewodów ze stopu żelaza i srebra zbiegających się na rufie, gdzie nadmiar energii magnetycznej mógł być odprowadzony do ziemi. Bez tego wszystkie metalowe części okrętu uległyby stopieniu na skutek indukcji.

Przy pomocy reostatu skontrolowałem zdolność bocznika do regulowania natężenia pola

magnetycznego we wnętrzu okrętu; teraz mogliśmy powtórnie włączyć silniki i zmienić powolne zapadanie się pod wpływem siły ciężenia na prawdziwe nurkowanie własnym napędem.

Wnętrze Drażyciela wyglądało jak diabelska kuźnia. Stał mi przed oczami obraz dawnych dni, kiedy jeszcze niecała powierzchnia planety była poznana i drewniane okręty rozwijały żagle ruszając ku nowym oceanom i nowym lądom. Dla nas nie było swobodnych wiatrów, światła S rozkołysanych fal. My przekroczyliśmy granice znanego świata i musieliśmy torować sobie drogę przez mrok, ciśnienie i żar.

Silniki posłusznie pchały nas w gicib Ziemi. W ostrym żółtym świetle - jedynym, na jakie mogliśmy tu liczyć - technicy obserwowali na ekranach zmieniając się formacje skalne zapisując wskazania instrumentów. Bez trudu zdobywaliśmy informacje, o których geologowie marzyli od stuleci.

Opuszczaliśmy się coraz głębiej ze stale obecna myślą o gęstości otaczającego nas świata i o zuchwalstwie ludzkiego umysłu, który stworzył podziemny okręt. Spokojny szmer działalności wypełniał przypominający wielki hali korpus „Drażyciela”, kiedy przemierzałem go kontrolując różne urządzenia. Mieliśmy za sobą trzysta mil.

Nagle bez żadnego ostrzeżenia rozległo się głośnie „buch”, a potem ciężki zgrzyt i poczuliśmy drganie powietrza. Rozpoznałem je z największym zdumieniem. Słyszałem już coś takiego w laboratoriach marynarki. Nie miało to nic wspólnego z napotkaną wcześniej barierą magnetyczną.

Był to dźwięk powstający przy zderzeniu dwóch pól spolaryzowanych.

Pobiegłem długim korytarzem do centrum dowodzenia. W pomieszczeniu przed centrum obsługa monitorów śledziła okolicę i przeszkoda zaczynała ujawniać swój kształt na ekranie.

Mieliśmy do czynienia nie z jednym polem. Ujrzałem całą ich panoramę, rozległy zespół niejasnych kształtów ciągnących się z północy na południe i z zachodu na wschód, piętrzących się, tworzących skupienia i obszerne place. Przez chwilę nie mogłem uwierzyć własnym oczom..

Natknęliśmy się na podziemne miasto.

Choć brzmi to nieprawdopodobnie, przyroda również odkryła sposób na to, żeby dwa przedmioty mogły jednocześnie zajmować tę samą przestrzeń i zapełniła wnętrze Ziemi istotami żyjącymi. Aglomeracja miejska, na którą wpadliśmy, była ogromna, nasze monitory nie sięgały do jej kresu. Instrumenty wskazywały na dość słabą polaryzację i można było przypuszczać, że mieszkańcy, o ile ich odczucia dadzą się przełożyć na nasze terminy, żyli w środowisku o konsystencji gęstej melasy. Drażyciel mu siał spaść na nich jako oślepiająco jasne, nieprzenikliwe i prawie niezniszczalne monstrum.

Wszedłem do centrum dowodzenia, gdzie kapitan Joule wpatrywał się w ten sam widok na ekranie monitora, i usiadłem.

Joule nie zwrócił na mnie uwagi. Włączył mikrofon.

- Maszynownia, czekać na moje rozkazy, i dajcie mi sterowanie.

Usłyszałem pstryknięcie, kiedy maszynownia przekazała sterowanie Drażyciela do pulpitu kontrolnego przed fotelem Joule'a. Drażyciel zaklinował się między ścianami grupy budynków i wspaniałe, szerokie ramiona kapitana wyrażały wściekłość, a pot kroplami wystąpił mu na czoło, gdy pochylony nad kotłem sterowniczym usiłował uwolnić statek i przebić się na wolną przestrzeń.

- Niech pan spojrzy, kapitanie! - zawołałem. - Czy pan widzi?

Kapitan spojrział na ekran. Zbliżały się okręty, płynęła ku nam cała flotylla jakby popychana masywną bryzą. Były to dziwaczne konstrukcje z długich zakrzywionych belek i przez szerokie szpary między nimi mogliśmy z pewnym trudem rozróżnić członków załogi i prymitywne urządzenia statku. Również wokół pobliskich budynków widać było oznaki ożywionej działalności.

Mieszkańcy byli wyraźnie zdecydowani bronić swego miasta. Zauważyłem, że niektóre okręty, większe od innych, miały na dziobach dziwnie znajome urządzenia i kiedy się im przyglądałem, najbardziej wysunięty do przodu okręt przystąpił do akcji.

- Ależ to katapulta! - krzyknął Joule. Buch! Korytarze Drażyciela rozbrzmiewały uderzeniem pocisku o jego kadłub.

- Niech sobie strzelają! - roześmiał się Joule i pochylił się z powrotem nad pulpitem kontrolnym.

Okazało się, że nie można uwolnić naszego statku i wreszcie pod gradem pocisków mieszkańców wnętrza Ziemi musieliśmy uciec się, do naszych broni. Mimo że używaliśmy ich z umiarem, nasze torpedy i miotacze fal sejsmicznych dokonały straszliwych zniszczeń, zanim wyrąbaliśmy sobie drogę i mogliśmy kontynuować podróż. Podziemna flotylla towarzyszyła nam przez pięćdziesiąt mil bombardując ściany statku w próbach odwetu.

I to na trzystu milach! - zawołał kapitan Jonie. - Co znajdziemy dalej?

Perspektywy mogły napawać lękiem. Wnętrze Ziemi jest znacznie rozleglejsze niż jej powierzchnia i może pomieścić wielką różnorodność mieszkańców. Tutaj natknęliśmy się na barbarzyńców. Głębiej możemy znaleźć potężne cywilizacje dysponujące supernauką, dla których Drażyciel będzie dziecinną igraszką. A może wewnątrz Ziemi za' mieszkują potwory?...

Ale dla mnie przynajmniej odkrycia były głównym celem wyprawy i żadne niebezpieczeństwo nie mogło stanąć na drodze poszukiwań naukowych.

A szansa spotkania wrogów nie była wcale jedynym niebezpieczeństwem. W tym czasie wiedziałam, że coś innego jest nie w porządku.

Sprawdzałem dan« instrumentów zewnętrznych. Zgodnie z prawami fizyki wydawało się nieuniknione, aby wielkości określające gęstość i temperaturę rosły w miarę zanurzania się. Tymczasem z nie wyjaśnionych przyczyn nie zmieniały się ona od chwili, gdy przekroczyliśmy głębokość dziesięciu mil.

Kapitan Joule wykazał zainteresowanie, jak przystało no technika, ale pozostał niewzruszony. - A co z magnetyzmem? - spytał.

- Też bez zmian - powiedziałem - ale na tej głębokości nie powinno być większych zmian. Bocznik magnetyczny będzie potrzebny później.

Mimo to udaliśmy się obaj na inspekcję bocznika. Zaczęliśmy od działka mezonowego w maszynowni i prześledziliśmy jeden z żelaznosrebrnych kanalików biegną. cych wzdłuż okrętu aż do rufy. Przyjrzałem się zegarom zamontowanym w izolowanym pomieszczeniu. Wskazówki powinny odchylić się nieco, zaznaczając wzrost magnetyzmu odprowadzanego przez bocznik, tymczasem wszystkie utknęły na zerze.

Podniosłem słuchawkę i połączyłem się z maszynownią. - Zwiększyć ilość odprowadzanej energii o dwie podziałki - rozkazałem.

Natychmiast drgnęła wskazówka pokazująca wzrost energii magnetycznej odprowadzanej do środowiska, druga zaś wykazała spadek natężenia magnetyzmu w okręcie.

Joule stęknął. - Czy coś tu może być uszkodzone?

Rozkazałem nastawić reostat na poprzednia pozycję. - Nie - powiedziałem - wszystko jest w jak najlepszym porządku. Po prostu będziemy chyba musieli pogodzić się z faktem, że wewnątrz Ziemi jest inne, niż przypuszczaliśmy. Albo to, albo trafiliśmy na warstwę małej gęstości. Tak czy owak, posuwamy się bez przeszkód.

Jednak dni mijały, a ja codziennie sprawdzałem gęstość, temperaturę i magnetyzm, i wynik zawsze był ten sam. Bez zmian. Zacząłem się poważnie martwić.

Uświadomiłem sobie, że poza własnymi przyborami Drażyciela nie mieliśmy sposobu na

zmierzenie jego rzeczywistej prędkości. Aby to naprawić, zaprojektowałem masometr, który, jak sądziłem, pomoże nam stwierdzić przebyta drogę mierząc masę Ziemi przed nami i za nami.

Wynik mnie zaskoczył. Suma tych dwóch odczytów nie zgadzała się ze znaną masą Ziemi.

- To śmieszne! - powiedziałem do Joule'a. - Ziemia musiałaby teraz ważyć więcej, niż kiedy wyruszyliśmy. Poza tym przebyliśmy pięśset mil, a dystans przed nami jest wciąż taki sam.

Poruszaliśmy się więc czy nie?

Była to zagadka. Skierowany w jedną stronę masometr mówił, że tak. Skierowany w stronę przeciwną wskazywał, że stoimy w miejscu.

Odczekałem jeszcze tydzień, w czasie którego łamigłówka coraz bardziej się komplikowała. Do tej chwili powinniśmy osiągnąć głębokość tysiąca mil i przekonać się o naszej zdolności przetrwania w warunkach skrajnych ciśnień! W rzeczywistości mieliśmy na liczniku tysiąc mil głębokości, a mimo to nie zbliżyliśmy się do jądra Ziemi. Wyglądało na to, że posuwamy się po jakiejś paradoksalnej trasie, na której - niezależnie od szybkości poruszania się - odległość do mety pozostaje taka sama.

Świadomość tego działała przygnębiająco. Nie można już było dłużej traktować tego wyłącznie jako intelektualnej łamigłówki.

Nie napotkaliśmy dalszych miast i nikt nas już nie atakował, ale zrobiliśmy wszystko, aby nie powtórzyć błędu. Monitory działały bez przerwy i odnotowały różne słabe błyski polaryzacji w dużej odległości. Godzinami wpatrywałem się w ekran. Zdarzało się, że na granicy pola widzenia przesuwał się jakiś duży obiekt lub pojawiały się niejasne kształty, których pochodzenia nie potrafiliśmy odgadnąć.

Trzynastego dnia podróży kapitan Joule zwołał oficerów do swojej kabiny.

Z niewzruszonym wyrazem twarzy przyjął ich siedząc w swoim fotelu i odczekał, aż w dusznej kabinie zapanuje cisza.

- Panowie - zaczął - chciałbym, żebyśmy zastanowili się nad naszą sytuacją. Ross wyjaśni wam, o co chodzi.

W skrócie powiedziałem o wskazaniach masometru i o tym, że na całej grubości płaszcza stwierdziliśmy jednakowe ciśnienie. Im głębiej schodziliśmy, tym większa była niezgodność w danych różnych instrumentów.

- Poza zdrowym rozsądkiem - zakończyłem - nic nie wskazuje, że zbliżyliśmy się choćby o cal do jądra Ziemi, co było naszym zadaniem.

- Czy to znaczy, że stoimy w miejscu?

- Z jednej strony na to wygląda - przyznałem - ale myślę, że tak nie jest. Nadal zużywamy energię. Silniki pracują doskonale i rezultatem tego musi być ruch. Musimy się dokądś posuwać i wystarczy zresztą spojrzeć na ekrany wykrywaczy, aby stwierdzić, że faktycznie znajdujemy się w ruchu.

! nie zbliżamy się do celu - wtrącił Joule. - Z punktu widzenia marynarki celem tego rejsu jest powrót do bazy. tymczasem nie widzę, żebyśmy ten cel realizowali.

- Czy proponuje więc pan powrót?

- Myślałem o tym. Może teraz nie napotkamy już przeszkody.

Zmartwiły mnie te słowa. Nasze odkrycia tak mnie pochłaniały, że chciałem za wszelką cenę kontynuować rejs. a dziwy i niebezpieczeństwa, jakie spotykaliśmy, potęgowały tylko moje pragnienie, żeby przeć dalej.

Wiedziałem, że kapitan Joule w głębi serca podzielał mój pogląd. Był on naprawdę wspaniałym człowiekiem i oficerem. Niektórzy oskarżają nasze pokolenie o skrajny konserwatyzm i sztywność; ja jednak twierdzę, że to nie jest wada, tylko nieunikniony etap rozwoju. Duch naszego kraju nigdy nie

był silniejszy niż obecnie. Wydaliśmy wspaniałych ludzi, znakomitych uczonych. Kapitan Joule znał tociit *dictum* naszych inżynierów - nie znać co to strach i nigdy się nie cofać - ale miał obowiązki wynikające ze stanowiska, czym ja - wyznaję to ze wstydem - zupełnie się nie kierowałem.

- Dlaczego mamy zawracać? - zawołałem z zapałem. - Musimy kontynuować wyprawę! Zagadka się wyjaśni - a ze wszystkim, co spotkamy pod Ziemią, damy sobie radę!

Nie mieliśmy okazji do dalszej dyskusji, gdyż decyzja wymknęła nam się z rąk. W głośnikach rozległ się sygnał alarmu, rozbłysły wszystkie ekrany.

Obsługa monitorów wykryła w odległości kilku mi! drugi rodzaj podziemnych istot rozumnych i mieliśmy zaledwie parę minut na przygotowanie się do spotkania.

ich flota nadpłynęła z dołu i rozwinęła się wokół nas, podczas gdy zajmowaliśmy stanowiska bojowe. Były to długie, okazałe okręty kołyszacs się z lekka pod wpływem jakiegoś niewidzialnego fenomenu głębi. Zbliżały się groźnie, powoli, jakby szacowały przeciwnika.

Potem, albo dlatego, że taką mieli zasadę, albo dlatego, że uznali nas za wrogów, zaatakowali.

Byłem zachwycony. Teraz Drażyciel, dotychczas nie sprawdzony w bitwie, wykaże wszystkie swoje możliwości i duch naszej wyprawy skryształizuje się ostatecznie. Tym razem nasi przeciwnicy nie byli dzikusami. Ich okręty poruszały się własnym napędem, a ich broń mogła być dla nas groźna.

Nie dorównywali nam pod względem technologii. Wystrzeliliwali błyszczące, strzałoksztaltne pociski, które mogły przebijać nasz pancerz i zręcznie wykorzystywali przewagę ilczebną, usiłując zrekompensować wyższość naszego uzbrojenia.

Ale Drażyciel unosił się nad nimi potężny, najeżony wyrzutniami torped i wieżami miotaczy fal sejsmicznych;

byliśmy godnym przeciwnikiem.

Było to bitwa w pełnym biegu. Maszynownia wyciskała całą moc z silników i parliśmy w głąb jak wieloryb otoczony chmaro rekinów. Kapitan Joule zrezygnował z prób uniknięcia pocisków przeciwnika i pozostawił naszą obronę złym mocom naszej artylerii.

Kiedy wszedłem do śródkręcia, aby sprawdzić, jak się sprawuje nasze wyposażenie, korytarze huczały niczym dzwony od pocisków przeciwnika i wibrowały od wybuchów naszych własnych torped, które uwalniając się z więzów polaryzacji powodowały tytaniczne wstrząsy Ziemi - założę się, że mieszkańcy otchłani nigdy nie widzieli tej sztuczki! Słyszałem narastający świst wyrzutni, a wysoko rozmieszczone w ścianach stanowiska artylerzystów rozbrzmiewały buczeniem miotaczy sejsmicznych.

Tuż przede mną dwudziestostopowa dzida przebiła ścianę przesywając na ukos obszerny główny korytarz. Zwalił się z góry artylerzysta z rozplataną głową, a obsługiwany przez niego miotacz został zdruzgotany.

Trzydziestokrotnie ich pociski przebiły nasz pancerz i straciliśmy ośmiu ludzi. Ale cóż z tego? Najważniejsze, że niezwyciężony Drażyciel okazał się prawdziwym okrętem bojowym.

W końcu przeciwnik wycofał się poniosłszy ciężkie straty. Możliwe, iż opuściliśmy jego granice.

Jeszcze nie rozwiął się dym bitwy, gdy rozległ się stukot narzędzi i załoga przystąpiła do usuwania szkód. Wróciłem do centrum dowodzenia, gdzie kapitan Joule dokonywał przeglądu polaryzatorów, maszynowni i sprzętu bojowego. Zwrócił się ku mnie, gdy tylko wszedłem.

- Straciliśmy stery - powiedział ponuro. - Teraz już nie mamy wyboru. Nie chciałbym zawracać okrętu na głównym napędzie; jestem pewien, że polaryzatory nie wytrzymałyby obciążenia.

Nic nie odpowiedziałem. Drażyciel nie mogąc zawrócić bez skomplikowanej aparatury niezbędnej do zmiany kierunku polaryzacji miał tylko jedno wyjście: przeć dalej, coraz dalej.

Wprawdzie zwyciężyliśmy, ale straciliśmy władzę nad swoim przeznaczeniem. W takim właśnie

nastroju bezradności oficerowie Drażyciela skierowali swój okręt jeszcze głębiej w masę Ziemi.

Przez miesiąc schodziliśmy w głąb pchani mocą silników. Codziennie z niepokojem studiowałem dane instrumentów. Przez cały ten czas charakter otaczającej nas skały nie ulegał zmianie.

Wszystko - z wyjątkiem danych rufowego masometru i prostego faktu, że posuwaliśmy się w głąb - wskazywało, że tkwimy w miejscu na głębokości dziesięciu mil pod powierzchnią.

Joule i ja głowiliśmy się nieustannie nad tym problemem. Czasem przebiegały mnie ciarki. Czyżby to była ta bezdenna otchłań, o której z przerażeniem mówią poeci?

- To niemożliwe! - zawołał Joule wyprowadzony z równowagi. - Skała przesuwa się wokół nas! Żywe istoty pojawiają się przed nami i pozostają w tyle! A jednak nie możemy zbliżyć się do środka Ziemi!

Narysowaliśmy koło przedstawiające Ziemię i sprowadziliśmy tajemnicę do faktu, że masometry dają dwa sprzeczne położenia Drażyciela wewnątrz tego kręgu. A może mieliśmy do czynienia z radykalnie nową geometrią, gdzie dwie wielkości nie równają się ich sumie? Co wiemy o naszym wszechświecie? Znamy tylko doświadczenia z powierzchni swojej planety; może gdzie indziej obowiązują inne prawa?

Eksperymentalnie narysowaliśmy ćwiartkę koła i rozpatrywaliśmy tę figurę. Joule dorysował koncentryczne kręgi i zauważyliśmy, że w ćwiartce koła łuk skraca się proporcjonalnie do promienia.

Była w tym subtelna myśl.

Niezależnie od rozważań filozoficznych zastanawiałem się również, czy boczniaki magnetyczne odprowadzając nadmiar energii z powrotem do gruntu nie zniekształcają przypadkiem danych wszystkich instrumentów zewnętrznych i masometrów. Przychodził mi do głowy tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić.

Kapitan Joule spojrział na mnie z przerażeniem, kiedy poprosiłem o zezwolenie na wyłączenie boczniaka.

Jeżeli twoje przypuszczenie okaże się błędne - powiedział zduszonym głosem - wylecimy w powietrze z wielkim hukiem.

! co z tego? - zawołałem gestykułując gorączkowo. - Przecież dłużej tak nie można. Najwyżej wjedziemy z trzaskiem do piekła. Zresztą może nam się uda, jeżeli wyłączymy boczniak tylko na kilka milisekund.

Zrobiliśmy to w tajemnicy. Własnymi rękami zbudowałem mechanizm zegarowy i podłączyłem go do układu boczniaka.

Przez dwadzieścia milisekund boczniak nie działał.

Wskaźniki nawet nie drgnęły.

- Spróbuj jeszcze raz! - rozkazał Joule.

Powtórzyłem eksperyment trzykrotnie, a potem wytoczyłem boczniak na stałe. Nikt nie znajdował się w warunkach, dla jakich został zbudowany, i okazało się, że był w ogóle niepotrzebny.

- Pozostaje więc to drugie wyjaśnienie - powiedział Joule. - Filozoficzne. Ale wynika z niego względność, o jakiej nie śniło się naszym fizykom...

Powinienem być wiedzieć, że ten chłodny, nieubłagany umysł znajdzie w końcu właściwą odpowiedź. Zanim jednak zdążył mi coś wyjaśnić, nastąpił trzeci podziemny atak.

Była to szybka, mała flotylla, która spadła na nas od północy. Nie mieliśmy pojęcia skąd pochodzą, gdyż nie dostrzegaliśmy żadnych śladów osad, jakie widzieliśmy w wyższych warstwach. Najprawdopodobniej mieliśmy do czynienia z piratami lub wojowniczymi nomadami, gdyż byli wyszkoleni, zaciekli i groźniejsi od tych, których spotkaliśmy poprzednio.

Co więcej, potrafili dobrać się do naszej polaryzacji.

Może nasze urządzenia miały dla nich zbyt wielką moc, a może chcieli nas po prostu zastraszyć i zmusić do kapitulacji, dość że tylko przez dwa krótkie momenty usłyszeliśmy rozdzierający zgrzyt ich aparatury, jęk naszych polaryzatorów i odczuliśmy duszący żar migocącego pola. Potem znowu puściliśmy w ruch uszczuplone zapasy naszej amunicji.

Ta bitwa nas wykończyła.

Głównym celem napastników było wdarcie się na nasz pokład. Gdy zużyliśmy wszystkie torpedy i musieliśmy polegać na mniej skutecznych miotaczach sejsmicznych, umiejętnie wybili dziurę w naszym pancerzu. W centrali do wodzenia Joule i ja usłyszeliśmy krzyki i dziwne klekocące głosy. W kilka chwil później rozległ się wybuch, ogłuszający w zamkniętej przestrzeni. To jeden z członków załogi bohatercko wysadził w powietrze sekcję, do której wdarli się napastnicy.

Dalsza walka wewnątrz okrętu była już krótka, ale straciliśmy w niej naszego dowódcę.

Trzej napastnicy, którzy uszli cało z eksplozji, płynęli głównym korytarzem szerząc wokół spustoszenie za pomocą potężnej broni ręcznej i w ciągu kilku minut dotarli do centrum dowodzenia. Nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy kapitana Joule'a, gdy sięgał po swój pistolet. Nie potrafię wyrazić tego słowami, bo zobaczyłem wszystkie możliwe uczucia, każde z osobna, żadne z nich nie dominowało.

Naszymi przeciwnikami były niskie, niewyraźne postacie w grubych zbrojach; człekokształtne, ale jednocześnie mające w sobie coś gadziego. Bez chwili namysłu dali ognia i Joule padł z rozszarpanym prawym bokiem kładąc trupem pierwszego z napastników.

Ze swego kąta kabiny skosiłem dwóch pozostałych.

Od tej chwili nie widzieliśmy już więcej podziemnych najeźdźców. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, dlaczego zrezygnowali z dalszych ataków, gdyż nasze monitory zmieniły się w masę poskręcane go złomu i odtąd nie mieliśmy pojęcia, co się dzieje na zewnątrz.

Podczas gdy pozostali oficerowie schodzili się do centrum dowodzenia, ułożyłem kapitana na kanapce. Oddech miał szybki i płytki, a jego twarz stwardniała od walki z bólem.

- Ze mną koniec - szepnął.

Podłożyłem mu ramię pod plecy i uniosłem go łagodnie. Był słaby, ale jego oczy błyszczały inteligencją. - Joule - spytałem - co się tu z nami dzieje?

- Oto moja teoria - powiedział z trudnością. - Materia jest odkształceniem przestrzeni. Kiedy materia jest bardziej skoncentrowana, również i przestrzeń, którą zajmuje, ulega koncentracji.

Ucichł i sądziłem, że były to jego ostatnie słowa, jednak po chwili ożywił się i mówił dalej,

- Wewnątrz Ziemi sama przestrzeń jest ściśnięta proporcjonalnie do gęstości. To, co z powierzchni wydaje się całem, w rzeczywistości może odpowiadać tysiącowi mil. Promień Ziemi jest taki sam na każdej głębokości - my sami kurczymy się wchodząc w gęstsza materię, więc dla nas jest zawsze taki sam. Mamy zawsze tę samą drogę przed sobą. Jego oczy zasnuty się mgłą, potem stoi się szkliste.

Gdy umari, położyłem go.

Jestem teraz dowódcą Drażycylela. Bezwzględnie podjęłem niezbędne kroki. Kadłub jest załatany, wszystkie luki zostały zamknięte, a światła przyćmione, aby oszczędzać energię. Silniki są nastawione na najbardziej ekonomiczną prędkość: naszym głównym celem jest utrzymanie polaryzacji na czas długiego, równomiernego opadania do środka Ziemi. Nasze źródła energii są teoretycznie niewyczerpane, ale przestrzeń we wnętrzu Ziemi może być równa całemu systemowi słonecznemu.

Teraz jestem już przekonany, że nie ma nic bardziej przygnębiającego, niż podróż okrętem przez stałą materię. im głębiej się opuszczamy, tym dotkliwsza staje się świadomość tysięcy mil skały nad

naszymi głowami. Mam wyrzuty sumienia. To ja namawiałem kapitana Joule'a na głębsze zanurzenie i - kiedy teraz siedzę w półmroku tej stalowej skorupy - nie mogę uwolnić się od myśli, że namówiłem swoich towarzyszy na wyprawę do piekła.

Nasz okręt jest w ruinie. Ludzie leżą w milczeniu, przy miotaczach fal sejsmicznych nie ma nikogo. Wszyscy pogodziliśmy się z myślą, że nie przeżyjemy tej podróży.

I to jest cała nasza historia. Zapisuję ją, żeby ci, którzy znajdą nasz okręt, kiedy wreszcie wynurzy się po drugiej stronie świata (polaryzatory wytąca się wówczas automatycznie) dowiedzieli się o warunkach we wnętrzu Ziemi.

Według słów farmera, który, jak twierdził, widział to wydarzenie, okręt wynurzył się ze stoku wzgórza, po czym ześlizgnął się o jakie dwadzieścia stóp i zatrzymał na wielkim głazie.

Bain chętnie wierzył w tę ostatnią część opowieści potwierdzoną odłamkami skalnymi na drodze pojazdu, ale pierwsza część była zbyt fantastyczna, zwłaszcza że na stoku nie było ani siadu otworu. Bain specjalizował się w starożytnych cywilizacjach i nie mogąc znaleźć ani jednego znajomego rysu w pojeździe przytłaczającym go swoim pięćsetstopowym masywem, skłaniał się do poglądu, że przybył on z zupełnie innego kierunku.

- To musi być statek kosmiczny - powiedział do metaloznawcy przybyłego z zespołem z Sidney. - To nie może być nic innego. Ten farmer kłamie albo mu się zdawało.

Metaloznawca skinął głową. - Ja też tak sądzę - odpowiedział - nie rozumiem tylko, jak to się dzieje, że jest tak stary. Proszę tylko spojrzeć na tę pofałdowaną powierzchnię! Wie pan, co to jest? Zmęczenie metalu. Niektórych stopów nie potrafię zidentyfikować!

Bain przerzucił metalowe stronicę książki znalezionej w centrum dowodzenia. Stanowiła ona dla niego prawie niezbity dowód gwiazdowego pochodzenia statku: wygadała na coś w rodzaju logu, ale dziwaczne pismo w niczym nie przypominało żadnego z ziemskich języków, starożytnych i współczesnych.

- Nigdy nie znajdziemy kamienia z Rosetty do tego - pomyślał. Odczuł smutek na myśl, że ta relacja nigdy nie zostanie odczytana.

W tym momencie z luku wyszedł profesor Wilson i podszedł do nich podniecony. - To niewątpliwie statek kosmiczny - powiedział. - Jest tam przyrząd mierzący odległość przy pomocy częstotliwości elektromagnetycznych. Każdy fizyk potrafi odczytać z niego przebyty dystans.

Czy wiecie, jaką odległość zanotował ten przyrząd zanim stanął? Prawie jednaście lat świetlnych, jak stąd do Andromedy!

John Brunner Faktograf nr 6

Mervyn Grey, zwany „cudownym dzieckiem” świata wielkiego biznesu, stał się milionerem w wieku dwudziestu dziewięciu lat nie przez brak zdecydowania. Toteż kiedy tylko otrzymał od swego londyńskiego agenta, Edgara Cassona, wiadomość, iż temu udało się zakupić - płacąc po trzydzieści pensów za akcję - portfel akcji, które jeszcze w zeszłym tygodniu stały przeszło trzykrotnie wyżej, opuścił centralę swego finansowego imperium znajdującą się na Wielkiej Bahama i najbliższym Viscountem udał się do Londynu.

Oczywiście nie zadał sobie trudu, by telegraficznie uprzedzić Cassona o swym przyjeździe, ale flegmatyczny, krępy makler nie okazał zdziwienia, kiedy przed jego willą zatrzymał się Rolls prowadzony przez szofera. Poprosił żonę, żeby dalej sama zabawiała gości, których mieli na obiedzie, kazała zostawić mu coś gorącego na później i nie pozwoliła przeszkadzać mu pod żadnym pozorem, a sam przyjął Greya w bibliotece.

Grey - niski blondyn, napięty i chwilami wręcz rozgorączkowany - zawsze (nawet wtedy kiedy siedział za swym biurkiem) robił wrażenie człowieka, który za chwilę pomknie gdzieś w szalonym pośpiechu. Teraz opadł w najwygodniejszy fotel, wziął do ręki pełniejszy z dwóch kieliszków sherry i zapytał: - Cóż do diabła stało się z Luptonem i Whitem, że ich akcje spadły tak nisko?

Casson wiedział, że Grey zada mu to pytanie, ale fakt, że zazwyczaj dzielił ich cały Atlantyk, powodował, iż nieco przesadnie oceniał swą zdolność do zachowania spokoju, kiedy jego szef wpada w złość. Obliznął nerwowo wargi i powiedział naburmuszony: - Muszę panu powiedzieć, że dalej coś się z nimi dzieje. Kiedy zamykano dziś giełdę, za ich akcje dawano po sześć pensów i jutro n'e będzie można ich sprzedać. W tej sytuacji uznałem za stosowne...

- Co się z nimi stało? - warknął Grey. - I proszę mi nalać jeszcze jeden kieliszek tego paskudztwa, które panu wkręcono jako sherry.

Casson westchnął głośno i wykonał polecenie. Niemal cały dzień powtarzał sobie w myślach wyjaśnienia, jakich miał zamiar udzielić Greyowi, gdyby ten pojawił się osobiście, i był przekonany, że po wielu trudach udało mu się przygotować imponującą opowieść: początkowe zaskoczenie, szybka reakcja, która pozwoliła na uniknięcie strat, dyskretne sondáže wśród ekspertów i wreszcie interesujące odkrycie...

Ale teraz wiedział już, że się to na nic nie zdało. Jeśli będzie próbował się wyłgiwać, to Grey po prostu wyleje go z posady. Odstawił ponownie napełniony kieliszek i wzruszywszy ramionami sięgnął do wewnętrznej kieszeni swego nieskazitelnego smokinga.

- Oto co się z nimi stało - powiedział głośno i podał Greyowi złożoną kartkę papieru.

- Faktograf nr 5 - Grey przeczytał na głos napis umieszczony u góry kartki, kiedy ją rozwinął. - Co to ma do rzeczy?

- Proszę przeczytać całość - mruknął Casson - a wtedy będzie pan wiedział tyle samo, co ja, czy ktokolwiek z ludzi, z którymi rozmawiałem na ten temat.

Grey spojrzał na niego spode łba, ale zabrał się do czytania. Kartka, którą wręczył mu Casson, była rodzajem ulotki, odbitej z oryginalnego maszynopisu. Co gorzej, oryginał ten był bardzo zły: o nierównych marginesach, z wieloma błędami i kilkoma wierszami niedbale wyiksowanymi. Tytuł ulotki wydrukowano wyraźnymi czarnymi literami, ale i tu widać było partacką robotę; górna część liczby „5” była zamazana i niewyraźna, Cały tekst obejmował dziesięć czy dwanaście akapitów, a każdy z nich rozpoczynał się nazwą jakiejś spółki czy towarzystwa. Większość z nich była mu znana. Z postępującą lekturą narastała w nim wściekłość i zdumienie.

Dale, Dockery & Petronelli Ltd. Producenci lodów. 3021 dzieci, które w ciągu ostatnich sześciu

miesiące zakupiły ich produkty, doznało różnych zaburzeń żołądkowych.

Grand International Tobacco Coro. Papierosy marki „Prestige”. „Chilimenth” i „Cachet”.

Wśród użytkowników

tych marek zanotowano w ciągu ostatniego roku 4186 przypadków raka płuc.

Naukowo Sprawdzane Środki Ochronne, Sp. z o.o. Wyroby kauczukowe. W rodzinach, które korzystały wyłącznie z produktów tej firmy, zanotowano w ciągu ostatniego roku 20512 przypadków niepożądaney ciąży.

I wreszcie to, czego szukał: Lupton & White Ltd. Wyposażenie dla dostawców artykułów żywnościowych. 127 pracowników firm korzystających z maszynek do krajania chleba, z mechanicznych noży do krajania szynki i tym podobnych urządzeń dostarczonych przez tę spółkę utraciło w omawianym okresie po jednym lub więcej palców.

Grey zadrżał wyobraziwszy sobie przez chwilę rękę, z której krew tryska na białą emalię krajarki do wędlin, aie natychmiast uzmysłowił sobie, że w grę wchodzi strata pięćdziesięciu tysięcy funtów. Spojrzał na Cassona, który tymczasem usadowił się w fotelu visavis Greya i ponuro zabierał się do zapalenia cygara.

- Ten szmatławy donos miał wykończyć Łupiona i White'a?

- Tak powiedzieli mi eksperci - odparł Casson.

- Ależ na miły Bóg! - Grey przebiegł szybko wzrokiem obie strony ulotki. - Ulotka wymienia jedenaście spółek. A czy innym nic się nie przydarzyło? Na przykład - Grand International Tobacco?

- Przed dwoma tygodniami podjęli akcję uruchamiania nowych przedsiębiorstw i sprzedaż ich produktów wzrosła poważnie. Spowodowało to wzrost ich kursu na giełdzie. Normalnie rzecz biorąc, należało się spodziewać, że ta tendencja utrzyma się przynajmniej przez pół roku. Ale z jakichś powodów ich kurs spadł wczoraj do poprzedniego poziomu, a dzisiaj o trzy pensy poniżej. Oczywiście, to niczego nie dowodzi. Ale ta koincydencja na coś wskazuje.

- Cóż za bzdura! Przecież takie rzeczy są czymś normalnym, natomiast spadek akcji toki, jak w przypadku Luptona i White'a, jest właściwie czymś bez precedensu, jeśli nie mamy tu do czynienia z bankructwem! Jakże może pan twierdzić, że to wszystko spowodował jakiś niechlujny świstek papieru? A poza tym - dlaczego przyda rzyło się to akurat tej firmie, a nie producentom prezerwatyw z ich - rzekomo - dwudziestoma tysiącami ofiar?

- Przyznaję, że Lupton i White byli dalecy od bankructwa. Ich zysk w zeszłym roku wzrósł w porównaniu z rokiem poprzednim o 8%, inne ich wskaźniki są w dalszym ciągu prawidłowe... Ale nie można domagać się odszkodowania od firmy, z winy której rodzi się nam niepożądane dziecko! Można natomiast zaskarżyć kogoś, przez kogo straciliśmy palec. A poza tym, jak słyszę, parlament ma się właśnie zająć projektem nowego prawa o odszkodowaniach przemysłowych...

Grey ściągnął brwi. - Rozumiem! Ma pan na myśli paragraf, obciążający odpowiedzialnością tych wytwórców, których produkty nie spełniają wymogów Brytyjskiej Normy. Ten projekt nigdy nie przejdzie - już my się o to postatamy - ale wyobrażam sobie, że ludzie mogli się przestraszyć... Ale przecież nie do tego stopnia!

- Nie każdy ma taką pewność, jak pan, że ten nowy projekt nie przejdzie - powiedział Casson. - Po drugie, w związku z tą sprawą zrobiłem pewne obliczenia i okazało się, że jeśli liczby podane w tej ulotce są prawdziwe i jeśli prawdziwe są dane dotyczące podobnych przypadków, to gdyby ilość wypadków spowodowanych przez produkty Luptona i White'a miała osiągnąć pułap zeszłoroczny - firma ta musiałaby wypłacić poszkodowanym około trzech milionów dolarów tytułem odszkodowania.

- Muszą zatem odnowić park maszynowy, by sprostać wymaganiom technicznym - powiedział

sucho Grey. - Będzie to ich kosztowało... A, teraz sobie przypominam. Przecież zrobił to już jakieś trzy lata temu!

- I spłacili dopiero 60% pożyczki, jaką uzyskali na sfinalizowanie tej akcji. Casson nadał temu stwierdzeniu charakter nieodwołalny. - Nie, dziś Lupton i White nigdzie nie znajdują już kredytu i ich plajta jest nieuchronna. Będzie to zresztą dowodem sprawiedliwości losu, jeśli przyjmiemy, że ich maszyny rzeczywiście okaleczyły tylu nieszczęśników.

- Nonsens! - zawołał, Grey. - Byle idiota wie, że każdy instrument służący do cięcia jest niebezpieczny! Nawet scyzoryk, nie mówią już o brzytwie.

Casson skrzywił usta tak, jakby mimo jego przygnębienia, ostatnie zdanie Greya rozbawiło go. - Człowiek, który wydrukował ten Faktograf, całkowicie zdaje sobie z tego sprawę - powiedział. - Ale nie przeczytał pan jeszcze drugiej strony. Niech pan spojrzy. To chyba przedostatnia pozycja.

Grey odwrócił kartkę i przeczytał głośno: - Brzytwy firmy Zorza używano w dwudziestu trzech na dwadzieścia osiem wypadków okaleczenia znanych policji w... - Przerwał nagle i spojrzał na Cassona.

- Jak taką bzdurę można traktować serio? To wymysł! jakiegoś szaleńca!

- A jednak ktoś potraktował to poważnie. Prawdę mówiąc - nawet wielu ludzi. To, co stało się z Luptonem i White'em jest chyba wystarczającym dowodem, co?

- Dowodem? Nie może pan tego nazwać dowodem! - Grey zerwał się z miejsca i zaczął przemierzać wielkimi krokami pokój. - A te inne spółki? Poza Luptonem i White'em żadna z nich nie splajtowała!

- Po pierwsze: trzy z nich nie są spółkami akcyjnymi, toteż możemy nie brać ich pod uwagę, i prawdę mówiąc, zastanawiam się, dlaczego autor tej ulotki w ogóle je tu uwzględnił. A pozostałe spółki są finansowo uzależnione od towarzystw o wiele większych, co może im ułatwić wyjście z trudnej sytuacji.

- Ale! - Grey wyrzucił pięścią w stolik tak, że Faktograf spadł na podłogę. Casson pochylił się i podniósł go.

- Ale co?

- Ale jeśli przyjmiemy, że ma pan słusność, to przecież trzeba coś z tym zrobić. Czy to nie jest... no... rodzaj oszczerstwa?

- Obawiam się, że nie. Korporacji nie można zniesławić, tylko jednostkę.

Ale to jest tak oczywista bzdura! - zagrzmiał Grey. - Do diabła, któż mógł wysledzić rodziców tych wszystkich niepożądanych dzieci? To absurd!

- Absurd czy nie absurd, zapewniam pana, że bardzo wielu ludzi potraktowało to bardzo poważnie. Mogę mówić dalej?

- Proszę, niech pan mówi. - Grey opadł znowu na fotel.

- Zdobycie tego numeru Faktografu kosztowało mnie wiele czasu i wysiłku - podjął Casson. - Chcąc wykryć, co się przydarzyło Luptonowi i White'owi, zadzwoniłem między innymi do jednego z moich - no, powiedzmy - starych przyjaciół i usłyszałem, że gdyby zdawał sobie sprawę z tego, że mam jakieś akcje tej firmy, toby mnie ostrzegł w porę. Kiedy zapytałem go, skąd czerpie swoje informacje, odparł, że powie mi, jeśli zaproszę go na lunch. Zaprosiłem go i wtedy pokazał mi tę ulotkę. Miał jej kopię, więc podarował mi ten egzemplarz.

Nie znał nikogo, kto by ją także otrzymał, jak również nie miał pojęcia, dlaczego dostał ją właśnie on, ani też, kto mu ją przysłał. Faktografy przychodzą po prostu pocztą, mniej więcej raz na miesiąc, w kopercie bez nadruku i różnie omarkowane. Czytał je począwszy od numeru 3, który zresztą wyrzucił, bo uznał go za plód jakiegoś szaleńca. Jednakże jedna z informacji podanych w tym

numerze utkwiała mu w pamięci, ponieważ odnosiła się do pewnej firmy produkującej konserwy mięsne, którą się interesował, i zawierała oskarżenie, że przy ich produkcji nie dość starannie przestrzega się przepisów dotyczących higieny. Tak więc, kierując się irracjonalnym odruchem (jak się sam wyraził), zdecydował się nie kupować akcji tej firmy. W kilka dni później wyszło na jaw, że wybuch epidemii tyfusu brzuszego w Leeds miał związek z konserwami wołowymi przysłanymi przez tę samą firmę. Oczywiście przez trzy miesiące ich zbyt równał się zeru, dopóki nie zapomniano o tej aferze.

- Dalej - powiedział Grey słuchający z napięciem.

- No więc, kiedy mój przyjaciel otrzymał następny Faktograf, przestudiował go już bardzo starannie. Nie miał akcji żadnej z firm, które znalazły się na kolejnej liście, ale z czystej ciekawości postanowił nie spuszczać z nich oka. Jedno z przytoczonych tam oskarżeń przypominało sprawę firmy produkującej lody. Chodziło tam o Radość Dziecka: jak twierdził autor ulotki, cała masa dzieci pochorowała się dotknąwszy zabawek importowanych przez tę firmę. Zna ją pan?

- Oczywiście. Sprowadzają lalki i zabawki z Hongkongu i Japonii. To oni zadarli ze Zrzeszeniem Konsumentów.

- Tak, to ci sami - potwierdził Casson. - Dowiedziono, że w farbie używanej do malowania niektórych zabawek znajdowała się domieszka arszeniku, musieli więc wycofać z handlu i spalić towar wartości dziesięciu tysięcy funtów.

- Kto, do diabła, powiedział panu o tym wszystkim? - zapytał Grey.

- Prosił mnie wprawdzie, żebym nikomu nie zdradził jego nazwiska - zamruczał Casson. - Ale... No, wystarczy, jeśli powiem, że jestem za stary cynik na to, żebym połknął taką historię nie przyglądając się bliżej temu, kto mi ją opowiedział, toteż - z zachowaniem całej dyskrecji - zasięgnąłem o nim informacji. Zaczął od dwudziestu tysięcy, które odziedziczył, kiedy miał dwadzieścia jeden lat, i doszedł dziś do przeszło półtora miliona, gotów więc jestem dać głowę za jego kompetencje i rozsądek.

Grey patrzył na niego przez dłuższą chwilę i wreszcie zapytał: - Czy ten facet od Faktografów zaczął kiedykolwiek jakąś naprawdę wielką korporację?

- Nie wiem.

- Niech no ja się przyjrzę lepiej tej ulotce! - Grey pochwycił kartkę Faktografu i przez chwilę dumiał nad nią w milczeniu. W końcu powiedział: - Jedno trzeba mu przyznać. To niezły cwaniak, co?

- Nie rozumiem...?

- Niech pan nie udaje! - prychnął wściekle Grey. - Przecież potrafi pan widzieć dalej niż czubek własnego nosa! Sprawa jest jasna: mamy tu do czynienia ze wspaiałym aferzystą, jednym z najinteligentniejszych manipulatorów rynku, o jakich słyszałem. Ale zdradza go wzorec, który się tu powtarza. Naprawdę nie rozumie pan tego?

Zdenerwowanie, które przeminęło, kiedy tylko Casson - jak mu się zdawało - przekonał Greya o prawdziwości swych zapewnien, teraz powróciło z całą siłą. Niepewnie potrząsnął głową.

- To znaczy, że jest pan bardziej naiwny, niż przypuszczałem - warknął Grey. - I może powinienem zastanowić się nad przekazaniem moich interesów komuś, kto nie cierpi na przedwczesną sklerozę! Do diabła, człowieku, niech pan pomyśli choć przez chwilę! Z tego, co mi pan powiedział, wynika, że wszystkie te Faktografy ukła dane są wedlug jednego wzoru. Każdy z nich opiera się na Jakimś stwierdzonym fakcie - zarażone mięso w jedynym przypadku, farba z arszenikiem w drugim - o którym może się dowiedzieć każdy, kto ma dostęp do właściwych źródeł. Możemy się założyć, że potrafiłbym bez większego trudu wymienić ze dwadzieścia faktów obciążających tyleż samo różnych znanych spółek. Potem wymyśliłbym jeszcze trochę oszczerstw, dorzucił do tego dane

statystyczne, których nie można ani zweryfikować, ani zbić, ale które wydawałyby się prawdopodobne, i dam głowę, że to samo robi ten facet od Faktografów. A potem uwieńczyłbym to wszystko historyjką o firmie szczególnie wrażliwej na ciosy wskutek szczególnych okoliczności, takiej właśnie jak Lupton i White. W rezultacie otrzymałbym możliwie najdoskonalszą informację wewnątrzrynkową, prorocstwo spełniające się bez pudła.

- Tak, ale - przerwał mu Casson. - Ale co? Mów pan! Co pan sądzi o człowieku, który zbiera taką kolekcję bzdur?

- Sądzę, że...

- Myśli pan, że to jakiś filantrop, który chce zwrócić uwagę społeczeństwa na to, iż wytwarza się produkty, które wywołują choroby, obcinają ludziom palce, powodują wypadki i zabijają ich? Jeśli tak, to dlaczego nie atakuje wiekch korporacji dysponujących personelem, który mógłby zweryfikować jego oskarżenia? Bezpośrednio lub pośrednio kontrolują siłę roboczo!iczącą sześćdziesiąt tysięcy ludzi. Gdybym musiał, to choćby jutro najałbym jeszcze stu, po to tylko, żeby zbadali, czy prawdą jest, że w ubiegłym miesiącu uległo wypadkowi ileś tam tuzinów wozów, których koia miały opony marki „Ultrac”, lub też, że tyle a tyle gospodyń domowych utopiło się w pralkach marki „Magiczny Wir”. - Grey roześmiał się chrapliwie. - i właśnie dlatego ten facet nie rzuca się na duże firmy. Dowiodłyby mu, że jest kłamcą, gdyby zostały do tego zmuszone,

- A pan? - zapytał Casson.

- Co ja?

- Czy pan wynająłby specjalnych ludzi do sprawdzenia tych oskarżeń? Kiedy kontrolerzy ze Zrzeszenia Konsumentów donieśli, że opony marki „Ultrac” powodują większe zarzucanie kół i mają większą tendencję do spadania z obręczy kota na zakrętach...

- Powiedziałem im, żeby mnie pocałowali gdzieś! To prawda. Ale - do diabła - czego się pan spodziewał? Każda opona nada się tylko do wyrzucenia, jeśli nie będzie się jej oszczędzać, i czy stało się nam coś? Oczywiście - nie. Nasz zbyt wzrósł! Ultraki cieszą się ogromną popularnością, bo są tanie i dobrze reklamowane. Ta cała bzdura z kontrolowaniem produktów przez konsumentów znajduje posłuch może u stu tysięcy nabywców w całym kraju, a przecież mamy miliony takich, którzy chcą tego, co im dają. To są fakty. Nie ja wymyśliłem rynek i nie ja ponoszę odpowiedzialność za tych, którzy o nim decydują. Ale nie odpowiedział pan na moje pytanie;

czy rzeczywiście wyobraża pan sobie wydawcę tego Faktografu jako rycerza w lśniącej zbroi rozpoczynającego krucjatę przeciwko niebezpiecznym produktom? Nie, nie sądzę, żeby pan był aż tak naiwny.

Okropnie zakłopotany Casson poczuł, że pogardliwe słowa jego szefa przyprawiają go o rumieniec. Miał już pięćdziesiąt cztery lata. Nie po raz pierwszy zadawał sobie pytanie, jak długo jeszcze będzie w stanie pracować dla tego... dla tego młodzieniaszka. Kiedy spotkali się po raz pierwszy, był dokładnie dwa razy starszy od Greya. Był już wtedy człowiekiem doświadczonym, odnosił sukcesy i cieszył się dużym szacunkiem w swej dziedzinie. Jednakże w Greyu było coś, co budziło chęć, by zwinąć się, skulić w sobie i uciec gdzieś możliwie najszybciej. Być może pragnienie to budziła w nim ta cecha Greya, która pełni podziwu dziennikarze pisujący kroniki towarzyskie bez wahania określali mianem bezwzględności, a może po prostu to jego bezwstydną chciwość czyniła go szczególnie wyczulonym na chciwość ludzi, którzy kupowali towary, jakie im oferował.

Swą karierę rozpoczął(od produkcji trwałych artykułów gospodarstwa domowego i od odkrycia - nienowego. ale nigdy przedtem nie rozpatrywanego w tym świetle, w jakim ukazał je Mervyn Grey - że ludzie nie lubią płacić dużo za wyposażenie służące do wykonania tak mało o!śniewającej pracy,

jak pranie, jednakże czują się zmuszeni do kupowania drogich urządzeń o wysokiej precyzji, ponieważ już akt samego kupna przydaje splendoru ich pracy.

Skutkiem tego odkrycia była produkcja pralek do montowania w domu: można je było złożyć w ciągu pół godziny przy pomocy dołączonego do nich śrubokrętu. Efekt był nie tylko estetyczny - Grey wynajął dobrych projektantów, by opracowali opakowanie dla jego produktów, i specjalistów od marketingu, by stwierdzili, jaki kolor, kształt i „dodatki” były najbardziej poszukiwane - lecz także spektakularny. W zamian za poświęcenie około pół godziny ze swego czasu mogłeś mieć maszynę tej samej wielkości, co twoi sąsiedzi, tylko tyle, że oni zapłacili za nią trzy razy więcej. A co ważniejsze, twoja była ładniejsza.

Dalsza droga doprowadziła go do produkcji innych drogich artykułów gospodarstwa domowego, dostarczanych również w postaci składanych części, a wyczerpawszy możliwości, jakie się tu przed nim otworzyły - aparaty telewizyjne go nie interesowały - Grey zwrócił się do najpoważniejszej pozycji w budżecie rodzinnym - do samochodu. Przede wszystkim trzeba było wozom nadać taki kształt, by zwykle samochody wyglądały jak wykonane na zamówienie; następnie udało się doprowadzić do poważnego przełomu w produkcji opon samochodowych, a to dzięki odkryciu, że kierowcy niechętnie płacą drogo za wyposażenie, którego nie zauważa i nie chwali nikt poza ekspertami, i wolą raczej zainstalować w swym wozie filtr słoneczny i staromodny klakson niż komplet nowych opon wysokiej jakości.

I tak interes rozwijał się w zawrotnej spirali. Czegoś podobnego nie widziano od czasów Johna Blooma, który też zrobił zawrotną karierę, jednakże Mervyn Grey - w przeciwieństwie do swego poprzednika - nie okazał niczym, że przeliczył się z siłami. Nawet tak katastrofalna strata, jak ta, którą właśnie poniósł przez Luptona i White'a, nie miała większego znaczenia w bilansie towarzystwa posiadającego dziesięciokrotnie większą wartość.

Ale co teraz?

Nagle Casson zdał sobie sprawę, że Grey przygląda mu się z sardonicznym uśmiechem, i gwałtownie zaczął przeszukiwać pamięć, by wyłowić z niej choćby echo ostatnich słów, które szef zwrócił do niego.

- Tak więc - nie! Nie wyobrażam sobie tego faceta jako „krzyżowca”. I by odwrócić uwagę rozmówcy od swego chwilowego zamyślenia, brną! rozpaczliwie dalej. - Ale z drugiej strony, musi to być maniak... Zastanawiam się, czy nie jest to jakiś zbtąkany idealista?

Grey zastanowił się przez chwilę, a jego twarz przybrała życzliwszy wyraz. - Nie sądzę, chociaż jest to rozsądne przypuszczenie. Monomaniak opętany ideą bezpieczeństwa drogowego, zdrowia dzieci i tak dalej, zadawałby ciosy na ślepo i - jak już powiedziałem - raczej atakował największe korporacje. Tymczasem ta akcja ma wszelkie cechy przebiegłej i starannie przemyślanej kampanii. Wykorzystajmy więc ten fakt.

Pochylił się naprzód i zetknął czubki palców obu rąk. - Chciałbym, żeby zrobił pan dwie następujące rzeczy. Po pierwsze - wykupi! Łupiona i White'a.

- Co taakiego? Przecież oni lada moment zbankrutu

JąS

- Ależ z pana głupiec! Nie chodzi mi o wykup nadwyżki ich akcji po to, żebym mógł wytapetować sobie nimi ściany! Mam na myśli błyskawiczny wykup większej części całego portfela ich akcji i przejęcia tej spółki przez nas! Kto finansował zeszłoroczną rekonstrukcję ich zakładów? Czy nie był to jeden z banków handlowych? No, nieważne, ale ktokolwiek to zrobił, nie pozwoli im zbankrutować. Teraz zaczną skutecznie kontrolować to, co pozostało z ich aktywów, a jeśli wartość ich nieruchomości nie pokryje ich zadłużenia, to chyba przyjmą nasz plan poprawy sytuacji, co? Na

Boga, przecież ten nowy projekt prawa o odszkodowaniach przemysłowych nie zostanie uchwalony już w przyszłym tygodniu! Może by pozbyć się niebezpiecznych produktów - wyeksportować je po kosztach własnych, jeśli trzeba będzie! Musi się gdzieś znaleźć jakiś nieświadom rzeczy bałwan, który chętnie ozdobi swój spożywczy sklepik ślisczną nową maszynką do krajania chleba czy szynki! Zrasztą - do stu diabłów! - dlaczego mam tłumaczyć szczegóły tej operacji właśnie panu? Wystarczy zmiana nazwy firmy i czar nazwiska „Mervyn Grey”, żeby w ciągu kilku lat całe przedsiębiorstwo wróciło do równowagi. Złe się tylko stało, że pan uległ panice i wyzbył się naszego portfela akcji, tak że teraz będziemy musieli wykupić go z powrotem...

- Skoro ich wartość zaczęła spadać tak szybko - wtrącił nieśmiało Casson,

- Trzymał się pan sztywnych reguł postępowania, zamiast posłużyć się odrobino wyobraźni. Ale to nieważne. Przynajmniej to, cośmy wypuścili z rąk, odkupimy za ułamek dawnej ceny. A przy odrobinie szczęścia wyjdziemy z tego jeszcze z zyskiem. Ale pan będzie musiał wziąć się w garść, chłopcze!

- Tylko nie „chłopcze” I - warknął Casson.

- A dlaczego nie? - ton głosu Greya był niby dzika pieszczota. - Jeśli pan zachowuje się jak niedoświadczony nastolatek, to trudno nie traktować pana jak chłopca. A Ee teraz już dość! Nie mam zamiaru siedzieć w tym wilgotnym i zimnym kraju ani chwili dłużej, niż to jest konieczne. A żeby naprawić swój błąd, zrobi pan jeszcze jedno: odnajdzie mi pan tego człowieka, który to publikuje! - tu wskazał palcem na Faktografa leżący na stoliku. - Ten facet odkrył coś, co przynosi mu korzyść. Otóż ja chcę to mieć, żeby mnie to przynosiło korzyść, i nikt mi nie powie, że nie potrafię docenić oryginalnego pomysłu, szczególnie, jeśli przynosi tak okazałe dywidendy.

Wstał i ruszył ku drzwiom. - Ma pan, chłopcze, czas aż do ukazania się następnego Faktografu - rzucił przez ramię. - A jeśli się to nie uda, jest pan u mnie skończony. Cześć!

Im bardziej Grey się nad tym zastanawiał, tym bardziej podziwiał genialną prostotę Faktografu. Jeśli jej twórcy udało się w ciągu kilku zaledwie miesięcy pozyskać zaufanie zarówno Cassona - który mimo wszystkie szyderstwa Greya był człowiekiem o ogromnych kompetencjach - jak i jego anonimowego przyjaciela oraz przynajmniej kilku tuzinów ludzi posiadających poważne pakiety akcji Łupiona i White'a (bo w przeciwnym razie nie doszłoby do tak szybkiego i tak całkowitego spadku ich akcji)... to ten facet miał zdumiewający dar wykorzystywania ludzkiej naiwności. Przez całe życie Grey był przekonany, że wszyscy ludzie są zarówno chciwi, jak i niezwykle głupi.

Odkrycie kogoś, kto doszedł do tego samego wniosku i potrafił wyciągnąć z tego korzyści, wystarczyło, by zdecydował, iż człowiek ten, podobnie jak on sam, należy do elity.

Codziennie napływały z Londynu nowe dane, które pozwalały mu uzupełnić wyobrażenie, jakie wyrobił sobie o tajemniczym manipulatorze rynku. Zrazu Grey skłonny był przypuszczać, że Casson w końcu puści farbę i przyzna się, że chodzi tu o kogoś, kogo dobrze zna - nie był on jedynym przedsiębiorcą, który mógł zyskać na przejęciu za bezcen spółki produkującej wyposażenie dla sklepów spożywczych. Jednakże z upływem czasu zaczął uważać tajemniczego manipulatora za finansowy odpowiednik cygańskiej wróżki i to nie tylko dlatego, że z reguły stosował on metodę przekazywania istotnej informacji w całej plejadzie starannie dobranych faktów, które nie miały z nią nic wspólnego, a całości nadawał pozór precyzji przytaczając swe niewiarygodne dane statystyczne, ale także dlatego, że od samego początku swej akcji w sposób pomysłowy kierował swe miesięczne biuletyny pod fałszywy adres.

Gdyby biuletyny te wydawane były schludnie i miały charakter profesjonalny, ludzie od razu uznaliby, że mają do czynienia z jakąś normalną agencją wydawniczą specjalizującą się w informacji rynkowej. Autor wolał jednak podjąć ryzyko, że większość jego odbiorców wyrzuci przysłane im

biuletyny do kosza, traktując je jako bzdury nieudolnego amatora, i wyraźnie liczył na to, że los ześle mu niewielkie grono ufnych czytelników, którzy będą czytać jego biuletyny dość dokładnie, by pamiętać jego przepowiednie, kiedy będą się sprawdzać. W przypadku przyjaciela Cassona była to zapowiedź dotycząca firmy produkującej konserwy mięsne; niewątpliwie w przypadku jeszcze większej ilości „klientów” chodziło o aferę trujących zabawek.

- Dobrze pomyślane - powiedział Grey do siebie. A potem dodał: - Chcę mieć tego człowieka! Do diabła! Jak długo jeszcze Casson będzie się bawił?

Chociaż bowiem nowe informacje nadchodziły niemal codziennie, w gruncie rzeczy nie przynosiły nic nowego. Odnaleziono jeszcze innych adresatów biuletynu, ale i oni otrzymywali go zawsze anonimowo, zawsze w zwykłych kopertach, które nigdy nie miały takich samych stempli. Ludzi tych dobierano bardzo starannie. Byli wśród nich tacy, którzy opracowywali programy inwestycyjne dla trustów i niektórych największych firm ubezpieczeniowych, ale nie tylko. Byli wśród nich także ludzie zajmujący kluczowe stanowiska w sieci sklepów rozprowadzających towary konsumpcyjne, tacy jak czołowi nabywcy dla sklepów wielobranżowych, zaopatrzeniowcy organizujący dostawę dla sklepów z częściami samochodowymi i dla stacji obsługi samochodów, jak również szefowie agencji eksportowych, przez których ręce przechodziły co roku brytyjskie towary wartości milionów funtów szterlingów. A jak ustalił Grey, każdy z tych ludzi pozostawał w kontakcie ze światem finansów i to dość bliskim, by szybko zorientować się w słuszności ostrzeżeń pojawiających się w nędznych małych ulotkach.

Obserwując kurs firm wymienionych w biuletynie, który dostał od Cassona, Grey wykrył daleką analogię z katastrofą, jaka wydarzyła się Luptonowi i White'owi, w stopniowym spadku akcji Grand International Tobacco w przeciągu kolejnych kilku tygodni, w cofnięciu się poprzedniej powolnej zwyczajki akcji innego towarzystwa, w na. głym wycofaniu oferty przejęcia pewnego przedsiębiorstwa przez jeszcze inne.

Pod wpływem nagłego impulsu zadzwonił do Cassona bezpośrednio, ale rozmowa z nim niewiele mu dała. Koperty, w których przychodziły Faktografy, należały do gatunku najbardziej popularnego w kraju; papier, na którym je drukowano, pochodził z największych papierni;

maszyna, na której pisano oryginał każdego Faktografu, był to model już nie produkowany, ale w użyciu mogło być jeszcze kilka tysięcy jego egzemplarzy. Wysłuchawszy całej masy wymówek i przeprosin, Grey wpadł w gniew. Jego wizja wydawcy biuletynu jako człowieka żyjącego z abstrakcyjnych danych, manipulującego cenami akcji z pewnego rodzaju wyniosłym rozbawieniem, po to, by pomnożyć swą fortunę, nabrała dlań rumieńców życia:

siebie i tajemniczego autora widział już jako współpracowników działających we wspólnym interesie.

- Daję panu jeszcze tydzień czasu! - wybuchnął. - Jeżeli nią znajdę się na liście adresatów Faktografii nr 6, to jest pan u mnie skończony! Zrozumiano?

W słuchawce zapanowała cisza. Dopiero po chwili Casson odzyskał głos:

- Prawdę mówiąc, przyszło mi do głowy, że mógłby pan zrobić jeszcze jedno... - odezwał się. - Wahałem się, czy mam to panu powiedzieć, ale...

- Co takiego?

- Niech pan da ogłoszenie. Na przykład w Financial Times. Jestem pewien, że ten - no, autor tych biuletynów - uważnie czytuje prasę tego rodzaju...

Grey był już gotów odrzucić ten pomysł jako śmieszny, ale w ostatniej chwili powstrzymał się i zaczął go rozważać. W gruncie rzeczy, jeśli trzeźwo przyjrzeć się całej sprawie, to fakty przytoczone przez Cassona, takie np, jak pospolitość materiałów, których używano do przygotowania

Faktografów, wskazywały niedwuznacznie, iż ciężko będzie zburzyć mur anonimowości otaczający autora biuletynów. A on, Grey, bardzo chciał znaleźć tego człowieka. Chciał tego tak bardzo, że stało się to jego prawdziwą obsesją. Łapał się już na tym, iż wyobrażał sobie wszystkie możliwe sposoby wykorzystywania reputacji, którą cieszyły się teraz Faktografy, do obniżania cen spółek, wykupywania ich i wprowadzania z powrotem na rynek pod nowymi nazwami w aureoli tego, co nazywał swym „czarem”.

Sam był zbyt niecierpliwy na to, by po prostu ściągnąć pomysł anonimowego autora i zacząć wydawać swój własny miesięczny biuletyn o podobnym profilu. Chciał mieć do swej dyspozycji ów zasób dobrej woli - czy raczej łatwowierności - którą zaskarbił sobie autor istniejącej wersji biuletynu.

- Sądzę, że powinniśmy zamieścić kilka anonimowych ogłoszeń również w innych pismach - odezwał się Casson.

- Anonimowych? - przerwał mu Casson. - Boże broń! Czy chce pan zniszczyć dobre wrażenie, jakie robią pańskie - jakże, niestety, rzadkie - trafne pomysły? Dlaczego anonimowych? Jeśli będzie wiadomo, że Mervyn Grey interesuje się Faktografem, to będzie to dyplom uznania, na którym temu facetowi zależy, i prawdopodobnie na wet największych sceptyków zapędzi to na jego podwórko. Tak, w ten sposób pozyskam sobie jego wdzięczność... No, a teraz do roboty! Niech pan natychmiast zamieszcza te ogłoszenia, i to podpisane moim nazwiskiem!

W sześć dni później w porannej poczcie znalazła się zwykła koperta poczty lotniczej zawierająca pół arkusza zwykłego białego papieru i zaadresowana do „Mr Mervyna Greya, Mervyn Grey Enterprises, Grand Bahama Island” List napisany na maszynie brzmiał krótko:

„Widzę, że przejawia Pan zainteresowanie kolejnym numerem mojego Faktografu. Bardzo słusznie! Z przyjemnością sam pokażę Panu egzemplarz. Proszę przyjść osobiście”.

U góry kartki znajdował się adres nadawcy; było to małe miasteczko położone kilka mi! na północ od Londynu. U dołu zaś widniał podpis autora listu: George Handling. I nie tylko typ czcionki był tu ten sam, co typ czcionki używany w Faktografach, ale także ta sama nieudolność w sposobie pisania: w kilku liniijkach listu jego autor popełnił przynajmniej z pół tuzina błędów.

Grey z triumfem polecił swej sekretarce, żeby zakupiła mu bilet na najbliższy samolot odlatujący do Anglii. Już chciał jej kazać, by połączyła go z Cassonem, ale w ostatniej chwili zmienił zamiar. Albowiem chociaż pomysł Cassona z poszukiwaniem wydawcy Faktografów za pośrednictwem ogłoszeń przyniósł rezultaty, to jednak jego agent potrzebował nieprawdopodobnie długiego czasu, żeby w ogóle na to wpaść. Z Cassona więc - zdecydował Grey - należałoby zrezygnować na korzyść kogoś młodszego i bardziej przedsiębiorczego, ale lepiej będzie sprowokować go do rezygnacji niż otwarcie udzielić mu dymisji. A najlepiej, oczywiście, byłoby posłać go na emeryturę, nie po to, żeby nie ranić jego uczuć (ludzi, którzy nie potrafili dać sobie rady w życiu, Grey uważał za zbędny ciężar i nie ruszyłby palcem, żeby im pomóc), lecz po prostu dlatego, że nie chciał ujawniać wewnętrznych konfliktów swego finansowego imperium.

Zrobimy więc tak, pomyślał: Udam się do Anglii nie powiadamiając przedtem nikogo o swym przyjeździe, następnie pojedę do domu czy urzędu tego pana Handlinga i przedstawię mu korzystną propozycję”. W stosownym czasie mógłbym mu nawet zaproponować objęcie stanowiska Cassona, jeśli inne talenty Handlinga dorównują umiejętności wykorzystywania łatwowierności ludzi. Człowiek, który potrafiłby wykorzystać w maksymalnym stopniu nowe możliwości w walce z konkurencją, jakie otwierało wydawanie Faktografii, musiał odznaczać się fantastyczną pomysłowością.

Oczywiście nie obeszło się bez hojnych napiwków: pracownikom linii lotniczej, żeby być

pewnym, iż nikt nie piśnie słowa o jego przybyciu, dziennikarzom - niemal za każdym razem, kiedy udawał się do Anglii, czyhało na niego kilku dziennikarzy - potem, po przybyciu, naziemnej obsłudze lotniska, żeby nie musiał pojawiać się publicznie wśród pasażerów w sali odpraw celnych, a jeszcze później firmie wynajmującej samochody, w której wypożyczał małą i nie rzucającą się w oczy limuzynę.

I mimo, że jesienne niebo dalej tchnęło smutkiem, Grey zaczął pogwizdywać za kierownicą swego wozu. A kiedy jutro czy pojutrze Casson zgłosi się z najnowszymi - teraz już bezużytecznymi - informacjami, z jakąż przyjemnością oświadczy mu, że odwiedził już autora Faktografu i zawarł z nim korzystną umowę. Będzie to pierwszy z troskliwie przygotowanych ciosów, które powinny zmusić Cassona do ostatecznej rezygnacji. A następnie wspaniałomyślnie zaproponuje mu przejście na emeryturę. Musi się to udać. Miał już doświadczenie w takich sprawach.

Jednakże kiedy znalazł się w małym miasteczku, które było jego celem, oczekiwała go niejedna niespodzianka. Sądził, że ulicę, której nazwa widniała na liście, znajdzie w centrum miasteczka; z doświadczenia bowiem wiedział, że jakkolwiek byzniesmeni woleli lokować swe firmy z daleka od wielkich metropolii, to jednak siedziby dla nich obierali w centrum miejscowości, do których je przenosili. Po długich poszukiwaniach zasięgnął informacji u jakiegoś przechodnia, który skierował go na peryferie miasteczka, do dzielnicy monotonnych zabudowań wzniesionych po wojnie i pozbawionych wszelkiego charakteru i wdzięku. U końca jakiejś ślepej uliczki znalazł wreszcie duży bungalow z jednym oknem, w którym spoza szczelnych zasłon przeblyskiwało światło; przed domem znajdował się zarośnięty ogród, a szeroko otwarte drzwi przylegającego doń garażu pozwalały stwierdzić, że nie ma w nim żadnego wozu.

Ale ulica, przy której znajdował się bungalow, nosiła właściwą nazwę, a na jego bramie widniał właściwy numer.

Grey zaparkował wóz i powoli ruszył w kierunku domu. To sąsiedztwo domów zamieszkałych przez biedaków i ten zaniedbany dom w nie plewionym od lat ogrodzie nie pasowały do wyobrażenia, jakie wyrobił sobie o znakomitym wynalazcy Faktografu. Czyżby padł ofiarą kawału? Przypomniał sobie, że list, który otrzymał, był pisany tą samą czcionką, co Faktografy. Wzruszył ramionami i wszedł na ścieżkę przecinającą ogród. Idąc zauważył, że ścieżka jest wyasfaltowana, podczas gdy inne biegnące od niej były wysypane żwirem, i że - mimo ogólne zaniedbanie całego ogrodu - trawa na obrzeżach ścieżek była starannie przystrzyżona.

Było już całkiem ciemno, a najbliższa lampa uliczna znajdowała się zbyt daleko, by oświetlić drzwi prowadzące do bungalowu. Ostatnich kilka jardów szedł więc szczególnie ostrożnie, nie chcąc potknąć się o próg domu. Ale w tym domu nie było progów. Wydało mu się to czymś osobliwym, ale nie potrafił powiedzieć sobie dlaczego. Zresztą, jakież mogło to mieć znaczenie?

Po omacku poszukał obramowania drzwi, a znalazłszy guzik dzwonka, nacisnął. Po krótkiej chwili nad jego głową zapaliło się światło i drzwi stanęły przed nim otworem.

- Tak? - usłyszał jakiś głos. - O, to Mr Mervyn Grey, nieprawdaż? Proszę, niech pan wejdzie. Na dworze musi być zimno i paskudnie. - Ton głosu uległ naglej zmianie, której przyczyny Grey nie mógł pojąć.

Zdumienie Greya było tak wielkie, że przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie żadnej odpowiedzi. Nienawidził sytuacji, które wprowadzały go w zakłopotanie, ale ten... ten stwór, który pojawił się przed nim, tak dalece nie pasował do wyobrażenia, jakie wyrobił sobie o autorze Faktografów, że zdumienie przez chwilę odebrało mu mowę.

Przede wszystkim człowiek, który się pojawił, siedział w fotelu na kółkach, fotelu poruszającym za pomocą baterii z zespołem przyrządów do sterowania umieszczonym na jego prawej poręczy. Lewa

ręka tego człowieka była uschnięta, a wykręcona dłoń - zgięta w pałak niemal pod kątem prostym do przegubu. Jego nogi okrywał szary koc z plamami tłuszczu i żółtka. Nad wełniana koszula z oberwanym guzikiem widniała twarz, której jedną połowę skrywała rozczochrana kasztanowata broda, a drugą pokrywała gładka, niemal purpurowa narośl sięgająca od kości policzkowej aż do szczęki. Ale oczy mężczyzny były żywo i przenikliwe i pod ich baczny spojrzeniem Grey poczuł się nieswojo.

- Pan George Handling? - wykrztusił wreszcie.

- Tak, to ja. - Mężczyzna siedzący w wózku inwalidzkim kiwnął twierdząco głową.

- To pan publikuje Faktografy?

- Tak, to ja! Ale niechże pan tam nie stoi! Wyziębi mi pan cały dom. Nie znoszę, kiedy ktoś zostawia drzwi otwarte. A poza tym ogrzewanie cholernie podrożało...

Myślałem, że zarabia pan na Faktografach tyle, że...

Grey przełknął nie wypowiedziane zdanie. Myśl, że wszystkie jego domysły okazały się fałszywe i że miał do czynienia tylko z obłąkańcem, podziałała nań paraliżująco. Wszedł jednak do środka i rozejrzał się w pomieszczeniu, w którym się znalazł. Był to najdziwniejszy z domów, jakie znał. Brak progu u drzwi frontowych znalazł natychmiast wyjaśnienie, kiedy Handling pojawił się na swym wózku, ale teraz Grey mógł się przekonać, że całe wnętrze domu było urządzone tak, by uwzględnić kalectwo jego właściciela. Ściany działowe zostały usunięte, tak by pojazd kaleki napotykał na najmniejszą ilość przeszkód; wyjątek stanowiło oddzielone od całości pomieszczenie, będące - jak sądził - łazienką. W jednym z rogów domu znajdowało się łóżko z zasłoną, którą można było w każdej chwili zaciągnąć, w innym stały półki na książki, a przy nich stolik z maszyną do pisania, jeszcze w innym litograficzna prasa drukarska, obok której złożono stosy papieru i wielkie pudła z kopertami.

Handling ruszył w stronę stolika i Grey automatycznie udał się za nim. Po drodze zauważył duży piecyk na naftę, ale mimo, iż piecyk był rozpalony do białości i wbrew temu, co Handling powiedział na temat zamykania drzwi i ogrzewania domu, było tu bardzo zimno.

A może skutek szoku, jakiego doznał, tylko mu się tak zdawało?

- Niech pan siada - powiedział gospodarz, z wprawą obracając swój wózek i unikając zderzenia z piecykiem. Głowę skinął w kierunku krzesła, na którym leżała sterta papierów, a na niej stała filiżanka do herbaty. - Bardzo przepraszam, ale sam pan musi zrobić sobie miejsce do siedzenia. Nie mogę trzymać tego wszystkiego na podłodze: raz, że by mi zawadzały, a dwa, że nie mógłbym sam ich podnieść. Kiedy spada mi coś na ziemię, muszę sięgać po to szczypcami... No, dobrze. Powinienem zapewne zaproponować panu jakiś poczęstunek, ale nie mam tu nic do picia. W mojej sytuacji nie sprawia mi to wielkiej przyjemności. Ale mogę poczęstować pana herbatą, jeśli ma pan ochotę.

Grey zdjął ze wskazanego mu krzesła filiżankę i papiery i znalazł dla nich miejsce na skraju stolika. Czynności tej jednak poświęcił więcej czasu, niż to było rzeczywiście potrzebne, mając cichą nadzieję, że dojrzy gdzieś coś z materiałów do następnego Faktografa. Ale nie znalazł nic, co mogłoby go zainteresować; na stoliku leżała jedynie ryza papieru do maszyny i kilka ręcznie pisanych listów.

- Nie - nie, dziękuję bardzo - odparł, starając się mówić normalnym głosem. - Prawdę mówiąc, powinienem był zawiadomić pana wcześniej o moim przyjeździe, ale... No, wyznam szczerze, że pańskie Faktografy zrobiły na mnie tak wielkie wrażenie, iż kiedy tylko dowiedziałem się, gdzie mogę pana znaleźć, po prostu rzuciłem wszystko i wyruszyłem w drogę.

O, nie musiał pan mnie uprzedzać o swym przyjeździe! - powiedział kaleka i zachichotał. - Nie było żadnej potrzeby. Mógłbym też powiedzieć, że pochlebił mi pan zadając sobie trud - i przylatując

aż zza Atlantyku po to tylko, by mnie odwiedzić, ale wątpię, by i to było potrzebne.

Grey rozglądał się po ogromnym pokoju, w który zamieniono cały dom, odkrywając tu i ówdzie - wśród przedmiotów świadczących o starokawalerskim trybie życia właściciela domu, takich jak koszule zawieszane na poręczach krzesel i stosy starych gazet - rzeczy, które mogły powiedzieć coś o samym Handlingu i o jego działalności. Kolejno odkrywał znaną sobie czerwoną okładkę Brytyjskiego Rocznika Przemysłowego, kilka spisów przedsiębiorstw handlowych, materiały reklamowe i prospekty różnych wielkich spółek, których kopie sam miał w swoim biurze. Po chwili odezwał się trochę dlatego, by w ogóle coś powiedzieć, a trochę po to, by zamaskować swoją ciekawość; - Nasze ogłoszenia musiały przekonać pana, jak bardzo interesuję się pańską publikacją.

- Ogłoszenia? - zapytał Handling.

Grey spojrzał na niego ze zdziwieniem i natychmiast musiał odwrócić wzrok - widok przypominającej hubę blizny w zestawieniu z niechlujną brodą jej właściciela przyprawiał go o mdłości.

- Oczywiście. Przecież dlatego napisał pan do mnie, nie? Zamieściliśmy ogłoszenia w Financial Times, w Economist i". - Słowa zamarły mu na ustach i znowu rozejrzał się po pokoju. Teraz dopiero uzmysłowił sobie, że wśród stosów starych gazet nie zauważył ani jednego numeru Financial Times.

- Och, nigdy nie czytam tych gazet - powiedział Handling w śmieszny sposób próbując wzruszyć ramionami. Ale Greyowi gest ten wydał się wręcz ohydny.

- To skąd pan wiedział, że interesuję się pańską pracą?

- To tajemnica zawodowa, panie Grey - odparł Handling i wydał dźwięk, który zabrzmiał raczej głupawo niż złośliwie. - Przecież widział pan przynajmniej jedną z moich produkcji, nieprawdaż? To już pan wie, że mam bardzo dużo tajemnic zawodowych.

W duszy Greya wrzał zawzięty spór. Brudny kaleka w wózku inwalidzkim tak dalece odbiegał od wyobrażenia, jakie Grey wytworzył sobie o utalentowanym manipulatorze rynku, że był już prawie zdecydowany uznać Handlinga za szaleńca, jak to już raz zrobił, kiedy tylko Casson pokazał mu Faktograf nr 5. Jednakże nie ulegało żadnej wątpliwości, że Handling odkrył prawdziwy skarb, który on, Grey, mógłby wykorzystać dla siebie, gdyby tylko miał możliwość. Ale musi postępować taktownie. Gdyby nawet okazało się, że straszne kalectwo dopro wadziło Handlinga do obłądu, to i tak będzie można go wykorzystać.

- Tak. I zrobiły na mnie ogromne wrażenie - odparł, siłą nadając swemu głosowi serdeczność. Splótł palce, jednocześnie zdając sobie sprawę, że zapomniał zdjąć rękawiczki. Ale postanowił nie zdejmować. Ich i teraz - w domu Handlinga panowało przenikliwe zimno. - Poufne informacje, jakimi pan dysponuje, byłyby warte fortuny, gdyby umiał je pan wykorzystać. Prawdę mówiąc... No, mniejsza, nie o tym chciałem mówić.

- Chciał pan przypuszczalnie powiedzieć, że dziwi pana fakt, iż człowiek dysponujący takimi informacjami mieszka w tandetnym bungalowie położonym w ubogiej dzielnicy na przedmieściu małego i nudnego prowincjonalnego miasta - przerwał mu Handling. Mówił głosem pozbawionym wszelkiej emocji. - Ale tu, panie Grey, nikt nie wtrąca się w moje sprawy. A poza tym dziś już nie potrzebuję fortuny. Miałem kiedyś żonę. I syna. Oboje zginęli w tym samym wypadku, który mnie uczynił kaleką.

- Przykro mi - powiedział Grey machinalnie.

- Dziękuję panu.

Zapadło niezręczne milczenie. Po krótkiej chwili Grey, starając się rozpaczliwie zmienić temat, odezwał się: - Ale musiał pan mieć jakiś cel podejmując publikację tych swoich biuletynów! A może to pańskie hobby?

- To coś więcej. Praktycznie biorąc zajmuje mi to cały mój czas. Samo gromadzenie informacji trwa bardzo długo, nie mówiąc już o wypisywaniu Ich na maszynie - rozumie pan, że nie mogę pisać ani szybko, ani dobrze - a do tego dochodzi odbijanie i adresowanie tych wszystkich kopert... Zajmuje mi to bardzo dużo czasu.

- Rozumiem. - Grey zwilżył wargi językiem. - Ale jak pan to robi, że egzemplarze pańskiego Faktografu wysyłane są z tylu różnych miejsc? Czy sam pan je wysyła?

- O, nie. Ostatnio nie wychodzę dalej niż do sklepu na rogu, a jeśli jest niepogoda, to staram się w ogóle nie opuszczać domu. Istnieje pewna firma, która za drobną opłatą organizuje wysyłkę moich Faktografów z różnych miejscowości w obrębie stu mil. Byłem zdania, że powinienem zatrzeć trochę ślady, zanim będę gotów ujawnić autora Faktografów.

A to bękart z tego Cassona! Na to już nie potrafił wpaść... Myśląc o tym, jak bardzo wysledzenie firmy wysyłającej Faktografy skróciłoby jego poszukiwania, Grey zapytał: - Ma pan dużo adresatów?

- Zacząłem od pięciuset, dobierając ich mniej lub bardziej przypadkowo - odparł Handling. - Ale już w tym miesiącu będzie ich ponad tysiąc.

- Nic dziwnego, że jest pan tak zajęty! Acha! Nawiasem mówiąc: Bardzo mi miło, że i mnie wciągnął pan na swą listę!

- O, pan bynajmniej nie należy do tych ludzi, o których mi chodził - wykrzyknął Handling. - Wszystko przemyślałem bardzo starannie. Mówiąc, że zacząłem od przypadkowego doboru adresatów, nie miałem na myśli tego, że rodzaj osób, którym chciałem posyłać moje Faktografy, był mi obojętny; myślałem tylko o tym, że nie miałem pojęcia, kto może na nie zareagować. Ale w finansowym świecie tego kraju nie brak grubych ryb i można je wyłowić, jeśli tylko zgromadzi się dość informacji - a to potrafię robić. Sporządzenie ich listy zabrało mi kilka miesięcy pracy, ale mam przecież dość czasu. Wybierałem ludzi kierujących bardzo dużymi funduszami inwestycyjnymi, ludzi zarządzających wielkimi firmami eksportowymi, ludzi odpowiedzialnych za dobór towarów sprzedawanych w największych przedsiębiorstwach posiadających sieć punktów sprzedaży w całym kraju, i tak dalej. Krótko mówiąc, ludzi, których decyzja co do przyjęcia produktów jakiejś firmy może przesądzić o losach tej firmy. Rozumie pan?

Grey kiwnął potakująco głową, ale niezbyt pewnie. - A dlaczego dobierał pan akurat ich? - zaryzykował. - To znaczy: akurat ich, a nie ludzi takich, jak ja?

- Ze względu na rodzaj informacji, jakie otrzymywałem - odparł Handling. - Wydawało mi się, że są to ludzie, z którymi należało podzielić się tymi informacjami, jakie miałem. Czytał pan te dane, którymi dysponuję? To wie pan, o co chodzi...

- Oczywiście. Wiem. Ale dlaczego właśnie ten rodzaj informacji? Jak pan je zdobywa?

- Jestem psychometrą. Psychometria to rodzaj jasnowidzenia. Prawdę mówiąc, sądzę, że cały ten mój talent jest po prostu częścią jednej wielkiej zdolności, która kiedyś ujawni się w nas w całości. Ale to nawiasem. Co do mnie, to od czasu do czasu mam pewne przebliski i - jak to się mówi - rąbek tajemnicy uchyla się. Czasami mogę wniknąć w czyjś charakter, kiedy indziej mogę odczytać czyjąś myśl, ale moja specjalność to - jeśli można tak powiedzieć - odczytywanie z przedmiotów ich powiązań z wypadkami i śmiercią.

Co za stek bzdur! Cały entuzjazm, jakim Greya natchnęła możliwość wejścia w posiadanie listy adresatów Faktografu, zniknął w jednej chwili. Wstał.

- No tak. Dziękuję panu bardzo, panie Handling. Przykro mi, że zabrałem panu tyle czasu. Ale skoro pan wysyła swe Faktografy tylko do...

- O, panie Grey! - przerwał mu Handling. - Nie przyjechał pan tu chyba aż z drugiej półkuli tylko po to, by pogawędzić ze mną przez pięć minut i nawet nie rzucić okiem na Faktograf nr 6? - I po

sekundzie dodał: - Ten numer poświęcony jest firmom, które szczególnie pana interesują. Zdziwił się pan, że nie widziałem pańskich ogłoszeń? Ale jeśli przypomina pan sobie list, który do pana wysłałem, to pewnie zwrócił pan uwagę na to, że napisałem tam, iż widzę pana zainteresowanie moim małym przedsięwzięciem?

Grey zawahał się. Wprawdzie ten kaleka był oczywiście pomyłony, ale z drugiej strony jego „przedsięwzięcie” rzeczywiście wywierało wpływ na rynek, tak więc...

- Słusznie. Chciałbym rzucić okiem na szósty numer Faktografu.

- Tak też myślałem! - zapiszczał triumfalnie Handling i na swym wózku objechał stół, raz jeszcze tylko o centymetry unikając zderzenia z piecykiem. Wyciągnął szufladę i zajrzał do środka.

- Niestety, wygiąda na to, że pozostały mi tylko egzemplarze wybrakowane - kontynuował. - Tak, ten jest zepsuty, a ten ma jedną stronę nie zadrukowaną, ten z kolei... Ale nie będziemy się tym przejmować. Zaraz poprawię ten błąd. Mam jeszcze kliszę w maszynie.

Zręcznie ruszył w stronę powielacza. Grey musiał w duchu przyznać, że sprawność, z jaką pracował posługując się tylko jedną ręką, była godna podziwu, chociaż z konieczności wszystko robił powoli. Biznesmen czekał niecierpliwie, podczas gdy Handling wyraźnie się nie spieszył. Pracując mówił bez przerwy.

- Tak, sądzę, że zawsze miałem zdolność jasnowidzenia przynajmniej w formie elementarnej. Na przykład nie miałem ochoty kupować tej pralki, która odcięła rączkę mojego synka, aie oczywiście była o wiele tańsza od innych, a nie muszę dodawać, że się nam nie przelewało, toteż ustąpiłem żonie. Miałem również wątpliwości, co do tamtej maszyny do szycia, ale Meg nie mogła pójść do pracy po tym, kiedy...

- Czy powiedział pan, że pański syn stracił rękę? - zapytał Grey martwym głosem.

- Tak. Oczywiście. Widzi pan, ta pralka nie miała automatycznych wyłączników, toteż ten - jak mu tam? - no, ten wichajster kręcił się także wtedy, kiedy pokrywa pralki była otwarta, a kiedy nie było w niej wody, robił to zdumiewająco szybko, i mojemu biednemu chłopcu udało się uruchomić maszynę i podnieść jej pokrywę, i tak... No, już kończę. Jeszcze tylko chwila, aż się to rozgrzeje. O czym to ja mówiłem? Acha! Meg więc przez dłuższy czas nie mogła chodzić do pracy, po tym, kiedy podstawka żelazka do prasowania odpadła i spadła jej na nogę, a do rany, jaka powstała skutkiem oparzenia, przyplątało się zakażenie. (Nie było to dobre żelazko, ale oczywiście było bardzo tanie). A potem ta maszyna do szycia, którą kupiło, by zarobić coś szyjąc w domu, oszalała kompletnie i skłuła jej całą dłoń. Do wypadku doszło właśnie wtedy, kiedy odwoziłem ją do szpitala. Opony samochodu, rozumie pan. I one nie budziły we mnie zaufania, ale nie wiodło się nam zbyt dobrze, zwłaszcza odkąd Meg nie mogła pracować, toteż kiedy kupno nowych opon stało się absolutnie konieczne, musiałem zdecydować się na takie, na jakie było nas stać. Meg siedziała w wozie płacząc i tułając własną dłoń, a Bobby skulony na tylnym siedzeniu popłakiwał, bo nie miał już dłoni, którą mógłby tulić... No, wreszcie. Ma pan tu swój egzemplarz. W całości. Można czytać obie strony.

Odjechał wózkiem od powielacza i zatrzymawszy się naprzeciw Greya, wyciągnął doń kartkę papieru zatytułowaną wielkimi literami: Faktograf nr'6

Grey mechanicznie wziął egzemplarz Faktografu, ale nawet nań nie spojrział. Jego uwagę przykuła twarz Handlinga. - No, to - co się stało? - usłyszał własne słowa.

- Co byio przyczyną wypadku, pyta pan? No, jeśli wierzyć policjantowi, który występował na rozprawie, te opony mają skłonności do spadania z koła, kiedy szybko bierze się zakręt, a wtedy kierowca traci kompletnie kontrolę nad samochodem. Jeśli chodzi o nas, to wyróżniliśmy w latarnię. Meg i Bobby mieli szczęście”. W tej sytuacji nie byłbym w stanie ich utrzymać. Co do mnie, to przebywałem w szpitalu całe cztery miesiące.

! to właśnie tam zacząłem odkrywać swój talent. Zupełnie nagle, pewnego dnia, kiedy właśnie dawano mi zastrzyk, zapytałem pielęgniarkę: - Czy człowiek, który przede mną dostał zastrzyk z tej strzykawki, umarł zaraz potem? - Myśleli, że mającę, ale wiedziałem, że się nie mylę. Zaczęłem więc obserwować te przebłyski, i wtedy przekonałem się, że mogę - no, jak by to powiedzieć? - wyczuć, czy jakiś przedmiot, który wezmę do ręki, lub inny przedmiot tego typu, wyrządzi komuś krzywdę.

Zrazu mogłem pochwycić tylko strzępki jakichś doznań, ale miałem masę czasu, aby popracować nad swą nową zdolnością, zwłaszcza zanim dostałem ten wózek i leżąc w łóżku musiałem czekać na pielęgniarkę. Największą przeszkodą było to, że początkowo sądziłem, iż rzeczy, które wyczuwałem, już się wydarzyły, i koncentrowałem uwagę - jak się okazało - na fałszywym tropie. Obawiam się, że nie potrafię tego dobrze wytłumaczyć. Nie sądzę, żeby wielu ludzi miało takie doświadczenia.

A potem nagle zrozumiałem, że powinienem nastawić się na przyszłość, a nie na przeszłość, i wtedy wszystko zaczęło grać. Ale niech pan pamięta o tym, że i tak wykrywanie tego, o co chodzi, nie może przebiegać szybko. Niekiedy - zwłaszcza w przypadku artykułów produkowanych masowo - potrzebuję półtorej doby, zanim uda mi się wyłowić to, czego szukam, i będę mógł pójść spać. Tyle jest możliwości, rozumie pan?

Niema! zahipnotyzowany żarliwym przekonaniem, jakie biło ze słów Handlinga, Grey nie mógł oderwać oczu od jego zmasakrowanej twarzy. - Ale właściwie co pan robi? - zapytał. I przez chwilę z paradoksalną bezstronnością zadumał się nad zmianą, jaka w nim zaszła: oto ktoś owiadną(nim, choć na krótko. Ale jednocześnie wmawiał sobie, że znosi to tylko dlatego, że chce się całkowicie przekonać o tym, iż Handling jest szaleńcem. W przeciwnym razie bowiem rozwianie się marzeń o korzyściach, jakie mógłby przynieść Faktograf, stałoby się dlań źródłem nieznośnych cierpień.

- Do tej pory mówiłem raczej o tym, co robiłem dawniej - wyjaśnił Handling pogrążony w myślach. - Powiedziałem panu, że kiedy po raz pierwszy zacząłem wyczuwać, iż inne rzeczy przypominające te, które brałem do ręki, wyrządzają krzywdę określonej liczbie ludzi, zrazu sądziłem, że moje odczucia odnoszą się do przeszłości. Stwierdziłem jednak, że niekiedy rzeczy, które mi coś mówiły, były zbyt nowe na to, by już mogły wyrządzić komuś krzywdę, i wtedy zrozumiałem, o co chodzi. Potrafiłem wyczuwać to, co dopiero miało się wydarzyć. Niewątpliwie zapyta pan teraz: skąd miałem tę pewność? Oczywiście nie mogłem być pewien, dopóki tego nie sprawdziłem. Toteż notowałem sobie każde, jak sądziłem, słuszne przeczucie i, kiedy tylko miałem możliwość, sprawdzałem moje notatki. Pomagały mi tu, między innymi, testy Zrzeszenia Konsumentów, szczególnie kiedy stwierdzały, że jakaś maszyna, którą się zajmowałem, była potencjalnie niebezpieczna, ponieważ mogła na przykład porazić właściciela. Dość często znajdowałem też w prasie informacje o zatruciu pokarmem czy o zabawkach niebezpiecznych dla dzieci. Po mniej więcej roku byłem absolutnie pewien, że mam słusność.

- Ależ to jest po prostu śmieszne! - wybuchnął Grey. - Skąd mógł pan wiedzieć o - no, o dwudziestu tysiącach nie chcianych dzieci, by przytoczyć naprawdę nieprawdopodobny przykład?

- To rzeczywiście draństwo, nieprawdaż? - powiedział Handling. - Czyż można wyrządzić dziecku większą krzywdę, niż pozwolić urodzić mu się, kiedy się go nie chce? Każde dziecko powinno być dzieckiem upragnionym!

- Tak, oczywiście! Ale mnie chodzi o liczby, o liczby!

- O, przepraszam! Nie zrozumiałem pana. No cóż, dodają się jakby w mojej podświadomości. Leżę nie śpiąc w nocy i czuję, jak tykają mi w głowie. A kiedy przestają, wiem, ile czasu minie, zanim zrealizuje się suma wypadków, jaką wyrażają - trzy miesiące, pół roku, rok. I wtedy notuję tę sumę. Kiedy zaś minie już odpowiedni czas, podaję ją w aktualnym Faktografie i wysyłam go do

tych, których może on zainteresować. Myślałem o innych sposobach rozpowszechniania uzyskanych w ten sposób informacji, ale doszedłem do wniosku, że nie byłyby one tak skuteczne. Chodzi o to, że gazety są uzależnione od firm, które się w nich reklamują, nieprawdaż? A pisma konsumentów mają swe własne testy i własny sposób uzyskiwania odpowiednich informacji. Wprawdzie nie tak dobry, jak mój, ale tak już jest. A teraz ludzie wyraźnie interesują się już moim Faktografem. Szczególnie od chwili... Czy powiedział pan, że chcąc się ze mną skontaktować, dał pan ogłoszenie do gazet?

- Tak. - W ustach Greya słowo to zabrzmiało jak dźwięk nożyc do przecinania drutów.

- Czy z pańskich ogłoszeń wynikało jasno, że to właśnie pan je ogłaszał?

- Taki - Grey poczuł, jak strużka potu spływa mu po plecach. Jakże mogło mu się zdawać, że w tym domu było zimno, i dlatego nie zdjął płaszcza, rękawiczek, szalika? Teraz czuł się tu jak w piecu ognistymi

- No, to powinno przekonać każdego, że warto poświęcić mi trochę uwagi - stwierdził Handling z zadowoleniem. To echo jego własnych słów, jakie wypowiedział do Cassona, wzburzyło złość Greya.

- To stek bzdur! - zawołał. - Czepia się pan jakiegoś produktu i trąbi na cały świat, że przez następny rok wyrządzi krzywdę iluś tam ludziom, a iluś tam pozabija! Chyba pan zwariował! A ten pański Faktograf to nic innego, jak tylko pretensjonalne oszustwo!

- Może mi pan nie wierzyć, panie Grey - powiedział Handling cicho. - Ale uwierzy mi większość adresatów Faktografa, którzy jutro rano otworzą swą pocztę. Pracownicy firmy wysyłkowej zabrali dziś po południu tysiąc egzemplarzy Faktografa nr 6. Czy nie chce pan wiedzieć, co zawiera ten numer? - Grey podniósł rękę, w której trzymał wręczony mu egzemplarz, z zamiarem, by zmiąć go i demonstracyjnie wyjść, ale kątem oka zdążył jeszcze zauważyć trzy słowa, jakie na nim widniały. Oslupiał. Była to nazwa jego firmy;

Towarzystwo Mervyna Greya. Z przerażeniem zaczął czytać.

Pralki marki „Magiczny Wir” poraziły prądem tyłu a tyłu ludzi wskutek wadliwej instalacji, spowodowały pożar w tyłu a tyłu domach, a zalanie tyłu a tyłu mieszkań, przyczyniając się do zapadnięcia się tyłu a tyłu sufitów w innych mieszkaniach. Żelazka marki „Aksamit” wywołały tyle a tyle pożarów, rozpadły się w czasie prasowania i poparzyły użytkowników, spaliły i zniszczyły tyle a tyle drogich nowych garniturów. Samochody wyposażone w opony marki „Uitrac” doprowadziły do tyłu a tyłu nieszczęśliwych wypadków, do tyłu a tyłu obrażeń ciała, do tyłu a tyłu zniszczeń...

Poczuł zawrót głowy na myśl o tych, do których wędrowała ta lista oskarżeń, i o sile nabywczej, jaką reprezentowali, i o rynkach, do których mogli zamknąć mu dostęp... Toteż nieomal nie słyszał słów Handlinga: - Tak, to właśnie pralka marki „Magiczny Wir” pozbawia ręki mego syna, i jedno z pańskich żelazek zmusiło Meg do tego, że musiała zacząć zarabiać na życie szyciem, i jedna z pańskich maszyn do szycia podziurawiła jej rękę. I wreszcie jedna z opon marki „Uitrac”, którą musiałem kupić, stała się przyczyną wypadku, kiedy spieszyłem z żoną do szpitala. Nie tylko ma pan krew na swym sumieniu, panie Grey. Stał się pan sprawcą wszelkiego rodzaju cierpień. Wydaje się, że w całym pańskim życiu nie było ani jednego dnia, w którym by pan kogoś nie skrzywdził.

- Ty bękarcie - zasyczał Grey. Z wściekłością wepchnął pismo do kieszeni płaszcza. - Zatrzymuję to jako dowód! To potwór! Ohydna, brudna, śmierdząca potwarz!

- Nie jest potwarzą stwierdzenie, że jakiś towar jest bblem - powiedział Handling i uśmiechnął się. Był to uśmiech upiorny; pojawił się bowiem tylko na pokrytej brodą części jego twarzy. - Och, oczywiście, może mi pan wytoczyć proces. Przypuszczam, że poniósł pan przeze mnie szkodę. Ale ja nie popełniłem żadnej zbrodni.

- Ty zadowolony z siebie diable! - ryknął Grey i rzucił się ku Handlingowi. Zapomniał o tym, że ma do czynienia z kaleką. Musiał zetrzeć ten uśmiech z jego twarzy!

Uderzenie odrzuciło wózek Handlinga do tyłu. Wózek wyrzwał prosto w piecyk, piecyk przewrócił się i morze płonącego oleju w okamgnieniu zaala całą podłogę. Płomienie buchnęły w górę, sięgając głowy Handlinga. W siatkówce oczu Greya odbił się, niby w świetle błyskawicy, obraz wykrzywionej twarzy, okrągłych oczu, ust otwartych i bezradnie chwytających pozbawione tlenu powietrze, skręcanych zarem włosów brody i głowy Handlinga niby węże otaczające głowę Meduzy - wybiegi już z domu, zatrzasnąwszy za sobą drzwi, i pędził w kierunku samochodu. Wskoczył doń, zapuścił motor i zaczął przyspieszać bez opamiętania, mknąc w kierunku szosy. Ale zanim jeszcze stracił dom Handlinga z oczu, obejrzał się za siebie. Z zewnątrz pożar był jeszcze niewidoczny; zapuszczone zasłony miały chronić przed chłodem jesiennej nocy, toteż zapuszczono je we wszystkich domach na tej ulicy. Również i ten obraz utrwalił się w pamięci Greya niby klatka zatrzymanego filmu.

Po przejechaniu czterdziestu mil zatrzymał wóz na pustym poboczu drogi. Drząc jeszcze, ale już zaczynając odzyskiwać panowanie nad sobą, zmusił się do racjonalnego zbadania sytuacji, w jakiej się znalazł. Nie jest chyba tak zła? - zadawał sobie pytanie. Nie mógł całkowicie ukryć faktu swego pobytu w Anglii, ale nikt nie mógł wiedzieć, że odwiedził miasto, w którym mieszkał Handling. Rozmawiał dokładnie z jednym człowiekiem, kiedy pytał o drogę, ale było to już o zmierzchu, a on sam siedział w ciemnym wnętrzu wozu takiego samego, jak tysiące innych. Na długo przedtem, zanim ktokolwiek zauważył pożar w domu Handlinga, był już daleko poza miastem, a może nawet poza granicami hrabstwa. Opustoszała ulica wyraźnie stała w jego pamięci. Tak, musiało upłynąć dużo czasu, zanim ktokolwiek zauważył płomienie w domu Handlinga.

Nikt też nie widział jego przyjazdu ani odjazdu, a ten szczęśliwy zbieg okoliczności, że w domu Handlinga nie zdjął rękawiczek, oznaczał, iż nie zostawił tam śladów swych palców, i rzecz najważniejsza: cóż było bardziej prawdopodobne od tego, że kaleka mógł przewrócić swój piecyk w chwili nieuwagi?

Toteż mógł spokojnie wrócić do Londynu, do swego apartamentu, do którego zawsze mógł wejść nie zauważony, mógł też, lekceważąc wszystkich, udać się do pewnego klubu, gdzie go znano, zjeść obiad i obejrzeć dobry kabaret. A jutro rano około dziesiątej mógł dać dyskretnie do zrozumienia - w kołach, które się liczyły - że tym razem Faktograf okazał się stekiem kłamstw, a finansowemu imperium Meryyna Greya nie groziło już niebezpieczeństwo, żadne niebezpieczeństwo, a potem...

Faktograf!

Gorączkowo sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął z niej kartkę papieru. Był to jedyny przedmiot, który łączył go z Handlingiem. Dlatego musi się go natychmiast pozbyć. Już miał otworzyć okno wozu i wyrzucić kartkę, ale w ostatniej chwili zatrzymał się i sięgnął po zapalniczkę. W jednej minucie papier zmieni się w anonimowy popiół niesiony wiatrem - a on sam będzie bezpieczny. Ale jest jeszcze list od Handlinga! O Boże - niewiele brakowało, żeby o nim zapomniał! Na szczęście miał go ze sobą, ale czy ktoś poza nim widział go w siedzibie Towarzystwa? Trzeba coś z tym zrobić! Powiedzmy, że tak na wszelki wypadek wejdzie jutro rano do biura Cassona i powie, iż był zbyt zmęczony, by udać się tamtego popołudnia, ale mimo to w dalszym ciągu ma zamiar odwiedzić Handlinga i chciałby to zrobić razem z Cassonem... Tak, to dobry pomysł. Będzie potem całkowicie bezpieczny. Gdyby nawet ludzie uwierzyli Faktografowi i gdyby nawet poniósł duże straty, to i tak nic nie pozbawi go talentu, który uczynił zeń Cudowne Dziecko Świata Biznesu. Przetrwa i tę próbę.

Zapaliwszy zapalniczkę, zbliżył kopię Faktografu do jej płomienia. Ale tuż przed podpaleniem jej rzucił wzrokiem na drugą stronę trzymanej w ręku kartki - i zmartwiał. Przed oczyma miał tekst obramowany czarną kreską.

Tekst ten, niechlujnie wypisany przez Handlinga na maszynie, brzmiał;

Jest to ostatnie wydanie Faktografu. Jego wydawca, George *Handling*, zamieszkały w *Blentham*, przy *Wyebriid Close 29*, został wczoraj zamordowany przez Mervyna Greya, który w ten sposób chciał powstrzymać rozpowszechnianie informacji publikowanych w *Faktografie*.

Siedział przez dłuższy czas, myśląc o tysiącu bardzo wpływowych ludzi, którzy otwierać będą koperty bez nadruku w jutrzejszej porannej poczcie. A kiedy przestał o tym myśleć, siedział dalej wpatrzony w ciemną noc za oknem.

Alan Dean Foster Polacy to ludzie łagodni

Sytuacja jest bardzo delikatna, Michale... Bardzo delikatna, W tej chwili nie możemy pozwolić sobie na Incydent, ale jeśli potraktujemy sprawę zbyt poważnie, wywoła to niepożądane zainteresowanie. Wszystko stało się tak szybko. Gdyby popatrzeć na to z boku, cała historia mogłaby wydać się całkiem śmieszna.

W obramowaniu potężnego, dwupiętrowego okna, na tle imponującej panoramy otulonej resztkami mgły, stary człowiek wyglądał bardzo krucho i niepozornie. Co jakiś czas za szybami dwudziestego piętra przelatowała mewa, rzucając mężczyznom spojrzenie pełne frasobliwej ciekawości.

W dole, spośród mgieł porannych spowijających wybrzeże Bałtyku, wyłaniał się długi, płaski skrawek lądu znany jako Półwysep Helski. Biegł równoległe do północnego wybrzeża Imperium Rzeczypospolitej, stanowiąc zadziwiająco odporną barierę dla fal.

Flotylla małych spacerowych łodzi, jak wyrojone pszczoły ciągle wabiąc do siebie następne, tłoczyły się w oczekiwaniu uroczystości. W dali, w dolnej części półwyspu rysowały się wysokie, zwarte kształty. Przy pionowych ścianach nabrzeży, leniwie kolebane martwą falą, cumowały statki różnych wielkości i typów.

Michał Jan, obserwując tę scenerię ponad ramieniem zwierzchnika, potrząsnął głową.

Polacy to ludzie łagodni. Eksplozja którejś z rakiet mogłaby spowodować ofiary wśród widzów i stać się przyczyną narodowej tragedii. Charakterystyczne dla króla było, że długo zadreślał się wątpliwościami, czy zezwolić widzom na obecność przy starcie, i równie charakterystyczne, że w końcu zezwolił.

- Czy może mi pan przynajmniej powiedzieć, kim on jest?

Kanclerz Longin przeciągnął ręką po siwych, krótko

ostrzyżonych włosach, dotknął palcem szramy na złamanym nosie, pamiątki z czwartego lotu na Księżyc - upadł wtedy twarzą na pulpit sterowniczy - po czym obrócił się ku Michałowi.

- Nie on... ona. Zaplanowała to bardzo starannie. Pokiwał głową z uznaniem. - Poszło prosto do ambasady amerykańskiej, a potem skontaktowała się z nami. Krótko mówiąc, zagroziła ujawnieniem skradzionego przez siebie nagrania, chyba że zgodzimy się odwołać start i dopuścimy inspektorów do wszystkich kolejnych operacji.

- To wszystko? Słuchaj, a dlaczego by nie pozwolić jej wypaplać wszystkiego prasie? Jaka może być z tego szkoda? Cóż ona może wiedzieć? No, więc planujemy wystrzelenie sześciu obiektów jednocześnie dla uczczenia urodzin króla. No to co? - Longin ze smutkiem pokiwał głową.

- To nie takie proste, Michale. Ujawnienie taśm z nagraniami moglibyśmy jeszcze znieść. Problem w tym, że ona podejrzewa jakiś ukryty cel w tym przedsięwzięciu. A jeśli tak jest, może go znać. - Z twarzy Michała zniknął uśmiech.

- Dlaczego?

- Ona pracuje... pracowała... w twoim dziale.

- Moim? - Urwał, po czym zapytał ostrożnie; - A co, jej zdaniem, jest tym ukrytym celem?

Longin usiadł za biurkiem. - Ponieważ jest jej znany rodzaj materiałów umieszczonych na niektórych z tych obiektów, posądza nas o plany utworzenia stałej bazy militarnej na Marsie i zagarnięcia całej tej planety.

Niewyraźny uśmiech na twarzy Michała ustąpił w tym momencie zdumieniu. - To jest najbardziej bzdurna rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem. Czyż ona nie wie, że prawo Rzeczypospolitej nie zezwala na rozszerzenie terytorium, inaczej niż za zgodą niepodległych narodów? Mówisz, że pracuje w moim dziale. Nie mogę sobie wyobrazić, co mogłoby skłonić kogoś z mego personelu do

wywołania skandalu właśnie w dniu urodzin Króla.

- Nikogo z Polaków. Ale masz przecież u siebie pewno liczbę stażystów zagranicznych, prawda?

- Tak, zgodnie z naszą polityką prowadzenia wspólnych badań kosmicznych.

- Są wśród nich Amerykanie?

- Amerykanie, Amerykanie! - Michał uniósł ręce do góry. - To jest to, co wiecznie słyszę dokoła

siebie - amerykańskie zagrożenie! Tylko dlatego, że ich dziennikarze...

- Wiesz, którzy z nich mają dostęp do tajnych akt? - naciskał Longin.

- Och, John Huxley, Marshall Mc Gregor i Dana Canntng. - Urwał, zastanowił się chwilę. -

Powiedziałeś:

„ona”? Nie, to zupełnie nieprawdopodobne, Henryku.

- Nie aż tak, jak sytuacja, w której się obecnie znaleźliśmy. Właśnie rozmawiałem z ambasadorem. Jej teorie są absolutnie obłąkane, my to wiemy... ale ona dostarczyła mu już tyle konkretnych faktów, że go to zaniepokoiło. A nie możemy pozwolić im na wścibianie nosa w obecnej fazie przygotowań.

- Nie, oczywiście, że nie - Michał zastanowił się. - Ale nie myślisz chyba, że Amerykanie rzeczywiście próbowaliby uniemożliwić start.

- Longin poprawił się w fotelu i wymownie wzruszył ramionami.'

- Kto wie? - Na twarzy miał smutek. - Amerykanie są zdolni do wszystkiego. Ta ich źle skierowana energia... Są chyba bardziej jeszcze nieobliczalni niż Francuzi.

- Można by pomyśleć, że nigdy nie pomagaliśmy im w walce o niepodległość - rzucił z zalem Michał.

- Longin potwierdził. - Nigdy nam tego nie wybaczyli. Pomoc o wiele częściej spotyka się z niechęcią, niż z wdzięcznością. Są w stosunku do nas podejrzliwi, bo nas nie rozumieją.

- Sądziłbym, że mogliby bardziej obawiać się Federacji Rosyjskiej.

- Może zaczną - zgodził się Longin - kiedy Rosjanie urosną w siłę. Ale my niepokoiimy ich bardziej. Zgodnie z ich filozofią nasz ustrój powinien być runąć sto lat temu.

- Westchnął.

- Ich ambasador udaje, że rozumie, ale, oczywiście, tak nie jest. Próbowałem mu wytłumaczyć. - „Wybieracie prezydenta”, - mówiłem, „a my wybieramy króla”. A on na to - „ale jak można dawać władzę absolutną komuś no wemu co pięć lat?” Ja wówczas zadałem jemu to samo pytanie i on, oczywiście, obdarzył mnie spojrzeniem pełnym politowania, typowym dla nich wszystkich, kiedy porusza się ten temat. Upierał się, że prezydent amerykański nie ma nawet w przybliżeniu podobnej władzy. Więc zacząłem wymieniać przykłady z historii, a on nadał się i zaperzył.

- Ale on może nam naprawdę zaszkodzić, i dlatego musisz pójść i przekonać tę dziewczynę, że jej taśmy są bez wartości. Tyle trudu włożyliśmy w ten urodzinowy prezent dla króla, że absolutnie nie możemy pozwolić, aby zniweczyło go szaleństwo jakiejś niedowarzonej dziewczyny. Moglibyśmy załatwić to w sposób inny, mniej formalny, ale to nie byłoby w naszym stylu. Gdybyśmy tak zrobili, pokrywałoby się to całkowicie z jej wyobrażeniami o nas.

Jan rozłożył ręce. - Kolonizacja Marsa! Rzeczywiście! Ale dlaczego ja? Dlaczego nie ktoś z Ministerstwa Obrony?

- Ty ją znasz, Michale. Przyjaźnicie się. Żadna z jej wypowiedzi nie dotyczyła ciebie. Wiemy, bo nagraliśmy je. Albo ona uważa, że ty nie jesteś w to zamieszany, co nie wydaje się prawdopodobne, albo raczej nie chce cię w to wplątywać.

- Niech pan zrozumie - Michał aż skurczył się w sobie. - Jestem inżynierem. Mam narzeczoną i... po prostu nie mam zamiaru uwodzić jakiejś pomyłonej nastolatki.

- Nie wymagamy od ciebie aż takich rzeczy, Michale. - Oczywiście - wymamrotał kanclerz - gdyby wytworzyła się atmosfera nieco mniej oficjalna, nie byłoby to...

- Dobrze już, dobrze. Pomówię z nią. Ale, zaznaczam, robię to tylko dla dobra sprawy, i dla króla, oczywiście.

- Naturalnie.

- Jak mam ją przekonać, że nasza operacja nie ma nic wspólnego z Marsem? Nie mogę ujawnić jej tajnych akt.

- Nie, nie możesz. Musisz wyjaśnić jej, że Rzeczpospolita rozpoczęła badania przestrzeni kosmicznej dla dobra całej ludzkości i tą zasadą zamierza kierować się również przy obecnej operacji. Jesteśmy tak potężni, że nie musimy uciekać się do posunięć, o które nas posadzą.

Po prostu powiedz jej prawdę, Michale. W sposób zczwoalowany, oczywiście. Możesz się uważać za szczęściarza. Masz tylko przekonać jedną rozhisteryzowaną dziewczynę, podczas gdy ja muszę się użerać z Hartfordem, który ma wysokie ciśnienie i bandę zakutych łbów wokół siebie. Zamieniłbym się z tobą w każdej chwili.

Michał westchnął. - Kiedy mam się z nią spotkać i gdzie?

- Zaaranżujemy coś na terenie ambasady amerykańskiej - powiedział Longin, i dorzucił z niesmakiem - jest przekonana, że zaaresztowano by ją przy pierwszej próbie wyjścia stamtąd. Czy ona myśli, że Warszawa to Chicago?

Zgodnie z planem, czekała na niego przy basenie w ogrodzie ambasady. Stojący przy wejściu żołnierz o byczym karku obrzucił go wrogim spojrzeniem, ale w końcu wpuścił, Jak sobie tego życzył, była sama.

Z pewnością była cała naszpikowana urządzeniami podsłuchowymi, a jego najprawdopodobniej obserwowało pół tuzina strzelców wyborowych.

Czuł mrowienie w karku. Nie czuł się dobrze w tego rodzaju sytuacjach.

Nie przejmował się zbytnio tym, co dziewczyna ma w zanadrzu, bo po wewnętrznej stronie marynarki miał ekwipunek elektronicznie zakłócający podsłuch. Miał nadzieję, że podsłuchujący nie będą się wtrącać, licząc, że Dana zda im później relację.

Była mata, jasnowłosa, ładna, cicha - była ostatnią osobą na świecie, którą podejrzewałby o dobrowolne męczeństwo.

- Cześć, Dana - powiedział tagodnie. W jej głosie, oczach, w jej postawie było wyzwanie. Nie znał wcale tej dziewczyny. Longin się mylił.

- Pan Jan? - Nie „Michał”, jak w biurze, ale „pan”. Prowokowała go. W porządku. Jej polski, mimo dziwnego akcentu, był lepszy od jego angielszczyzny. Pochodziła z miasta Syracuse. Zapamiętał to, bo ciągle myliło mu się z greckimi Syrakuzami.

Wskazał na mostek przerzucony przez sadzawkę i skierowali się w tamta stronę. Zmarszczki na wodzie odbijały się w otaczających ich szklanych ścianach budynku. Ależ ci Amerykanie kochali szkło!

- Dana, kocham cię.

Potknęła się i wyraz jej twarzy zmienił się całkowicie. Przynajmniej udało mu się wytrącić ją z równowagi.

- Ma pan dziwne poczucie humoru.

- „Michale”, proszę. Nie jestem jeszcze tak stary, żeby zwracać się do mnie „per pan”.

- Michale, jeśli wolisz. Nie wierzę... nie, poczekaj - uśmiechnęła się sarkastycznie - oczywiście że mnie kochasz. Kochasz również Marcellę, Joannę, Danamę i wszystkie pozostałe dziewczyny w biurze. Kochasz wszystkich.

Tak, właśnie tak. I wszyscy uważają Polaków za wariatów dlatego tylko, że kochają wszystkich. To nam przysparza tylu kłopotów.

- Niemców nie kochaliście - przypomniała. Wzruszył ramionami. - A co mieliśmy robić? Nikt poza nami nie był przygotowany do czynnego przeciwstawienia się maniakowi. Na szczęście, Niemcy pierwsi wypowiedzieli nam wojnę. Wy nie musieliście z nikim walczyć. Po co się skarżyć? Nie sprawiło nam to przyjemności. Nie uznajemy wojen.

Spojrzała na niego wyzywająco, ale, jak mu się wydawało, trochę mniej wrogo.

- Zupełnie niepotrzebnie to wyolbrzymiacie. To był po prostu jeszcze jeden mały despota.

- Jeszcze jeden mały despota! - oburzył się Michał. Czytał książkę owego szaleńca. Na szczęście Król Jampolski XIX dostatecznie wcześniej rozpoznał niebezpieczeństwo i zdążył zgromadzić odpowiednie siły. Francuzi, Anglicy, Amerykanie i inni nie kwapili się do walki, mimo iż zamiary szaleńca były bardzo wyraźne.

Sześć długich miesięcy wojny. Wariat został unieszkodliwiony. Niemcy stały się monarchią demokratyczną wzorowaną na Rzeczypospolitej, a głośny bohater tej wojny - jak on się nazywał - Goering - został królem. Od tamtej pory Niemcy zachowują się spokojnie.

Chociaż to właśnie wzorowanie się Niemców na naszym ustroju tak strasznie rozdrażniło Amerykanów. Ale Niemcy mieli do wyboru wszelkie możliwe formy rządów” i wybrali najlepszą.

- Dana, sadzę, że wiem, skąd się wziął twój zły humor, Ktoś z zewnątrz może fałszywie rozumieć rozmaite informacje, dotyczące ładunku tamtych statków. Ale co do Marsa, zapewniam cię, że się mylisz.

- Nie.

Rozkapryszone dziecko. Typowy amerykański kompleks młodzieżowego mesjasza. Wbił w nią wzrok i starał się, aby to, co mówił, brzmiało przekonująco.

- Przysięgam na mój honor. Dano, że jutrzejsza uroczystość nie ma nic wspólnego z prośbą zagarnięcia jakiejś planety lub Księżyca, czy też tworzeniem tam jakichkolwiek baz wojskowych. Nie zrobiliśmy tego na Lunie, Dlaczego mielibyśmy zrobić to na Marsie? Jestem po prostu inżynierem, Dano. Nie jestem absolutnie związany z żadną organizacją typu CIA. Dlaczego mi nie wierzysz, kiedy ci przysięgam, że jedyne, na czym nam zależy, to pokój na całym świecie! W obecnej sytuacji, kiedy Japończycy, Brazylijczycy i Unia Semicka dysponują bronią termojądrową!

Czy nie rozumiesz? Polska już od trzech stuleci ma najtrwalszy ustrój na świecie. Dlaczego mielibyśmy niszczyć cały nasz dotychczasowy dorobek robiąc sobie wrogów z Amerykanów czy Rosjan?

- Jak wy możecie żyć w takiej tyranii? - zawołała w podnieceniu. - Monarchia to przestarzała, archaiczna i despotyczna forma rządów. Żadne inne mocarstwo nie ma króla czy królowej.

- I żadne inne państwo świata nie dorównuje potęgą Rzeczypospolitej - z tej samej przyczyny. Cóż może być złego w „tyranii” zapewniającej swym obywatelom najwyższy standard życiowy na świecie? Tak, mamy prawdziwego króla, sprawującego władzę absolutną. Przez pięć lat. A potem wybieramy nowego króla lub królową spośród książąt i szlachty. To jest dobry system. Jedyne takie wytłumaczenie jestem w stanie ci podać.

- Ten wasz system lada dzień runie - upierała się - i wówczas, być może, będziecie mieli prawdziwą demokrację!

- Dobry Boże, nie! Wszystko, tylko nie to! „Prawdziwa demokracja” w waszym wydaniu? Ze sparaliżowaną władzą ustawodawczą, skorumpowaną administracją i opieszałym wymiarem sprawiedliwości? Nasze osiągnięcia zawdzięczamy unikaniu waszych błędów. Dam ci jeden przykład: aby zmienić system telewizyjny Rzeczypospolitej na trójwymiarowy, król podpisał

proklamację. W wiele lat po tym u was nadal trwają dyskusje, komu przysługują jakie prawa. A my od 230 lat nie musieliśmy uciekać się do ostatniej instancji, jaką jest Stowarzyszenie Zabójców.

Nie rozumiała. Oni nigdy nie rozumieją - pomyślał ze smutkiem. Monarchia elekcyjna była niemożliwa i dlatego nie mogła istnieć. Polacy się tym nie przejmowali.

- Posłuchaj, Dana, nie utrudniaj tego startu. Nie winie cię za mylną interpretację danych, jakie znalazłaś. Tak naprawdę, to nie wiesz, co one znaczą, czy nie mam racji?

Popatrzyła na kotka, bawiącego się u jej stóp. - No, niezupełnie, ale są tam rozkazy, dotyczące...

- Przypuśćmy - westchnął - że zgodzę się poddać testowi na wykrywaczu kłamstw? Na własną prośbę, tu, na miejscu, na jednym z waszych aparatów? Czy to by cię zadowoliło? - Longinowi na pewno by się to nie spodobało, ale Michał naprawdę nie potrafił już niczego innego wymyślić. Jeśli to się nie uda, Longin będzie mógł winić tylko siebie samego. Powiedział mu przecież wyraźnie, że jest tylko inżynierem.

Wydawała się wahać. - Naprawdę zrobiłbyś to?

- Nawet w tej chwili, jeżeli chcesz.

- No tak, sądzę, że to załatwiłoby sprawę. - Była zmieszana.

- Te dane dotyczące paliwa. Byłam pewna...

- Chyba każdy na twoim miejscu tak by to odczytał. Otoczył ją ramieniem. - Chodźmy przeprowadzić ten test.

Jednoczesny start zakończył się pełnym powodzeniem. Król był zadowolony, Longin był zadowolony, wszyscy związani z Planem Polskim byli zadowoleni.

W dwa tygodnie później na biurku Michała rozległ się brzęczyk telefonu. Jego sekretarka poinformowała go zbolalym głosem, że jakaś rozhisteryzowana kobieta w hallu wykrzykiwało obelgi pod jego adresem.

- Miała przy sobie broń, ale wykryto to przy wejściu i została zatrzymana przez ludzi z ochrony.

- Jak ona wygląda? - Dobrze wiedział jak, i sekretarka potwierdziła jego podejrzenia.

- Policja pyta, czy chce pan z nią porozmawiać, zanim zostanie stąd zabrana?

- Sądzę, że powinienem. Pani może powiadomić odpowiednie władze, aby podjęto kroki w związku z jej deportacją. Jej miejsce jest gdzie indziej. Ona jest... zdezorientowana. Ale, tak, zobaczę się z nią.

Grupka gapiów otaczała posterunek przy wejściu do Ośrodka. Michał pomachał w tamtą stronę z irytacją.

- Przeszło stu ludzi na orbicie jest całkowicie zależnych od nas, tu, w Ośrodku. Proszę natychmiast wracać do pracy!

Tłum rozpadł się jak nieświeży budyń, kierując się w stronę swych pulpitów i biur.

W pokoju dwóch rosłych osobników przytrzymało Dane Canning. Miała dzikie spojrzenie i włosy w nieładzie. Zniknęły bez śladu wszystkie oznaki niewinności, które kiedyś tak lubił.

- Ty! Okłamałeś mnie, ty cholerny...

- Nie okłamałem cię, Dano.

- Okłamałeś mnie w sprawie związanej ze startem.

- A wykrywacz kłamstw? Czy stwierdzono, że kłamię?

- Ty... ty dałeś wykrętną odpowiedź! - Chciała go kopnąć, ale w porę się odsunął. Strażnicy wzmocnili uścisk.

- Tego pytania nie zadaliście mi w ogóle. Gdybyście zadali, nie mógłbym odpowiedzieć. Zdecydowałem się iść na pewne ryzyko.

Spojrzała na niego z gorzkim grymasem

- Stacja orbitalna. Wyrzutnia raket dająca kontrolę nad wszystkimi ośrodkami jądrowymi i wyrzutniami na Ziemi!

- Cele tej stacji są przede wszystkim handlowe i naukowe - powiedział spokojnie - ale prawdą jest, że stacja posiada pewne przystosowanie do celów wojskowych...

Wybuchnęła śmiechem. Nie było w nim ani cienia wesołości.

- Pewne przystosowanie! Zgodnie z uzyskanymi przeze mnie informacjami umieściliście tam głowice nuklearne w ilości wystarczającej, aby zmieść z powierzchni Ziemi dowolne państwo, zanim zdoła ono przyspuścić atak uprzedzający.

- A, tu cię mam - wtrącił. - Dla Polaka, samo pojęcie „atak uprzedzający” jest czymś wywołującym mdłości. Czy nie rozumiesz? Wobec rozprzestrzenienia broni nuklearnej na świecie, ktoś musiał wystąpić i powiedzieć:

„Nie wygłupiajcie się z tą nową zaba’wką, bo dostaniecie klapsa!” Król i Rada Najwyższa, aczkolwiek niechętnie, postanowili, że musimy wziąć ten” obowiązek na siebie. Jesteśmy obecnie zbyt blisko gwiazd. Dano, żeby ryzykować powrót do dawnego pełzania. Polska nie wypowiedziała wojny żadnemu państwu już od wielu stuleci. Nie można tego powiedzieć o żadnym innym mocarstwie - również waszym. Niebezpieczna próżnia została zapełniona.

- Stara śpiewka - parsknęła - każdemu chodzi tylko „o dobro ludzkości”. Hasło każdego zdobywcy od czasów egipskich. Dlaczego wy mielibyście być inni?

Potrząsnął głową. Ona nigdy tego nie pojmie, nigdy nie zrozumie. Tak jak nie pojną Chińczycy, Amerykanie czy Kenijczycy. Nigdy nie rozumieją, zawsze będą zazdrościć i nic nie można na to poradzić - nic - tylko robić swoje.

Odwrócił się, zamknął za sobą drzwi, odgradzając się od jej wrzasków i wyzwisk.

To było coś, co nie dawało się wytłumaczyć, coś w samych ludziach, o czym chciał ją przekonać. Przyczyna, dla której właśnie Polska była najpotężniejszym państwem na ziemi, dlaczego żadne inne państwo nie mogło nawet marzyć o dorównaniu Rzeczypospolitej.

Polacy byli łagodnymi ludźmi...

Ursula K. Le Guin

Rękopis na ziarenkach akacji
i inne materiały z Przeglądu Naukowego
Towarzystwa Zoologii i Zoologii
Rękopis znaleziony w mrowisku

Odnalezione przekazy zapisano wydzieliną gruczołów na oczyszczonych z kielków ziarenkach akacji, ułożonych w równe rzędy na końcu wąskiego, krętego korytarza prowadzącego do jednego z głębszych poziomów kolonii. Uwagę badacza zwrócił przede wszystkim fakt, że ziarenka ułożone były w pewnym określonym porządku.

Przekazy są fragmentaryczne, a tłumaczenie przybliżone i w znacznym stopniu uzależnione od interpretacji, ale tekst zasługuje na uwagę, choćby ze względu na uderzający brak podobieństwa do jakichkolwiek innych, znanych nam tekstów mrówek.

Ziarenka 113 Nie (będę) dotykać czułek. Nie (będę) głaskać. (Chcę) przekazać wysuszonym ziarenkom słodycz (mojej) duszy. Mogą je znaleźć już po (mojej) śmierci. Odstukać w drzewo! (Będę) wołać! (Jestem) tutaj!

Fragment ten może być również odczytany w inny sposób:

Nie dotykać czułek. Nie głaskać. Przekazać wysuszonym ziarenkom słodycz (waszej) duszy. Mogą je znaleźć już po (waszej) śmierci. Odstukać w drzewo! Wołać: (jestem) tutaj!

W żadnym ze znanych nam dialektów języka mrówek nie istnieje odmiana czasownika przez osoby oprócz trzeciej osoby liczby pojedynczej i mnogiej i pierwszej osoby liczby mnogiej. W powyższym tekście użyto przeważnie bezokoliczników. Nie możemy więc stwierdzić na pewno, czy miała to być autobiografia, czy manifest.

Ziarenka 1422 Długie są korytarze. Jeszcze dłuższe jest to wszystko, gdzie nie ma korytarzy. Żaden korytarz nie sięga do końca tego, co nie ma korytarzy. Ono rozpościera się dalej, niż możemy dojść przez dziesięć dni (t.j. bez końca). Chwała!

Znak przetłumaczony jako „Chwata” stanowi połowę zwyczajowego pozdrowienia: „Chwała królowej!” albo „Niech żyje królowa!”, albo „Cześć królowej!” - ale słowo/znak „Królowa” pominięto.

Ziarenka 2329 Jak mrówka wśród obcychwrogich mrówek ginie, tak mrówka bez mrówek umiera, ale być bez mrówek to słodycz słodsza od rosy miodowej.

Mrówkę, która zawędruje do obcej kolonii, zwykle się zabija. Mrówka, odizolowana od innych mrówek, z reguły mniej więcej po jednym dniu umiera. Trudność tego fragmentu zawiera się w słowie/znaku „bez mrówek” oznaczającym, jak sądzimy, „samotność” - pojęcie, na które u mrówek słowo/znak nie istnieje.

Ziarenka 3031 Zjeść jajka! W górę królową!

Interpretacja zwrotu na ziarenku Nr 31 wywołała dłuższą dyskusję. Jest to sprawa bardzo istotna, ponieważ wszystkie poprzednie ziarenka można dokładnie zrozumieć tylko w świetle tego ostatniego wezwania. Dr Rosebone wysunęła ciekawą hipotezę, że autorka - bezskrzydła robotnica - daje tu wyraz nieziszczalnemu marzeniu o tym, aby przekształcić się w uskrzydłonego samca i założyć nową kolonię wlatując w górę w locie godowym z nowo wybraną królową. Wprawdzie tekst pozwala na taką interpretację, ale naszym zdaniem nie ma w nim nic, co by ją potwierdzało, a z pewnością przeczy jej tekst na poprzednim ziarenku Nr 30: „Zjeść jajka!” Sens tych słów, mimo że groźny, jest ponad wszelką wątpliwość jednoznaczny.

Ze swej strony zaryzykowalibyśmy hipotezę, że kłopot z odczytaniem ziarenka Nr 31 wynika z

antropocentrycznej interpretacji wyrażenia „w górę”. Dla nas „w górę” oznacza kierunek pomyślny, dla mrówki znaczenie jest albo może być zupełnie inne. Oczywiście „w górę” jest pożywienie, ale „na dole” jest bezpieczeństwo, spokój i dom. „W górę” - oznacza palące słońce, mroźną noc, niemożność schronienia się w umiłowanych korytarzach, wygnanie, śmierć. Dlatego też jesteśmy zdania, że ta dziwna autorka w samotności pustego korytarza usiłowała za pomocą dostępnych jej, skromnych środków, ująć w słowa najstraszniejsze bluźnierstwo, na jakie może zdobyć się mrówka, i że właściwe odczytanie ziarenek 3031 w kategoriach ludzkich brzmi:

Zjeść jajka! Precz z królową!

Kiedy odkryto rękopis, przy ziarenku Nr 31 znaleziono wysuszone zwłoki małej robotnicy. Głowę miała odciętą od tułowia, przypuszczalnie uczyniły to szczęki któregoś z żołnierzy kolonii. Ziarenka, starannie ułożone we wzór przypominający muzyczną pięciolinie, pozostały nietknięte. (Mrówkizotnierze są niepiśmienne, więc żołnierza pewno nie zainteresował zbiór bezużytecznych ziarenek, z których usunięto jadalne kielki). W całej kolonii, zniszczonej podczas wojny z sąsiednim mrowiskiem w jakiś czas po śmierci autorki przekazów na ziarenkach akacji, nie znaleziono ani jednej żywej mrówki.

- G. D'Arbay, T. R. Bardol

Zawiadomienie o wyprawie

Ogromne trudności, jakie stwarza odczytywanie pisma pingwinów, zostały ostatnio częściowo pokonane dzięki użyciu kamery filmowej do zdjęć podwodnych. Na filmie bowiem można powtarzać lub zwalniać płynne sekwencje pisma aż do chwili, kiedy przez ciągłe powtarzanie i uważną obserwację uchwycimy wiele elementów tej wykwintnej i pełnej życia literatury; chociaż jej niuanse i prawdopodobnie sama istota będą się nam zawsze wymykać.

Pierwszym, który zwrócił uwagę na pewne podobieństwo pisma pingwinów do pisma gęsi rasy tuluskiej, był profesor Duby. Umożliwiło to ułożenie pierwszego, próbnego słownika języka pingwinów. Wyzyskiwana do tego czasu analogie z językiem delfinów nigdy nie dawały większych rezultatów, a nieraz okazywały się wręcz mylące.

W rzeczy samej, na pierwszy rzut oka wydawało się dziwne, żeby pismo zapisywane prawie całkowicie skrzydłami i szyją w powietrzu miało okazać się kluczem do poezji pisanej na wodzie przez poetów o krótkich szyjach i wiosłowatych skrzydłach. Ale nie uznalibyśmy tego za takie dziwne, gdybyśmy pamiętali, że pingwiny to, wbrew pozorom, ptaki.

Aczkolwiek pismo ich przypomina w formie pismo delfinów, nie powinniśmy byli zakładać, że musi je również przypominać w treści, i rzeczywiście wcale go nie przypomina. Mamy tu oczywiście ten sam niezwykły dowcip i przebłycki absurdalnego humoru, pomysłowość i niezrównany wdzięk. Spośród całej literatury tysięcy gatunków ryb, tylko nieliczne piśmiennictwa zawierają pewien element humoru i to też raczej mato finezyjnego, prymitywnego, przy czym urocza lekkość humoru rekinów czy tarponów różni się zasadniczo od beztroskiej wesołości, którą można znaleźć w pismach waleni. Wesołość, radość i humor są cechą zasadniczo autorówpingwinów, jak również lepszych autorów z rodziny fok. Wszystkich ich łączy ta sama temperatura krwi. Ale odmienna budowa mózgu i macicy stwarza barierę nie do przebycia. Delfiny nie składają jajek. Z tego prostego faktu wynikają ogromne różnice.

Dopiero kiedy profesor Duby przypomniał nam, że pingwiny to ptaki, że nie pływają., ale latają w wodzie, dopiero wtedy zoolingwiści zaczęli traktować morską literaturę pingwinów ze zrozumieniem, dopiero wtedy kilometry nagranych taśm filmowych można było ponownie przejrzeć i w końcu należycie ocenić.

Ale wszystkie trudności przekładu mamy ciągle przed sobą.

Pewne zadawa!ające postępy odnotowaliśmy w rozszyfrowaniu dialektu pingwinów Adeli. Trudności w utrwaleniu na taśmie szeregu seansów kinetycznych w burzliwym oceanie o temperaturze poniżej 0 stopni i gęstym od planktonu jak grochówka, są znaczne, ale wytrwałość Koła Miłośników Literatury Polarnej im. Rossa została w pełni nagrodzona takimi fragmentami jak „Pod lodowcem” z „Pieśni jesiennej” - fragment, który zyskał światowy rozgłos dzięki interpretacji Anny Sriebriakowej z Baletu Leningradzkiego. Żadne tłumaczenie słowne nie może dorównać trafnością wersji Sriebriakowej. Po prostu nie sposób oddać na piśmie tej istotnej różnorodności oryginalnego tekstu, którą tak pięknie odtworzył cały zespół Baletu Leningradzkiego, W istocie bowiem to, co nazywamy „przekładami” z dialektu Adeli - albo innej kinetycznej grupy tekstów - to są, prawdę mówiąc, zaledwie szkice, libretto bez opery. Prawdziwym przekładem jest wersja baletowa. Słowa nie mogą tu wyrazić wszystkiego.

Dlatego, sędzę, chociaż moja opinia może wywołać pomruki gniewu albo wybuchy śmiechu, że dla zoolingwisty - w przeciwieństwie do artysty czy amatora - kinetyczna literatura morska pingwinów jest najmniej obiecującą dziedziną studiów, a co więcej, dialekt Adeli mimo całego uroku i względnej prostoty, jest mniej obiecującą dziedziną studiów niż dialekt cesarski.

Dialekt cesarski! Przewiduję reakcję moich kolegów na tę propozycję. Cesarski! Najtrudniejszy, najodleglejszy ze wszystkich dialektów języka pingwinów. Dialekt, o którym sam profesor Duby powiedział: „Literatura dialektu cesarskiego jest tak surowa i nieprzystępna, jak mroźne serce Antarktydy. Jej piękno być może jest nieziemskie, ale my nigdy nie zdołamy do niego dotrzeć”.

Być może. Nie znaczy to, że nie doceniam trudności, a jedną z większych jest tu natura pingwinów cesarskich, znacznie bardziej powściągliwych i skrytych niż inne gatunki. Ale chociaż może to zabrzmieć jak paradoks, właśnie ta ich rezerwa napawa mnie nadzieją. Pingwin cesarski nie jest bowiem samotnikiem, ale ptakiem stadnym i kiedy w porze lęgowej przebywa na lądzie, żyje w koloniach, tak jak pingwin Adeli, tyle że te kolonie są nieporównanie mniej liczne i spokojniejsze. Więzy pomiędzy członkami kolonii pingwinów cesarskich są bardziej osobiste niż społeczne. Pingwin cesarski jest indywidualistą. Dlatego wydaje mi się prawie pewne, że ich literatura okaże się pisana przez pojedynczych autorów, a nie zespołowo, i dzięki temu można będzie przełożyć ją na język ludzki. Będzie to nadal literatura kinetyczna, ale jakże różna od przestrzennej, wartkiej, złożonej morskiej twórczości zespołowej! Wnikliwa analiza i ścisła transkrypcja staną się wreszcie możliwe!

Co? - powiedzą moi oponenty. - Mamy pakować się i jechać na Przylądek Croziera, w ciemności, burze śnieżne i 60stopniowy mróz, mając zaledwie słabą nadzieję na sfilmowanie problematycznej, poezji kilku dziwnych ptaków, które siedzą tam wśród nocy polarnej, na wiecznym lodzie, z jajkiem na nogach?

Moja odpowiedź brzmi - tak. Ponieważ instynkt mówi mi za profesorem Duby, że pięknu tej poezji nie dorówna nic na Ziemi.

A tym z kolegów, którzy obdarzeni są ciekawością badacza i poczuciem piękna, mówię: wyobraźcie sobie: lód, zadymka śnieżna, mrok, nieustanne wycie i zawrodożenie wiatru. Na tym czarnym pustkowiu kuli się grupka poetów. Głodują, nie będą nic jeść przez wiele jeszcze tygodni. W fałdzie skóry między nogami, pod ciepłym pierzem pokrywającym podbrzusze, każdy z nich trzyma jajko, chroniąc je w ten sposób przed śmiertelnym dotknięciem lodu. Poeci nie widzą się nawzajem ani nie słyszą. Wyczuwają tylko swoje ciepło. To jest ich poezja, ich sztuka. Jest cicha jak cała literatura kinetyczna, w przeciwieństwie jednak do innych literatur kinetycznych jest omalże nieruchoma, ledwo uchwytna. Nastroszone piórko, uniesione skrzydło, dotknięcie, lekkie, delikatne dotknięcie sąsiada. W niewymownej dręczącej, czarnej samotności - afirmacja życia. W pustce - przyjaźń. W śmierci - życie.

Dostałem ostatnio spore stypendium badawcze od Unesco i zorganizowałem wyprawę na Antarktydę. Mam jeszcze cztery wolne miejsca. Wyruszamy w czwartek. Gdyby ktoś z kolegów chciał z nami jechać - serdecznie zapraszam.

D, Petri

Artykuł wstępny napisany przez Prezesa Towarzystwa Zoolingwistycznego

Co to jest język?

Odpowiedzi na to centralne w zoolingwistyce pytanie udzieliło nam, heurystycznie, samo istnienie naszej dziedziny nauki. Język jest to sposób porozumiewania się. To jest aksjomat, na którym opiera się cała nasza teoria i badania naukowe, z którego wywodzą się wszystkie nasze odkrycia, a ich pozytywne wyniki potwierdzają słuszność aksjomatu. Ale na podobne, choć nie identyczne pytanie; - co to jest sztuka? - nie udało się nam jeszcze dać zadowalającej odpowiedzi.

Tołstoj, w książce pod tym właśnie tytułem, odpowiedział zdecydowanie i jasno; Sztuka to również sposób porozumiewania się. Odpowiedź ta została przyjęta przez zoolingwistów, o ile wiem, bez żadnych zastrzeżeń czy sprzeciwów. Na przykład: dlaczego zoolingwiści zajmują się tylko

zwierzętami?

Ależ dlatego, że rośliny się nie porozumiewają. Rośliny nie porozumiewają się, to fakt. A więc nie mają języka, doskonale, to wynika z naszego podstawowego aksjomatu. To znaczy, że rośliny nie mają również sztuki. Ale chwileczkę! To już nie wynika z naszego aksjomatu, tylko z przyjętego bez zastrzeżeń twierdzenia Tolstoja. A jeżeli sztuka nie jest sposobem porozumiewania się? Albo jeżeli pewien rodzaj sztuki jest sposobem porozumiewania się, a inny nie jest?

My sami, zwierzęta czynne i drapieżne, szukamy (co jest rzeczą naturalną) czynnej, drapieżnej, komunikatywnej sztuki i taką sztukę rozpoznajemy, kiedy się z nią stykamy. Wprawa, z jaką potrafimy ją rozpoznać i ocenić, jest naszym najnowszym i wspaniałym osiągnięciem.

Ale muszę przyznać, że mimo ogromnych postępów poczynionych przez zoolingwistów w ciągu ostatnich dziesięcioleci, jesteśmy dopiero u wstępu naszego wieku odkryć naukowych. Nie możemy stać się niewolnikami naszych własnych założeń. Nie dostrzegliśmy jeszcze otwartych przed nami szerszych horyzontów wiedzy. Nie stawiliśmy czoła groźnemu wyzwaniu roślin.

Jeżeli istnieje sztuka niekomunikatywna, wegetatywna, musimy przemyśleć raz jeszcze naszą naukę od podstaw i opanować zupełnie nowe i różnorodne metody.

Albowiem nie da się po prostu zastosować naszych metod krytycznych i dotychczasowych kryteriów właściwych przy analizie powieści kryminalnych łasicy czy liryków miłosnych ropuchy albo podziemnych sag dżdżownicy - do twórczości sekwoi czy ogórka.

Udowodniła to ostatecznie porażka - chwalebna porażka - jaką poniósł dr Srivas z Kalkuty, posługując się fotografią stroboskopową w celu ułożenia słownika słoneczników. Jego projekt był śmiały, ale z góry skazany na niepowodzenie, zakładał bowiem kinetyczne podejście do zagadnienia, metodę właściwą, gdy chodzi o komunikatywną sztukę żółwia, ostrygi czy leniwca. Jedynym problemem, jaki dostrzegł, była więc niezmierna powolność roślin.

Ale problem sięga znacznie dalej. Sztuka, której poszukiwał, jeżeli w ogóle istnieje, jest sztuką niekomunikatywną - i prawdopodobnie niekinetyczną. Możliwe, że Czas - ten najważniejszy element, podstawa i miara wszelkiej sztuki zwierzęcej, nie liczy się zupełnie w sztuce roślin. Postępują się one być może miarą wieczności. Nic o tym na razie nie wiemy.

Nic na razie nie wiemy. Możemy tylko snuć domysły, że domniemana Sztuka Roślin jest diametralnie różna od Sztuki Zwierząt. Jaka jest - tego nie możemy stwierdzić, gdyż jeszcze jej nie odkryliśmy. Niemniej mogę chyba przepowiedzieć, że istnieje prawie na pewno, a kiedy ją odkryjemy, okaże się nie akcją ale reakcją, nie komunikowaniem się, ale percepcją. Będzie to dokładne przeciwieństwo sztuki, którą znamy i potrafimy rozpoznać. Pierwsza znano nam sztuka biernp.

Czy będziemy umieli ją poznać? Czy ją kiedykolwiek zrozumiemy?

Zadanie będzie niezwykle trudne, to nie ulega wątpliwości. Ale nie zniechęcajmy się. Musimy pamiętać, że jeszcze w połowie dwudziestego wieku większość naukowców i wielu artystów nie wierzyło nawet w to, że rozumieją kiedyś delfina i że jego mowa warta jest rozumienia! Jeszcze jedno stulecie, a może my będziemy się wydawali równie śmieszni. „Czy możesz sobie wyobrazić - spyta krytyka sztuki fitolingwista - że oni nie rozumieli nawet bakłażanów?” na myśl o naszej ignorancji będą z uśmiechem politowania wkładać plecaki, wybierając się w góry, żeby przeczytać nowo odszyfrowane liryki mchu na północnej ścianie Pike Peak.

A z nimi albo po nich znajdzie się może badacz jeszcze bardziej przedsiębiorczy - pierwszy geolingwista, który omijając delikatne, przejrzyste liryki mchów zacznie odczytywać pod nimi jeszcze mniej komunikatywną, jeszcze bardziej bierną, całkowicie pozaczasową, zimną, wulkaniczną poezję skał: każde słowo wypowiedziane przed milionami lat przez samą ziemię w bezmiarze

samotności, w bezmiarze zespolenia z kosmosem.

Stephen Robinett Piekłomiot 4

- Halo, Kontrola Misji, czy mnie słyszycie? Odbiór... W odpowiedzi trzaski, skrzeki i kaszel zakłóceń.

- Tu Piekłomiot Cztery do Kontroli Misji. Odezwiście się.

Posłuchał chwilę, po czym zamknął kanał łączności. Po co wsłuchiwać się w martwą ciszę? Po co śledzić zakłócenia? Życie i bez tego jest ciężkie, po cóż jeszcze znosić ich wzgardę, całkowitą i skrajną obojętność? Wracać po trzystu latach, by napotkać wzgardę i obojętność? Włączył na krótko kanał łączności otwierając tłumik do maksimum, aż do wrzasku:

- Co komu po tym, gnojki! Życie jest za krótkie!

Co teraz? Wejść na orbitę i czekać? Piekłomiot przeszukał swoje zasoby pamięci, sprawdzając wszystko po kilka razy. Zaprogramowano go na wszystkie okoliczności prócz jednej: powrotu... Wiedział dokładnie, gdzie ma się spotkać z Kosmoločami, i równie dokładnie, co ma z nimi zrobić, kiedy już się tam znajdzie. Wytropił ich i zrobił, co doń należało. Cel! osiągnięty, zadanie wykonane. Później, gdy stwierdził, że tylko on jeden ocalał, zaczął przeszukiwać zasoby pamięci, by znaleźć tam następane zadanie, następane program. Nic.

Zgoda, konstruktorzy zaplanowali po obu stronach siłę niszczącą dziesięciokrotnie przekraczającą optimum. Zgoda, przewidywania okazały się trafne - przynajmniej co się tyczy Kosmoločów. Owszem, straty Ziemi zostały przewidziane z dokładnością 99,999998%, ale - niech ich diabli! - mogli zaprogramować coś na wypadek przeżycia jednego z Niszczycieli. Nikłe prawdopodobieństwo. Z ich punktu widzenia prawdopodobieństwo i prognozy to świetna sprawa - przed faktem. Ale post factum 0,000002% prawdopodobieństwa jego przeżycia zamieniło się w 100% pewności.

Piekłomiot wybrał orbitę parkowania i okrążał Ziemię w zamyśleniu. Pozbawiony zadania - czy raczej pozostawiony nadal ze swym pierwotnym zadaniem - czuł się bezużyteczny. Nie ma Kosmoločów, nie ma zadania. Prawie pożałował, że zniszczył wszystkich. Przez sto pięćdziesiąt lat podróży ani razu nie zwątpił w swoje zadanie: zniszczyć Kosmoločy i uratować ludzkość. Dopiero, gdy odniósł zwycięstwo, poczuł wewnętrzną pustkę.

Przypomniał sobie, jak atakował armadą Kosmoločów w tyralierze swych towarzyszy, rozciągniętej na milion kilometrów w każdą stronę. Przypomniał sobie, jak wyglądały siły Kosmoločów: zrazu jeden statekmatka szerokości pół miliona kilometrów. Później oddział ten rozpadł się na pododdziały i rozwinął się przed jego oczami. Przypomniał sobie chwilę wahania przed bitwą, kiedy obie strony czekały na uderzenie przeciwnika. To on podjął decyzję. Znał swój cel. Znał zadanie. Przybył tu, by walczyć. Będzie walczyć. Wycelował w najbliższego Kosmoloča i wystrzelił.

Po bitwie - czas trwania 2,478 nanosekund - przyszło znużenie. Samotny w przestrzeni Piekłomiot zastanawiał się, co czynić dalej. Nie było już Kosmoločów. Towarzysze jego dalekiej wyprawy zginęli. Zostało tylko jedno - Ziemia, ludzie, miejsce narodzin. Ruszył w powrotną drogę.

Otworzył wszystkie kanały łączności:

- Czy coś mi się teraz nie należy? Nie usłyszę nawet dzień dobry?

- Halo?

Zaskoczony Piekłomiot wyłączył nadajnik. Czy rzeczywiście to usłyszał? Słowo, głos, ludzką istotę? Odezwał się ostrożnie i podejrzliwie:

- Kto to?

- A ty kto?

- Ty pierwszy. Może to zasadzka Kosmochłóów.

- Jak proszę?

- Słyszałeś. Kim jesteś?

- Tu Kontrola Misji w Houston. To znaczy, to byłaby Kontrola Misji, gdyby była jakaś Misja do Kontrolowania. Tak naprawdę, to tylko ja. Zobaczyłem cię na radarze. Nie powinno cię tam być.

- Z tego widać, że niewiele tam wiecie, co?

- Nieźle mówisz po angielsku, jak na...

- Jak na co?

- Jak na Obcego.

- Obcego! - zaśmiał się Piekłomiot. - Nie poznalibyście Obcego nawet, gdyby wam siadł na głowie. Czego się spodziewałeś, że będę mówił po ormiańsku? Zaprogramował mnie zespół NASA. Oni mówili po angielsku, ja też. Nigdy nie potrafiliśmy się dogadać ze statkami Rosjan. Dla mnie to był zawsze angielski od tyłu. Gadaliśmy z nimi dwójkowym. Cholernie bezosobowe. No, a teraz powiedzcie, co mam robić. Wróciłem.

- Co robić?

- Co robić?! - powtórzył, naśladowując dokładnie ton tamtego, a potem wracając do własnego głosu, czy raczej do tonu swojego programisty, gruboskórnego faceta, z którym nigdy nie mógł się dogadać.

- Nigdy nie słyszałeś o czymś takim?

- Nie, to znaczy nigdy od kogoś z kosmosu. Piekłomiot wściekł się.

- Jeżeli jeszcze raz nazwiesz mnie „kimś z kosmosu”, frajerze, to was rozgniotę! Wpakuję wam w tę waszą stacyjkę jakąś... - pomyślał, usiłując sobie przypomnieć, jaką to groźniejszą broń ma jeszcze w swoim mocno przetrzebionym arsenale. - ...jakąś bombę neutrinową! - Nie miał nic takiego na pokładzie.

Cisza, kaszel, trzaski, stuki.

- Mięczaki - zawyrokował. - Zwyczajne, mięczakowate, ludzkie zachowanie. Wystarczy słowo o bombie neutrinowej i wieją w krzaki. Zawsze podejrzewałem, że to tchórze. Inaczej nie wysyłałiby automatów do gorszej roboty.

Przeszedł na stacjonarną orbitę nad Houston.

- Hej tam, na dole, odezwiście się! Nie będzie bomby neutrinowej, słowo!

Stacja na Ziemi mignęła raz i drugi, wreszcie wykrztusiła:

- Czego chcesz?

- Powiedziałem, czego chcę. Chcę się dowiedzieć, co mam robić. Jam twym sługą, pamiętasz? Szybkie migotanie stacji.

- Nie.

- Posłuchaj no, ptasi mózdzku, przestań szczebrać mi do ucha tym cholernym ”nadajnikiem i gadaj normalnie, i wyślij wideo, niech wiem, z kim gadam.

- Wideo?

- Obrazki, rozumiesz, telewizja, chyba wiesz, co to?

- Nie mamy instalacji wideo czy jak tam to nazywasz.

- Świetnie wiem, że macie instalację wideo. Skąd ja miałbym odbiornik, gdybyście wy nie mieli nadajnika? No, wytłumacz mi to, cwaniaku? A teraz wyłącz się i dawaj obrazki.

- A tak w ogóle, to coś ty za jeden? Przez chwilę Piekłomiot pożałował, że nie ma na pokładzie bodaj jednej bomby neutrinowej.

- Zaraz ci powiem. Powiem jasno. Będziesz słuchać uważnie, skupisz na tym cały swój umysł, jeżeli posiadasz coś takiego. Dotarło?

- Tak.

- Dobra. Jestem Piekłomiot Cztery. Melduję się wam, bando durniów, bo akurat nie mam nic lepszego do roboty. Gdybym mógł wymyślić jakikolwiek zabawniejszy sposób spędzenia czasu, to możecie mieć 99,999998% pewności, że bym go wybrał. Rozkaz wykonany. Zrozumiałeś? Kosmolochołów nie ma. Wszystkie załatwione. Pifpaf. Zrozumiałeś? A teraz róbcie, co uważacie za stosowne, bo dalsza inteligentna rozmowa z podkretynalnymi istotami, które, jak stwierdzam, zamieszkują teraz tę planetę, jest dla mnie uciążliwa, a na dodatek wpadam w depresję, kiedy tak usiłuję powstrzymać się od robienia czegoś, czego potem będę żałował. Trzymam odbiór na tej częstotliwości - dość niskiej, jeżeli wolno dodać. Jeżeli macie mi coś istotnego do powiedzenia, skontaktujcie się ze mną. Zrozumiałeś?

Chwila ciszy. Nadajnik w Houston nie wytęczył się. Wreszcie człowiek przemówił:

- Co to są Kosmolochoy?

Piekłomiot, wściekły, zamilkł na chwilę tłumiąc gniew i wspominając bitwę oraz swych utraconych towarzyszy. Kiedy tłumienie gniewu okazało się ewentualnością gorszą od wybuchu, otworzył tłumik do maksimum i powiedział:

- TO JEST... - zaczął, hamując się jedynie myślą, iż przez trzysta lat zasadnicza cecha człowieka, niewdzięczność, przetrwała, a także, iż świadomość oparta na związkach organicznych poddana jest odchyleniom emocjonalnym, nie występującym u maszyn, a więc trzeba się zdołać na nieco pobłażliwości, przyjmując to zatem do wiadomości, a jednocześnie uznając, iż ani jeden z tych argumentów nie jest wystarczający, dokończył; - ...OBELGA I

- Przapraszam - pisnęła Kontrola Misji.

Piekłomiot czekał, żywiąc nadzieję, że człowiek będzie miał dość rozumu, by poszukać kogoś przytomniejszego. Spróbował przeliczyć na komputerze szansę znalezienia kogoś takiego.

NIEDOSTATECZNE DANE.

- Co to ma znaczyć, niedostateczne dane, ty osłe! Rusz trochę wyobraźnią!

NIEDOSTATECZNE DANE.

Piekłomiot zawarczał, uznając tę reakcję za coś w rodzaju zaworu bezpieczeństwa. Znał ten komputer już trzysta lat. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek wykazał on bodaj najmniejszą skłonność do posługiwania się wyobraźnią. Był i pozostawał durniem, siostrąmaszynką, to prawda, blaszanym towarzyszem, ale jednak durniem, którego głupota dała się porównać jedynie z głupotą ich wspólnych, ludzkich twórców, ci zaś sądzili, że jeśli odłączą funkcje analityczne od funkcji świadomych, konstrukcja będzie bardziej elastyczna i pozwoli nieokiełzanej wyobraźni działać poza kontrolą obwodów logicznych, których zalecenia przybierały zwykle formę probabilistyczną. Tylko w walce funkcjonowały razem, podejmując decyzje w czasie ułamków nanosekund.

Zdał sobie sprawę, że trudno się spodziewać, by Komputer ni stąd, ni zowąd okazał wyobraźnię. Ten gatunek zimnego, logicznego krytyka rzadko posiadał ów przymiot. Przeprósł go.

NIEDOSTATECZNE DANE.

- Gdybyś tak umiał szczekać, albo coś w tym guście, byłbyś zabawniejszy.

Począł godzinę, dwie, trzy. Nad Houston zapadł wczesny zmierzch, ciemniało. Postanowił posłuchać wiadomości. Przez długie trzysta lat był ich pozbawiony. Przebiegł pasmo 50000 megaherców w poszukiwaniu dziennika. Wszędzie cisza. Szukał wyżej, potem przeszedł na łączność laserową. Nic. Przypominał sobie niską częstotliwość Houston i przeszedł na najniższy fragment skali. Koło stu megaherców natknął się na program telewizyjny. Dostosował swoją pięcioletnią antenę wideo do pięćsetki telewizji, mrużąc pod nosem; „Niech mnie szlag, jeżeli to nie jest gigantyczny krok wstecz”.

Na ekranie migotał jakiś facet imieniem Walter, który czytał wiadomości.

- Poza tym NASA podaje, iż Obcy, nazywający siebie Kosmolochemi, weszli na orbitę stacjonarną nad Houston.

Kosmolochoy nad Houston? Piekłomiot przebiegł wzrokiem kosmos w promieniu ćwierć miliona kilometrów. Ani śladu Kosmolochoów. Tak czy owak dobrze wiedzieć, że gdzieś tu są.

- NASA przestrzega przed wywoływaniem paniki. Rozwiązany niedawno Sztab Operacji Kosmicznych w Houston został związany... to jest zobowiązany do podjęcia pracy. Ośrodek Kosmiczny imienia Kennedy'ego właśnie szykuje raketę.

Walter zwrócił się do mężczyzny siedzącego obok niego przy biurku. Kamera cofnęła się, żeby objąć obydwu mężczyzn.

- Wally, póki czekamy na dalsze informacje, mógłbyś nam może wyjaśnić różnicę między Saturnem V, którego w tej chwili przygotowujemy, a statkami używanymi w misjach Apollo.

- „Oczywiście, Walter” - zaczął ich przedrzeźniać Piekłomiot, zastanawiając się, coż to takiego mogło być ten Saturn. Będzie musiał wiele nadrobić w dziedzinie techniki.

- Poczekaj chwilę, Wally - przerwał Walter. - Pozwól mi jeszcze wtrącić kilka szczegółów na temat Brada Wilkesa. Dla tych z Państwa, którzy włączyli się dopiero teraz, wyjaśniam, że Brad Wilkes był pierwszym człowiekiem, który nawiązał kontakt ze statkiem Obcych.

- Dziękuję, Walter - powiedział Piekłomiot, który „włączył się dopiero teraz”,

- Nie jest on bynajmniej zwyczajnym woźnym. Jest absolwentem Kalifornijskiego Instytutu Technologicznego, a doktoryzował się w Massachusetts w dziedzinie inżynierii układów. Zanim Kongres ukreślił głowę programowi kosmicznemu - a przypuszczam, że w najbliższych wyborach znajdziemy reperkusje tej decyzji, czy nie tak, Wally...?

- Z całą pewnością tak, Walter.

- Zanim więc do tego doszło, dr Wilkes był inspektorem Kontroli Misji w Houston.

- To tłumaczy jego doskonałą znajomość wszystkich urządzeń, prawda, Walter?

- Oczywiście, Wally. Czytam tutaj - a jest to głęboko wzruszająca notatka - że dr Wilkes sprawdza te urządzenia codziennie, chyba raczej aby przywołać wspomnienia, niż w innym celu. Właśnie w trakcie jednej z tych nostalgicznych inspekcji dr Wilkes rozpoznał Obcego na radarze i wdał się z nim w rozmowę. Twierdzi, że Tamten nauczył się natychmiast nieskazitelnej angielszczyzny. Czy chciałbyś coś powiedzieć na ten temat, Wally?

- Wolałbym nie tykać tej sprawy nawet przez rękawiczki, Walter.

- Póki jeszcze czekamy, Eric (zakłócenia w odbiorze) ma coś do powiedzenia o tej sprawie. Oto jego hipoteza, Eric?

Obraz zmienił się i ukazało się zbliżenie eleganckiego mężczyzny mówiącego już coś do kamery. Piekłomiota uderzyło natychmiast jego inteligentne spojrzenie.

- Dziś ludzkość napotkała obcą rasę, obcą istotę... Kosmolochoy czy co? Piekłomiot zamyślił się.

...o inteligencji tak potężnej, że pozwoliła ona Obcemu opanować ludzką mowę na poziomie idiomatycznym już podczas pierwszej rozmowy...

By użyć przenośni, Piekłomiot zadrzał. Nigdy jeszcze nie natknął się na obcą inteligencję o takiej potędze. Kosmolochoy, jeżeli wnioskować z krótkiej obserwacji, jakiej mógł ich poddać, potrafiły ledwo mówić. Kiedy wydostał się z wiru grawitacyjnego, który zdezorientował go na kilka lat, i skontaktował się z istotami na Wolff 25C, stwierdził, iż to prawie kretyni. Miał nadzieję, że potężna obca inteligencja będzie się trzymała na bezpieczną odległość,

... przez całe lata - ciągnął wytworny Eric - fantastyka naukowa karmiła nas potworami o wielkich oczach i skrzydlatymi fantasmagoriami...

Pieklomiot przeszukał swoje zasoby pamięci w poszukiwaniu znaczenia słowa „fantasmagoria”, ... i latami śmieliśmy się jej w nos. Dziś przestaliśmy się śmiać. Zupełnie tak samo, jak twórcy tych fantazji - samotni, lekceważeni przez całe lata - szukamy rozwiązania, porozumienia, wiedzy, braterstwa wśród gwiazd, lecz sięgamy po Saturna V, zdolnego przenosić w kosmosie wielogłowicową broń nuklearną. Oddaję ci gtos, Walter.

Według Pieklomiota facet mówił z sensem. Sam na pewno nie śmiałby się w nos skrzydlatej fantasmagorii.

Kanał łączności z Houston na niskiej częstotliwości odezwał się. Pieklomiot wyłączył program telewizyjny - Waltera, Wa!!y'ego i Enea.

- Hallo, istoto! Tu Houston.

- Najwyższy czas!

- Nie gniewaj się.

- Kto tu się gniewa?

- Wyrażałeś się... no... nieco opryskliwie. Przeszukał zasoby pamięci, by znaleźć sens słowa „opryskliwie”, „0prys...”, znalazł i odpowiedział;

- Kto tu jest opryskliwy?

- Nie mamy wobec ciebie złych zamiarów.

- Dzięki ci, NASA, za drobne uprzejmości.

- Musimy jednak wyjaśnić pewne wątpliwości z naszej poprzedniej rozmowy. Musisz zrozumieć, że to konieczne.

- Jeśli o was chodzi, to na pewno konieczne.

- Czy możemy zadać kilka pytań?

Zirytowany Pieklomiot zgodził się, by zadano mu kilka pytań. Podczas budowy i wstępnych prób ani on, ani żaden inny statek Armady nie był nigdy pytany o pozwolenie. Kazano mu robić różne rzeczy. Szybko się nauczył, że ludzie wydają rozkazy, a maszyny odbierają je, ludzie wyznaczają cele i zadania, a statkiroboty stosują się do nich i wypełniają je. To, że pytano go o pozwolenie, nie leżało w porządku rzeczy. Chciał rozkazów. Chciał wiedzieć, co ma robić. Tak czy owak, prośba pochodząca od ludzkiej istoty pośrednio równała się rozkazowi. Kiedy człowiek nie zadał pytania od razu, Pieklomiot warknął;

- Szybciej, strzelaj!

- STRZELAJĄ! - kwiknęło Houston, wyłączając się nagle.

- Kto? - spytał Pieklomiot. Za późno. Stacja wyuczyła się. - Hej tam, Houston, kto strzela?

Przeszukał okolicę w promieniu pół miliona kilometrów. Nikogo. Ani Kosmochłówek, ani Fantasmagorii, w każdym razie nikt nie strzelał. Tylko Ziemia strze... Ziemia?

Z Ziemi oderwało się coś, prawdopodobnie coś, co ktoś tam uważał za raketę. Pieklomiot przyglądał się temu zafascynowany. Rzecz wyglądała jak muzealny okaz. Nagle zdał sobie sprawę z ich rzeczywistego zamiaru - oddawali mu hołd! Ktoś wydostał ten zabytek z antykwariatu i wystąpił go jako symbol uznania! Wszystko inne miało być tylko dymną zasłoną, by pozwolić teraz owej chwili hołdu lśnić niczym samotna róża w ręku pięknej kobiety.

Poczuł dumę, nie tylko dlatego, że z zasobów pamięci udało mu się wyłuskać to porównanie z różą, ale z powodu tego hołdu, tak szczególnego, tak stosownego, tak wzruszającego. Otworzył wszystkie kanały łączności, by przyjąć hołd.

- Dzięki Ci, Ameryko! Dzięki Ci, Ziemi! Nie jestem przygotowany do publicznych wystąpień... - Zauważył, że zabytek błysnął w połowie drogi. - ...jednak pragnę wypowiedzieć kilka słów, kilka krótkich zdań, by wyrazić, jak głęboko jestem wzruszony tym hołdem. Powracając z głębin

przestrzeni jestem głęboko wzruszony głębokimi uczuciami, jakie wyczuwam pod tym romantycznym i głęboko przeżyтым... - Wyczuł nagle coś innego, natarczywy pomruk komputera przerywający jego mowę. - Co się dzieje, do czorta?! Przemawiam do świata, wygłaszam nieśmiertelne słowa, a ty się bez przerwy wtrącasz! O co chodzi, jak NASĘ kocham?

ZDERZENIE DWADZIEŚCIA JEDEN KOMA DWA DZIEWIĘĆ PIĘĆ SEKUND

- Jak proszę?

ZDERZENIE DZIEWIĘTNAŚCIE KOMA ZERO ZERO JEDNA SEKUNDA

Mimo, iż bardzo nie chciał zniszczyć tego klasycznego modelu ludzkiej wynalazczości, musiał pojąć, iż przedmiot ów najwyraźniej wypadł z kursu. Nawet, jeżeli transportował tylko niskogatunkową broń nuklearną, i tak mógł narobić szkód, wyszczerbić albo wgnieść powłokę. Natychmiast zespolił się z komputerem. Niechętnie wysłał cząsteczkową falę uderzeniową i przyglądał się, jak pocisk chwieje się i wybucha.

Oddzielił się od komputera i c!ągnął dalej swoją mowę:.. ‘

- Panie i Panowie, mówiłem właśnie, jak głęboko jestem wzruszony tym...

ZDERZENIE SZEŚĆ KOMA TRZY JEDEN...

- Zderzenie? Co ci się aagle zwiduje? Zniszczyłem właśnie to biedactwo.

...SIEDEM SEKUND - zakończył nieustępliwy komputer.

Przeszukał przestrzeń. Jeszcze jeden antyk, tym razem radziecki (rozpoznał CCCP, które nosili na sobie jego towarzysze) wznoszący się ku niemu. Widok ten wzruszył go jeszcze bardziej. Rosjanie oddający hołd maszynie stworzonej, opracowanej i zbudowanej - w Ameryce (jeżeli nie liczyć paru japońskich drobiazgów elektronicznych tu i ówdzie) - to dopiero był hołd!

Niestety, rosyjski ptaszek również wypadł z kursu. Najwyraźniej ich obiekty muzealne były równie niesprawne, co amerykańskie. Zespolił się z komputerem, puścił wiązkę fotonów na rosyjski statek i w myśli zasalutował na cześć jego przedwczesnego zejścia. Oddzieli! się od komputera.

Nadajnik ziemski w Houston odezwał się. Miał właśnie podziękować im z głębi serca za ów hołd i przeprosić za zniszczenie tak czcigodnych wehikułów, kiedy przerwał mu głos - .znac ‘w nim było mniej wahania, więcej pewności siebie, mimo że wypowiedział to samo nonsensowne pytanie, co poprzedni nieśmiaiek.

- Kim jesteś?

Pieklomiot, w stanie, który oznaczał u niego najwyższe napięcie uwagi, zignorował e!ementarną głupotę pytania i na władczy ton głosu odpowiedział służbiście:

- Melduje się w bazie Pieklomiot Cztery z Oddziałów NASA, Flota Ziemska.

- Jak proszę?

Napięcie spadło. Znowu źle. Jeszcze jeden kretyn. Już miał wyłączyć ten kanał i ciągnąć swą przemowę do Ziemian.

Głos przerwał mu:

- Flota Ziemska?

- Tak jest.

- I NASA?

- National Aeronautics...

- Wiem, co to znaczy. Próbuje ustalić, a należy to do spraw podstawowej wagi, czy masz do nas przyjazny stosunek.

- Próbuje ustalić to samo.

- Dobrze, w takim razie mamy jednakowe zamiary.

- Wątpię.

- Czy mogę zadać ci kilka pytań, Piekłomiocie Cztery... Czy wolno mi tak się do ciebie zwracać?
- Wystarczy Piekłomiocie. - Skąd przybywasz?" Z Ziemi. Chwila ciszy.
- Kiedy?
- Trzysta lat temu.
- Tysiąc sześćset osiemdziesiąt?
- Mniej więcej.
- Z jakiego kraju?

Mimo, że jego cierpliwość była na wyczerpaniu, hamował się jeszcze podejrzewając, że owo przesłuchanie to tylko subtelna forma kontroli zespołów.

- USA. Skrót oznacza...

Człowiek przerwał mu tonem ojcowskiej wyższości:

- W 1680 roku nie było jeszcze Stanów Zjednoczonych, Piekłomiocie. Jego cierpliwość wyczerpała się.

- Posłuchajcie no, Houston. Wiem, że wy, inżynierowie, nie jesteście zbyt mocni w historii, ale ja wiem swoje, Mam w zasobach pamięci obok „Zmierzchu i upadku imperium Kartagińskiego” Gerbera, także „Kompletną historię Stanów Zjednoczonych” Henry Irona. Tom pierwszy omawia dzieje naszych Ojców Założycieli, Washingtona, Jeffersona i naszego pierwszego prezydenta Schwartza, oraz relacjonuje ich bohaterskie czyny z roku 1521. Tysiąc pięćset dwadzieścia jeden, Houston. Chyba słyszeliście nazwiska Ojców Założycieli?

- O Schwartzu nic nie słyszeliśmy.

- Powinniście byli słyszeć, to był Harry S. Therman swoich czasów, jedna z nielicznych prawdziwie wielkich postaci w historii ludzkości. Zacytuję wam, dla waszego zbudowania i wychowania, fragment z książki profesora Commangera. Jestem pewien, że więcej w tym będzie sensu, niż w całym waszym bredzeniu. - I zaczął czytać tom pierwszy.

Houston próbowało przerwać.

- Co tam znowu, Houston?

- Wydaje mi się, że mamy kłopoty z porozumieniem. W myśli sprawdzi! wszystkie zespoły. Wydawały się nietknięte.

- Jeżeli coś nie gra, to od waszego końca, Houston, Moje zespoły nie wykazują usterek.

- Nie to mieliśmy na myśli. Mówisz, że pochodzisz z Ziemi.

- Bo pochodzę z Ziemi.

- Mówisz, że pochodzisz ze Stanów Zjednoczonych.

- Pod tym niebem urodzony.

- Zatem jesteś człowiekiem.

- Oczywiście, że nie. Gdyby tak było, siedziałbym tam z wami, bando mięczakowatych niewdzięczników, zamiast zasuwać sto dwadzieścia lat świetlnych w górę, aż o mały włos systemy nośne nie odpadły. Ale teraz bardzo mnie już zmęczyło odpowiadanie na te idiotyczne pytania. Może przejdziemy do czego innego. Czegoś z sensem.

- Na przykład?

- Na przykład, czego sobie ode mnie życycie.

- Poczekaj, Piekłomiocie.

Poczekaj, poczekaj. Wystarczy tknąć sedna sprawy, a Houston mówi „poczekaj”. Pomyślał, że w pierwszym wydaniu Folio „Pochodzenia gatunków” Dorwina musiał być jakiś błąd. To, co się wspina, musi zejść w dół. Przez trzysta lat ludzkość, a przynajmniej ta jej część, którą reprezentowało Houston, najwyraźniej rozpoczęła długi zjazd z powrotem do pierwotnej gliny.

Przełączył się na program telewizyjny, żeby zabić czas. Nadal rozmawiali Walter i Wally. Eric, na którego chętnie zamieniliby tamtych z naziemnej kontroli w Houston, był nieobecny.

- Walter.

- Tak, Wally.

- Zważywszy na nowe dane - zarówno amerykańska, jak radziecka rakietą zostały zniszczone, Houston zaś podaje, iż obiekt utrzymuje, że pochodzi z Ziemi...

- To on tak twierdzi, Wally. Nie ma w tym nic pewnego.

- Myślę, że w tym wypadku jest to pozbawione większego znaczenia. Jeżeli rzecz ta z jakiegoś tam powodu myśli, że pochodzi z Ziemi, i jeżeli nasze rakiety międzykontynentalne są dla niej niczym psotne muchy dla chłopców, to...

- Myślę, że brzmi to raczej „muchy dla psotnych chłopców”, Wally. Może Eric coś nam powie. -

Walter przycisnął słuchawki dokładniej do ucha. - Eric?

- Jestem, Walter. Zdanie pochodzi z... Zdenerwowany Wally pochylił się, złapał Waltera za kłapy i potrząsnął starszym kolegą.

- Posłuchaj, Walter, to ważne!

... z Szekspira - dokończył Eric.

- Słucham, Wally,

- Jeżeli to takie potężne, to może powinniśmy się poddać.

Walter zdumiał się.

- Poddać się?

- Rozwalił naszych chłopców jak psotne muchy, Walter. - Wally znów potrząsnął Walterem. - Jak psotne muchy!

- Wpadasz w histerię, Wally. Gdzie się podziało sławne opanowanie astronauty?!

Wally puścił Waltera, opuścił głowę, ukrył ją w dłoniach i głośno szlochał:

- Wszystko zniszczone! Zniszczone! Wszystko zniszczone! Walter spojrział na kamerę.

- Zobaczymy, co Eric (zakłócenia w odbiorze) ma do powiedzenia na ten temat. Eric?

Nareszcie będzie coś z sensem - pomyślał Piekłomiot. Dystyngowany pan pojawił się na ekranie,

- Wally, nie mogę niestety zgodzić się z twoją oceną sytuacji. Obiekt strzelał jedynie w obronie własnej. To prawda, że zniszczył naszą najlepszą broń. To prawda, że wykazał znacznie wyższy stopień rozwoju technicznego. To prawda, NASA informuje, iż w bezpośrednich kontaktach jest opryskliwy. Ale kontynuuj dialog. Wydaje się, że jest skłonny do rozumnej dyskusji. Moim zdaniem należy ją kontynuować, uczyć się od przedstawiciela wyższej cywilizacji. Jeżeli zachowamy się właściwie, ludzkość będzie mogła dzięki temu wykonać olbrzymi skok jakościowy. Oddaję ci głos, Walter.

Piekłomiot wy(ączył) telewizję, żeby pomyśleć. Gdzieś w komentarzu Erica złowił interesującą myśl. Chciał zastanowić się nad nią głębiej.

- Komputer, jakie jest prawdopodobieństwo, że Walter, Wally a szczególnie Eric mają na myśli nie Kosmochy albo skrzydlate Fantasmagorie, ale mnie?

DZIEWIĘCDZIESIĄT DZIEWIĘĆ KOMA DZIEWIĘCDZIESIĄT OSIEM PROCENT

- Aż tyle? TAK

- Pierwszy raz słyszę, żebyś był taki pewny czegokolwiek.

Komputer zachował milczenie, reagował tylko na pytania i rozkazy.

- Jakie jest prawdopodobieństwo, że cywilizacja ziemską przeszła degenerację trwającą trzysta lat?

NIEDOSTATECZNE DANE. NIEEMPIRYCZNE PRZYBLIŻENIE PONIŻEJ ZERO KOMA

ZERO ZERO JEDEN PROCENT

Nagle jakaś intuicyjna, nie zanalizowana, a jednak przekonująca myśl wdarła się w zadumę Piekłomiota. Właśnie ten rodzaj myśli jego konstruktorzy pragnęli stymulować, oddzielając bezwzględne i krytyczne zdolności Komputera od niezawodnej wyobraźni twórczej Piekłomiota. A jeżeli...

- Komputer, jakie jest prawdopodobieństwo znalezienia w naszej Galaktyce drugiej planety... nie, wykreślić. W naszym Wszechświecie - dlaczego nie operować wielkimi pojęciami - drugiej planety z identyczną ewolucją biologiczną, co na Ziemi, identyczną ewolucją socjokulturalnojęzykową, z identyczną charakterystyką geofizyczną, ale - to ważne. Komputer, skup się - gdzie ewolucja ta byłaby we wszystkich dziedzinach dokładnie o trzysta lat opóźniona, słowem - jakie jest prawdopodobieństwo znalezienia drugiej Ziemi, ale niedorozwiniętej, historycznie i kulturalnie upośledzonej?

Komputer odpowiedział natychmiast, wypluwając z siebie zero, przecinek i cały łańcuszek zer, tak długi, że Piekłomiot stracił rachubę. Kończyło się to jedynką „do potęgi minus...” i jeszcze jedną olbrzymią liczbą.

- Tak mało? TAK

Zamyślił się. Mniej w tym było sensu niż w gadaniu Waltera i Waly'ego. Albo istniały dwie Ziemie - to tłumaczyłoby prymitywny stan obecnej ludzkiej techniki, pomyłono i niedokładną historię, podobnie jak niedostatki biologiczne, o jakie podejrzewał ich mózgi, albo... albo co?

- Potrzebuję danych, psiakrew, gołych danych! Spróbował potoczyć się z Biblioteka Kongresu na normalnej częstotliwości. Bez odpowiedzi. Ustawił się nad Waszyngtonem i przeszedł na obserwację optyczną najwyższej mocy, przeniknął powłokę chmur, wynalazł bibliotekę, zajrzał do środka przez brudne okno.

- Książki?!l

Przeraził się. Przy tak niedoskonałym systemie przechowywania informacji potrzebowałyby następnych trzystu lat, by odnaleźć nawet najprostsze fakty. Po takim ciosie w wyobraźnię porzucił swój zamiar. Tkwił w przestrzeni przesuwając informacje. Kiedy wszystko zawiodło, nawet wyobraźnia, miał do dyspozycji jeszcze jedno: lodowatą logikę.

- Komputer, podaj każde prawdopodobne wyjaśnienie naszej obecnej sytuacji, odczytaj rozkład prawdopodobieństwa każdego z nich.

Komputer zawahał się. Przez trzysta lat Piekłomiot nigdy nie przyłapał go na wahaniu. Awaria?

- Kontrola układów.

UKŁADY DZIAŁAJĄ PRAWIDŁOWO

- To co kręcisz, do jasnej cholery?! Do roboty! To jest rozkaz, Komputer! Gotowość do odczytania! Odczyt!

Komputer odczytał: - gwałtowny strumień możliwości i prawdopodobieństwa, zalew, potop. Dane niewiarygodnie złożone śmigły przez umysł Piekłomiota niczym huragan, uginając biosyntetyczne synapsy jak drzewa palmowe.

Powoli wyregulował przepływ. Zaczął szukać tylko wyjaśnień o wysokim stopniu prawdopodobieństwa. Złapał jedno. Wyłowił je z nurtu. Znosząc jakoś tę burzę czekał na następne. Nie pojawiło się.

Nagle wichura danych uspokoiła się, ucichła.

- To wszystko?

ODCZYT ZAKOŃCZONY

Gapił się na jedyne wyjaśnienie o wysokim stopniu prawdopodobieństwa z niedowierzaniem. Tak

proste? Tak oczywiste? Gdyby nosił czapkę, zerwałby ją z głowy, rzucił na podłogę i podeptał.

- Ten cholerny wir grawitacyjny! Przecież nas ostrzegano, żeby uważać na to świństwo!

Pozwolił sobie na kilka nanosekund przekleństw, przy czym niektóre dały się wyrazić jedynie w systemie dwójkowym.

- Dobra, zatem wir grawitacyjny wybił mnie z kursu koło Wolffa 25C. Jedyne wysoce prawdopodobne wyjaśnienie sugeruje, że wśliznąłem się w lukę, w czarną dziurę i wir grawitacyjny wypchnął mnie z jednego wszechświata w drugi, i tak oto dotarłem do tej technologicznie, a zapewne także umysłowo niedorozwiniętej Ziemi. Co dalej.

Zamyślił się.

Włączyło się Houston.

- Szanowny Piekłomiocie. Tu Houston. Jaki jest twój cel, twoja misja tutaj?

Pojmując teraz bezdenną ignorancję ludzkości, odpowiedział rzeczowo i po prostu:

- Uratować ludzkość.

- Przed czym?

Miał ochotę powiedzieć „Przed nią samą”, ale odrzekł:

- Przed Kosmolochemi, skoro jednak zostały zniszczone... - przerwał w pół zdania, w jego umyśle zrodziła się bowiem nowa idea. Zostały zniszczone w jego własnym wszechświecie. Był jedynym weteranem tej bitwy i mógł to zaświadczyć.

Ale tutaj, w tym wszechświecie...

Rzucił okiem w stronę Strzelca. Istotnie, dwoiste leże Kosmolochoń istniało i w tym świecie, słaba plamka i jej towarzysz, biały karzeł. Jeżeli, jak teraz sądził, dotarł do innej Ziemi w innym Wszechświecie - o stulecia opóźnionym w stosunku do jego własnego świata, w świecie intelektualnie niedorozwiniętym - konfrontacja z Kosmolochemi w tym właśnie świecie jest sprawą przyszłości.

- Piekłomiocie!

- Co? - warknął, zirytowany, że przerywa mu się rozmyślanie.

- Co to są Kosmolochoy?

Hipoteza potwierdzona. Zdecydował się. Poczł nowy przypływ energii. Nie był już stworzeniem pozbawionym celu, odnalazł właściwy kierunek i zadanie. Spojrzał w stronę Strzelca i doświadczył czegoś na kształt miłości. Gdzieś tam, poza zasięgiem słabowitej wyobraźni Houston, leżał świat, piękny i wielki, pełen Kosmolochoń, które trzeba było zniszczyć.

Skierował uwagę na Houston. Nie było czasu do stracenia. Trzysta lat, jak to gdzieś czytał, to tylko jedno mrugnięcie kosmicznego oka. Kosmolochoy będą tu, zanim ktokolwiek zda sobie z tego sprawę.

- Słuchaj no, Houston, czy macie tam na Ziemi jakiś system rejestracji danych? Magnetofony? Gramofony? Albo może ludzików z glinianymi tabliczkami?

- Tak.

- W porządku. Ruszcie rylcami po tabliczkach. Opowiem wam o Kosmolochochach.

Opowiedział im, nie pomijając niczego, ani jednego złowrogiego szczegółu, opowiedział o żądaniach i ustępstwach, bitwach i podbojach, wreszcie o trwającym 2,478 nanosekund starciu imperiów. Osłabiając efekt dodał krótką opowieść o długiej drodze do domu, o wirze grawitacyjnym i o swoim przybyciu.

Kiedy skończył, jego nerwy były napięte do ostateczności, tak bardzo wyczerpało go przeżywanie na nowo minionych wydarzeń. Houston nie odpowiadało.

- Houston?

- Chwileczkę, Piekłomiocie. Myślimy.

- Myślimy, myślimy! Czy sytuacja nie jest dostatecznie jasna? Może wam to narysować? Wy wszyscy, ludzkość, Ziemia, jesteście w śmiertelnym niebezpieczeństwie! Musicie natychmiast skierować wszystkie dostępne wam środki na zwalczenie tego bezpośredniego i nieuniknionego zagrożenia. Rozumiecie?

Houston milczało całe pięć minut.

- Podjęliśmy decyzję.

- Dzięki Ci, NASA!

- Postanowiliśmy walczyć. Odetchnął z ulgą.

- Mimo, że na początku zamierzaliśmy kroczyć drogą rozsądku, nasz Prezydent, po bezpośrednim skonsultowaniu się z przywódcami świata i po zasięgnięciu opinii najwybitniejszych uczonych, postanowił stawić opór, Poczł dumę i zadowolenie.

- Szczerze mówiąc twoja opowieść o międzygwiazdnych imperiach i podbojach, wirach grawitacyjnych i ostatecznych starciach - acz pomysłowa i interesująca - jest tak jawnym oszustwem...

- Oszustwem!...

... że nie wytrzymuje krytyki.

- Nie wytrzymuje... Chwileczkę, chwileczkę, Houston!

- To ty poczekaj chwileczkę! Nasi najwybitniejsi uczeni zapewniają nas, że podobny przeskok z jednego uniwersum do drugiego, nawet jeżeli przyjmiemy istnienie innych światów, jest nie do pomyślenia. Twoja opowieść to bajeczka, pułapka, chwyt taktyczny, zmierzający do zdobycia naszego zaufania, zanim...

- Bajeczka! Chwyt taktyczny!...

- Masz pięć minut na opuszczenie naszej orbity i systemu słonecznego. Jeżeli odmówisz, te dwa pociski, które - zdaniem naszych ekspertów - udało ci się zniszczyć tylko dlatego, że zaatakowały cię jeden po drugim, dadzą ci poznać, jak lśnią nasze złowieszcze błyskawice, jak błyska nasz szybki miecz! Wszystko, co zdolne jest nieść zagładę, od wielogłowicowych pocisków nuklearnych po kule kalibru 22, zostanie użyte przeciwko tobie. Wydamy ci bitwę w polu i w miastach, do walki staną mężczyźni kobiety i dzieci!

Pieklomiot, który nigdy nie przepadał za poezją, próbował przerwać. Houston ciągnęło dalej.

- Ziemia to nasz dom jedyny i za każde piasku ziarno umrzeć gotowe jej syny, przelewając krew ofiarną!

- Nie będzie powodu, Houston.

- Masz pięć minut - oświadczyło Houston. Nadajnik wyłączył się.

Pieklomiot spędził owe pięć minut analizując wszystkie możliwości i prawdopodobieństwa. Zastanawiał się, czy nie opuścić orbity i nie posłuchać rozkazu. Rozkaz pochodzi w końcu od istot ludzkich. Mimo, że podziwiał bojowego ducha, joki się za nim krył, nie miał żadnej wątpliwości, że jego wykonanie byłoby szaleństwem. Gdyby opuścił orbitę, porzuciłby ludzkość, a przynajmniej ludzkość w tym świecie. Gniłaby dalej w swojej niedorozwiniętej kulturze, aż nadeszłyby Kosmochy tego świata i zmiażdżyły ją stolową macką.

Pod koniec piątej minuty z Ziemi uleciało coś, co Piek(omiotowi wydało się miniaturową flotą wojenną, rakiety strzelały z wyrzutni na całym terenie Stanów Zjednoczonych, z łodzi podwodnych na wszystkich morzach, z wyrzutni całego Związku Radzieckiego. Stopniowo zbliżały się i celowały w niego. Trud tropienia i niszczenia ich pozostawił Komputerowi, zachowując spokój umysłu konieczny do rozważań.

Rozumował krok po kroku, logicznie. Owe kreatury - wolał unikać profanowania imienia

ludzkości - najwyraźniej postanowiły nieodwołalnie go odtrącić. Oczywiście, nigdy nie przyszło im do głowy, że są pozbawieni środków, że ich arsenał technologiczny bardzo niewiele dzieli od zaostrzonego kija, że ich zdolność dalszego rozwoju mogłaby podać w wątpliwość każda rozumna istota. (Pociski i głowice wybuchały wokół niego nie czyniąc żadnej szkody).

A jednak nie mógł opuścić orbity i porzucić szaleńców w otchłani ich szaleństwa. Poza tym, im dłużej o tym myślał, (pięćdziesięciokilatonowa głowica eksplodowała nie opodal wstrząsając statkiem, ale nie naruszając go), tym jaśniej uświadamiał sobie, że opuszczenie orbity byłoby zasadniczo sprzeczne z jego podstawową dyrektywą.

Potrzebował jakiegoś planu. Musiał ich przekonać o nadchodzącym niebezpieczeństwie. Musiał ich nakłonić do natychmiastowego działania, do technologicznego i psychologicznego przygotowania się na nieuniknioną inwazję Kosmochłochów. Przypomnił sobie coś, co powiedział Eric: „Jeżeli zachowamy się właściwie, ludzkość będzie mogła dzięki temu wykonać olbrzymi skok jakościowy”.

To miało sens, była to w ogóle jedyna rzecz z sensem, jaką ostatnio słyszał. Ale sens ów przerażał go. Zmuszał go do zwrócenia się przeciwko wszystkiemu, co miał zapisane w zasobach pamięci, przeciwko wszystkim dyrektywom - poza podstawową. By tego dokonać, będzie musiał uczynić coś, o czym nie słyszeli, nie śnili, czego nie zamierzali jego projektanci. Będzie musiał przenieść każdą cząstkę swej żołnierskiej duszy, odstąpić od podstawowych zasad honoru i przekreślić samo jądro swej istoty. Będzie musiał powrócić na Ziemię nie jak zwycięzca, lecz jak pokonany.

A jednak, skok jakościowy to skok jakościowy.

Wybrał cel i ustalił jego współrzędne.

- Przygotowanie do zejścia z orbity. Przygotowanie do przyziemienia.

Po raz drugi w czasie ostatnich trzystu lat Komputer zawahał się. Po raz pierwszy w czasie ostatnich trzystu lat zadał pytanie:

CZY MASZ AWARIĘ?

- Posłuchaj no, niesubordynowany kłębku nieczystego krzemu, masz robić, co mówię! Nie mam awarii, i życzę sobie, żeby współrzędne wypadły dokładnie, co do milimetra, na szczycie kopuły Kapitelu, rozumiano?

Komputer rozumiał. Zeszli z orbity. Mimo, że został zbudowany w przestrzeni i nie był przystosowany do przejścia przez atmosferę, szybko sprawdził, że prawdopodobnie większość układów - uzbrojenie, układy mocy, podstawowa biblioteka pokładowa - dotrą na powierzchnię bez większych uszkodzeń. Tylko ośrodek kontrolny - jego jaźń i większość układów Komputera - stopi się z gorąca. W zderzeniu statek rozpadnie się jak orzech kokosowy. Z jego wraku, z jego własnego ciała, ludzkość zaczerpnie środki do jakościowego skoku technologicznego. Być może, że przez trzysta lat uda im się zbudować nawet lepsze statki. Pomyślał, że chętnie zetknąłby się z nimi. Obowiązek kazał mu z tego zrezygnować. W jego kościach, ukrzyżowanych na wzgórzu Kapitelu, ludzkość znajdzie ratunek.

Otworzył wszystkie nadajniki w kierunku Ziemi i wrzasnął:

- Uaaaaa! Wy tam, mięczaki, tchórzliwe zające! To ja, straszny Kosmochłoch! Jestem wściekły skurwysyn i zaraz was załatwię! I ratujcie dupska, bo nie jestem sam! Tam, skąd przychodzę, jest nas milion i za trzysta lat rozwalimy tę planetę, jak orzeszek! Uaaaaaaa! Wy mięczaki!!!

Zewnętrzna powłoka kadłuba rozjarzyła się, a jej blask rozpostarł się na nocnym niebie nad Ziemią.

Bob Shaw Członek rzeczywisty

W końcu rzecz tak banalna jak zapalniczka do papierosów zburzyła spokój ducha Philipa Connora.

Już ponad godzinę tkwili z Angelą nad jej basenem kąpielowym i chociaż niewiele powiedziała przez cały ten czas, każde słowo, każdy zniecierpliwiony gest jej szczupłych rąk dobitnie mówiły, że wszystko między nimi skończone.

Connor siedział sztywno na krześle obciążonym płótnem, wyraźnie speszony, i usiłował zrozumieć, co jest przyczyną tej zmiany. Studiował pilnie twarz Angeli, nieprzeniknionci i zupełnie odcztowieczoną przez ogromne owadzie oczy okularów słonecznych. Jego wzrok powędrował za samotnym białym motylem, towarzysząc mu w jego, ryzykownym locie ponad basenem, aż do momentu, kiedy migocząc jak gwiazda, zniknął w cieniu brzoź.

Dotknął czoła lepkiego od potu.

- Morderczy upał.

- A mnie jest przyjemnie - powiedziała Angela, jeszcze i w ten sposób dając mu odczuć, że już nic ich nie łączy. Poruszyła się nieznacznie na leżance, zmieniając pozycję półnagiętego brązowego ciała.

- Connor z tęsknotą spoglądał na minipejzaż jej kształtów - terytorium, z którego został wygnany - i oceniał sytuację. Po śmierci wuja Angela stała się bogata, nawet bardzo bogata, ale Connor nie mógł uwierzyć, żeby to był jedyny powód zmiany. Jego dochód roczny wynosił dwieście tysięcy, więc Angela wiedziała, że nie poluje na pieniądze.

- Niedługo mam spotkanie - powiedziała z jawnie nieszczerym uśmiechem.

Connor postanowił wzbudzić w niej poczucie winy.

- To znaczy, że mam sobie iść, tak?

Spojrzała na niego ze współczuciem, ale był to tylko moment, i piękna twarz Angel! przybrała znów wyraz nieprzeniknionego spokoju.

Angela usiadła, wzięła papierosa z paczki leżącej na niskim stoliku, otworzyła torebkę i wyjęła z niej złotą zapalniczkę. Zapalniczka wyslizgnęła jej się z palców, przeleciała przez wyłożony kafelkami brzeg basenu i wpadła do płytkiej w tym miejscu wody. Dziewczyna krzyknęła zaniepokojona i rzuciła się po zgubę, ochlapując sobie przy tym twarz i jasne włosy. Ociekająca wodą zapalniczka zapaliła się przy pierwszej próbie. Angela posłała Connorowi dziwnie niepewne spojrzenie, schowała zapalniczkę do torby i wstała.

- Przykro mi, Phil - powiedziała - ale naprawdę muszę już iść.

Była to dość obcesowa odprawa, ale urażony w swojej ambicji Connor ledwie to zauważył. Urodzony spryciarz, z głową do interesów jak mało kto, z miejsca zaczął kombinować: zapalniczka mimo całkowitego zamknięcia zapaliła się natychmiast, co znaczyło, że jest to najlepszy sprzęt tego rodzaju, jaki widział w życiu, a do tego z tak niezwykłą formą spotykał się po raz pierwszy. Zaintrygowało go to bardzo. Jego zawód polegał przecież na znajomości wszystkich pięknych, kosztownych cacek na świecie, a on najwyraźniej przegapił coś ważnego.

- Dobrze, Angie, już idę - podniósł się. - Zauważyłem, że masz bardzo ładną zapalniczkę. Czy mogłabyś mi ją pokazać?

Złapała za torebkę, jakby się bała, że jej wyrwie.

- Proszę cię, Philip, daj mi spokój i idź już sobie. - Odwróciła się i odeszła w stronę domu.

- Wpadnę na chwilę jutro.

- Proszę bardzo - odparła nie odwracając się nawet. - Ale mnie tu nie będzie.

Connor poszedł do swojego Lincoln, usiadł ostrożnie na rozgrzanym siedzeniu i odjechał do Long Beach. Było już dość późno, mimo to jednak wrócił do biura i zaczął wydzwaniać do różnych

zaprzyjaźnionych firm, żeby sprawdzić, czy i one nie wiedziały o tej rewelacji w dziedzinie produkcji zapalniczek. Ponieważ i sekretarka, i telefonistka były na urlopie, sam musiał się tym zająć. Pozwoliło mu to zapomnieć na chwilę o dojmującym bólu po stracie Angeli i napełniło go uspokajającym poczuciem, że robi coś w kierunku jej odzyskania, a przynajmniej wyjaśnienia sytuacji między nimi.

Odniósł Idiotyczne wrażenie, że złote cacko ma coś wspólnego z ich zerwaniem. Było to oczywiście śmieszne. ale wracając pamłęcią do chwil wspólnie spędzonych nad basenem stwierdził, że Angela - rzecz u niej dziwna - prawie nie paliła. Najprawdopodobniej postanowiła odzwyczaić się po prostu od papierosów, ale Connorowi przyszło jednak do głowy, że może nie chciała w jego obecności wyjmować zapalniczki.

Doszedłszy do wniosku, że te dociekania donikąd nie prowadzą, zamknął biuro i pojechał do domu. Mimo dość późnej pory było nieznośnie gorąco - słońce osiągnęło pozycję, z której atakowało znacznie skuteczniej, ukośnie padającymi promieniami dostając się nawet do samochodu. Wszedł do mieszkania, wziął prysznic, zmienił ubranie i snując się smętnie po obszernych pokojach marzył o Angeli. Brak apetytu pozbawił go nawet tej pociechy, jaką stanowi jedzenie. Około północy zaparzył sobie kawę Kenyan - najdroższy gatunek, jaki miał - ale, zawiedziony, wypił zaledwie kilka łyków. Dlaczego - pomyślał po raz chyba setny - nie potrafią zrobić tak, żeby smak dorównywał aromatowi.

Położył się spać z uczuciem osamotnienia i tęsknoty za Angelą.

Rano obudził się głodny i jedząc solidne śniadanie stwierdził z ulgą, że odzyskał swój zwykły pogodny nastrój. To przecież zupełnie naturalne, że taka nagła zmiana warunków życia nie pozostała bez wpływu na Angelę, ale kiedy minie szok wywołany tym, że z osoby zamożnej stała się bogatą - odzyska ją przecież. A tymczasem on - człowiek, który pierwszy wprowadził w tym kraju japońskie zegarki elektroniczne - nie da się przecież wykołować w tak głupiej sprawie jak nowy typ zapalniczek.

Zamiast pójść do biura, zasiadł przy telefonie. Zapuści swoje macki jeszcze dalej i zbada, jak się ma rzecz z zapalniczkami na terenie Europy i Dalekiego Wschodu. Wkrótce jednak potrzeba zobaczenia Angeli stała się tak silna, że kazał przyprowadzić sobie wóz przed główne wejście budynku i pojechał na południe drogą nadmorską do Ashbury Park. Był to kolejny dzień potwornego upału, ale świeży powiew od Atlantyku wpadając przez okna do samochodu poprawiał mu humor.

Kiedy dojechał do domu Angeli, stwierdził, że na podjeździe w kształcie litery U stoi jakiś obcy samochód. Mężczyzna w średnim wieku, ubrany w brązowy garnitur i w okularach w drucianej oprawie, ostentacyjnie zamykał drzwi frontowe. Connor zaparkował samochód tuż przy schodkach i wysiadł.

Nieznajomy odwrócił się do niego podzwaniając pękiem kluczy.

- Czym mogę panu służyć?

- Chyba niczym - odparł Connor, zły na niespodziewanego intruza. - Przyjechałem zobaczyć się z panną Lomond.

- W sprawie urzędowej? Jestem Millett z firmy „Millett i Fiesler”.

- Nie, jestem jej przyjacielem. - Connor zrobił zniecierpliwiony gest w stronę dzwonka.

- Wobec tego powinien pan wiedzieć, że panna Lomond już tu nie mieszka. Dom jest do sprzedania.

Connor zamarł. Rzeczywiście Angela mu powiedziała, że jej tu nie będzie, ale był niemile zaskoczony, że go nie zawiadomiła o zamiarze sprzedania domu.

- Owszem, panna Lomond mówiła mi o tym, ale nie przypuszczałem, że się tak prędko wyprowadzi - zmyślił na poczekaniu. - A kiedy zabiera meble?

- Wcale nie zabiera. Dom ma być sprzedany z pełnym wyposażeniem.

- Jak to - nic nie zabiera?

- Kompletnie nic. Myślę, że panna Lomond bez trudu może sobie pozwolić na kupienie nowych mebli - powiedział cierpko Millett idąc w stronę samochodu. - Do widzenia.

- Chwileczkę - Connor zbiegł ze schodków. - Jak ja się mogę skontaktować z Angelą?

Millett obrzucił szacującym spojrzeniem samochód i ubranie Connora, zanim odpowiedział.

- Panna Lomond kupiła Avalon... ale nie wiem, czy się już wprowadziła.

- Avalon? To znaczy... - Nie mogąc znaleźć słów, Connor wskazał na południe w kierunku Point Pleasant.

- Tak jest. - Millett skinął głową i odjechał.

Connor wszedł do samochodu, zapalił fajkę i smakując jej aromat usiłował oswoić się z tym wszystkim, co usłyszał. Nigdy nie rozmawiali z Angelą na tematy finansowe - po prostu jej te sprawy nie interesowały - i tylko na podstawie niejasnych aluzji szacował jej spadek na jakiś milion, może dwa. Ale Avalon to było przecież szaleństwo bogacza w stylu starego Randolpha Hearsta. Rezydencja, położona na terenie liczącym kilkanaście mil kwadratowych, w najpiękniejszym miejscu Filadelfii, przypominała pałace królewskie Europy.

Nieruchomości nie były specjalnością Connora, ale wiedział, że ktoś, kto się pokusił o kupienie Avalon, nie mógł przystępować do transakcji nie mając przynajmniej dziesięciu milionów. Innymi słowy, Angela była nie tylko bogata, ale weszła do wąskiego kręgu milionerów. Nic dziwnego, że wywarło to wpływ na jej życie uczuciowe.

Mimo to Connor był zdumiony, że sprzedaje wszystkie meble. Oprócz paru naprawdę cennych rzeczy miała biureczko roboty Goudreau, do którego przejawiała przesadne nawet przywiązanie. Uświadamiając sobie nagle, że nie czuje ani zapachu, ani smaku importowanego tytoniu, który w kapciuchu wydawał się taki wspaniały, Connor zgasił fajkę i włączył się w strumień pojazdów na autostradzie.

Przejechał jakieś pięć mil na południe, kiedy zdał sobie sprawę, że zmierza do Avalon.

Dom był niewidoczny, od strony drogi zasłaniał go mur z czerwonej cegły, zniszczony już ze starości, ale rozpięty na jego szczycie drut kolczasty robił wrażenie świeżego. Connor jechał wzdłuż muru aż do miejsca, w którym tworzył on wnękę z paroma masywnymi, pozamykanymi na głucho bramami. Na dźwięk klaksonu wychynął ze stróżówki krępy mężczyzna w uniformie z gabardyny koloru kawy z mlekiem i z pistoletem u pasa. Spojrzał bez słowa przez bramę.

Connor opuścił szybę i wystawił głowę.

- Czy zastałem pannę Lomond?

- Jak pana godność? - zapytał strażnik,

- Philip Connor.

- Niestety, nie mam na liście pańskiego nazwiska.

- Pytałem tylko, czy panna Lomond jest w domu.

- Ja nie udzielam żadnych informacji.

- Ale ja jestem jej osobistym przyjacielem. Pana obowiązkiem jest poinformować mnie, czy ją zastałem, czy nie.

- Co pan powie - strażnik odwrócił się i wolno odszedł do swojej budki, ignorując jego krzyki i ponawiane sygnały. Doprowadzony do pasji tym incydentem, Connor postanowił nie dawać za wygraną. Zaczął naciskać klakson według określonego systemu: przez pięć sekund trzymał przyciśnięty, na pięć sekund puszczał. Strażnik nie pojawił się. W kilka minut później podjechał do niego wóz policyjny z dwoma policjantami, którzy polecieli mu opuścić to miejsce i zachować spokój.

W braku lepszego zajęcia poszedł do biura. Minał tydzień, a on nie był w sprawie zapalniczki ani trochę mądrzejszy - chcąc nie chcąc przyjął, że została wykonana na zamówienie przez firmę „Faberge”. Stracił wiele godzin bezskutecznie usiłując zdobyć gdzieś telefon Angeli. Wreszcie zaczął go morzyć sen i Connor stwierdził, że zbliża się do granicy dzielącej zdrowy rozsądek od obsesji. Do tego wszystkiego zobaczył jeszcze w rubryce towarzyskiej zdjęcie Angeli w jednym z nowojorskich nocnych klubów, z playboyem Bobbym Janke, synem milionera naftowego. Niezależnie od ataku zazdrości, o jaki go to przyprawiło, dowiedział się jeszcze z notatki w gazecie, że Angela przenosi się do swojego nowego domu już w przysłym tygodniu.

- I co z tego? - zapytał swego odbicia w lustrze w czasie golenia. - I co z tego?

W sobotę zaczął pić do lunchu wódkę z tonikiem, po południu przerzucił się na biały rum, a pod wieczór ogarnęło go pijackie poczucie słuszności, które mu powiedziało, że ma prawo zobaczyć się z Angelą używając po temu wszelkich możliwych środków. Oczywiście mur przedstawiał pewien problem, ale w chwili olśnienia Connor stwierdził, że mury stanowią jedynie bariery psychologiczne. Dla osób, które rozumieją ich naturę tak dobrze jak on, są przeszkodą nie większą niż drzwi. Łyknąwszy dla kuraju czystego rumu posłał po swój samochód.

Frontowe wejście w Avalon, scena jego niedawnej porażki, tonęło w mroku, kiedy przybył na miejsce, ale w budce strażnika płonęło światło. Connor minął bramę, przejechał jeszcze kawałek wzdłuż muru i wreszcie zaparkował na odludnym odcinku wiejskiej drogi. Zgasił światła, otworzył bagażnik, wyjął ciężki młot i dłuto i bez żadnych wstępów zaatakował mur. Zaprawa murarska skruszała wprawdzie ze starości, ale po dziesięciu minutach, kiedy nie udało mu się ruszyć żadnej cegły, ogarnęło go zwątpienie. I wtedy właśnie jedna z cegieł ustąpiła, a zaraz po niej dosłownie wyleciała druga. Connor powiększył otwór do odpowiednich rozmiarów i przelazszy na drugą stronę znalazł się na suchej darni.

Karłowaty półksiężyc, który zbliżał się do zenitu, bladą poświatą oblał wieżyczki i bastiony rezydencji zbudowanej na łagodnym wzniesieniu. Pałacyk był ciemny i groźny i Connor patrząc na niego czuł, jak ciepło wypełniające go od środka gdzieś się ulatnia. Zawahał się, zaklął pod własnym adresem i ruszył w górę, zostawiając po drodze młot i dłuto. Zbliżył się od lewej strony, ogarniając wzrokiem cały front budynku. Na pierwszym piętrze zobaczył w jednym z okien światło. Do gotyckich drzwi wiódł brukowany podjazd. Connor zadzwonił i po minucie otworzył mu klasycznie wyglądający majordomus, który robił wrażenie lekko zaskoczonego. Connor natychmiast wyczuł, że Angel! nie ma w domu. Odchrząknął,

- Czy panna Lomond...

- Panna Lomond będzie dopiero około pół...

- Północy - dopowiedział, zręcznie wpadając lokajowi w słowa. - Wiem o tym. Widziałem się z nią po południu w Nowym Jorku. Umówiliśmy się, że wstąpię na późnego drinka.

- Przepraszam bardzo, ale panna Lomond nic mi nie mówiła, że oczekuje gości.

Connor zrobił zdumioną minę.

- Nie mówiła? No cóż, najważniejsze, że nie zapomniała powiedzieć strażnikowi. Poufale ścisnął mężczyznę za ramię. - Przecież pan wie, że nawet czołgiem nie sforsowałbym tej bramy, gdyby moje nazwisko nie było na liście najbliższych przyjaciół gospodyni. Majordomus odczuł wyraźną ulgę.

- Dzisiaj człowiek nigdy nie jest dość ostrożny - powiedział.

- Ma pan rację. Moje nazwisko: Connor. Aha, a tu moja wizytówka. Proszę mi pokazać, gdzie mógłbym zaczekać na pannę Lomond, i jeśli nie sprawi to panu kłopotu, poprosiłbym daiquiri. Żeby mi się czas nie dłużył.

- Oczywiście, panie Connor.

Uradowany sukcesem Connor wszedł do olbrzymiego zielonosrebrnego salonu, gdzie wręczono mu oszronioną szklankę. Usiadł w bardzo wygodnym fotelu sącząc daiquiri. Najlepsze, jakiego miał okazję spróbować.

W poczuciu całkowitego odprężenia sięgnął po fajkę, ale stwierdził, że musiał ją zostawić w domu. Pokręcił się chwilę po pokoju, znalazł na stoliku pomocniczym pudełko cygar i poczęstował się. Następnie rozejrzał się w poszukiwaniu zapalniczki. Jego wzrok zatrzymał się na przezroczystym czerwonym jajowatym przedmiocie stojącym pionowo na innym stoliku. Przedmiot ten w najmniejszym nawet stopniu nie przypominał żadnej ze znanych mu zapalniczek stołowych, ale Connor miał już na ten temat idee *fixe*, a poza tym jajowaty przedmiot znajdował się w miejscu, gdzie powinna być zapalniczka.

Wziął jajo do ręki, przyjrzał mu się pod światło, ale nie dostrzegł w nim ani śladu jakiegokolwiek mechanizmu. A więc nie mogła to być zapalniczka. Stawiając przedmiot na miejsce, trafił palcem w bardzo poręcznie umieszczone zagłębienie.

Na czubku jaja pojawiła się świetlista kulka wielkości ziarnka grochu - niby koralik uformowany ze światła słonecznego. Płonął on nieprzerwanie, dopóki Connor nie zdjął palca z zagłębienia.

Zaintrygowany swoim odkryciem, zapalał i wygaszał świetlistą kulkę po kilka razy, sprawdzając palcem jej temperaturę. Wyjął z kieszeni lupę, z którą się nie rozstawał, a która służyła mu do oceny kosztowności, i zbadał czubek jaja. Dostrzegł w nim mikroskopijnej wielkości srebrny palnik nie wystający nawet ponad powierzchnię, i nic więcej. Tytułem próby odmierzył kroplę koktajlu ze swojej szklanki, tak żeby przykryła niewidzialny prawie palnik. Przyrząd mimo to działał nienagannie, a złocisty paciorek płonął stałym blaskiem, aż cały płyn wyparował.

Odkładając zapalniczkę na miejsce, Connor zauważył jeszcze jedną jej osobliwość: mimo że była zaokrąglona, stałą pionowo, idealnie stabilna. Odwoławszy się znów do pomocy szkła powiększającego, odkrył u podstawy wyrytą maleńką literkę P, co oczywiście nie wyjaśniało tajemniczej zasady, na jakiej owal znajdował się w stanie równowagi.

Connor dokończył drinka i wzrokiem, który nagle stał się bardzo trzeźwy i czujny, od nowa ogarnął cały pokój. Dostrzegł piękny zegar, bez wątplenia wyrzeźbiony w bryle onyksu. Jak się po trosze spodziewał, nie było możliwości otwarcia zegara, a na jego podstawie znajdowało się to samo misternie wyrzeźbione P.

Był także telewizor, który zewnątrz przypominał drogie modele istniejące na rynku - ale bez nazwy firmy. Jednakże po dokładnym obejrzeniu Connor odkrył z boku, w miejscu prawie niewidocznym, znane mu już P. Kiedy zapalił telewizor, obraz spikera, który ukazał się na ekranie, był tak wspaniały, jakby Connor patrzył na tego człowieka przez szybę okienną. Studiował przez chwilę obraz z odległości zaledwie kilku cali, ale nie był w stanie wyróżnić w nim ani żadnych kropek, ani linii. Nawet przez lupę.

Zgasił telewizor i wrócił na fotel, pełen dziwnego podniecenia. Choć z natury przebojowy i zaborczy - bez tych cech charakteru nie mógłby uprawiać swego zawodu - nie tracił z oczu faktu, że wprawdzie na świecie istnieje nieograniczona ilość pieniędzy, ale przecież jego życie zamyka się w ściśle określonej liczbie lat. Oczywiście mógłby i potroić swoje dochody pracując więcej i dokładając dodatkowych starań, ale widocznie jego instynkt posiadania nie był aż tak silny.

Tak wyglądała sytuacja, dopóki Connor nie odkrył, co można mieć za naprawdę duże pieniądze. Zdawał sobie sprawę, że ma słabość do wszelkiego rodzaju mechanizmów i zabawek, ale ta świadomość ani trochę nie zmniejszała dzikiego pożądania, jakie w tej chwili odczuwał.

Żadna ludzka siła nie byłaby w stanie powstrzymać go od wstąpienia w szeregi tych, którzy stali się posiadaczami wytworów techniki przyszłościowej. Oczywiście wolałby dokonać tego przez

małżeństwo z Angellą, ponieważ ja kochał i chciałby z nią dzielić również i te doświadczenia. ale gdyby rzeczywiście postanowiła go kategorycznie odrzucić, sam zdobyłby niezbędne miliony.

Sformułowanie technika przyszłościowa, które przemknęło mu zaledwie przez głowę, na dobre teraz zagościło w jego świadomości. Przez chwilę ważył wszystkie zawarte w nim implikacje, ale co prędzej otrząsnął się z tych rozmyślań. Już i bez fantazjowania na temat podróży w czasie jego równowaga psychiczna została dostatecznie zachwiana.

A przecież sama koncepcja była intrygująca. No i dostarczała odpowiedzi na wiele pytań. Chociaż zapalniczki, których tak bardzo pożądał - częściowo dla ich doskonałości, a częściowo dlatego, że mogły mu przynieść fortunę - pod względem rozwiązania technicznego znacznie wyprzedzały wszystko, co w tej dziedzinie oferował przemysł, to jednak nie mógł wykluczyć ewentualności, że konstruował je ukradkiem jakiś geniusz w swojej skromnej izdebce. Ale nie dotyczyło to tamtego nieprawdopodobnego aparatu telewizyjnego, który nie mógł zostać wyprodukowany bez możliwości technicznych potężnego koncernu elektronicznego. Pomysł, że te rzeczy są produkowane w przyszłości i tylko przesyłane wstecz w czasie, był prawie tak śmieszny jak to, że istnieje jakiś tajny ekskluzywny przemysł, dostępny jedynie superbogatom...

Connor zapalił cygaro i ogarnęła go dziecinna radość przy uruchamianiu rubinowego jajka. Zaciągnął się chłodnym dymem i poczuł nagle, że znalazł wreszcie coś, czego poszukiwał całe życie. Najpierw ostrożnie, a potem zachłannie wciągnął w płuca niezwyklej aromatu.

Rozkoszował się. Był to sposób palenia, jaki reklamowały na zdjęciach różne towarzystwa tytoniowe, i nie miał nic wspólnego z powierzchownym, nie dającym satysfakcji zabiegiem uchodzącym w powszechnym mniemaniu za palenie. Connor nieraz zastanawiał się, dlaczego liść, który pachnie tak mamiąco, nim się go zapali lub gdy go pali ktoś inny, daje zamiast Bóg wie jakich rozkoszy zmysłowych i ukojenia - jedynie pozbawiony smaku dym.

Zapewnia ją ci długie, orzeźwiające palenie, lekarstwo na wszystkie troski - pomyślał Connor - i to jest właśnie to. Wyjął cygaro z ust i przyjrzał się banderoli. Była gładka złota i miała tylko ozdobne P.

- Powiniennem się domyślić - oznajmił zwracając się do pustego pokoju. Poprzez filigran dymu przyjrzał się wnętrzu. Ciekaw był, czy wszystko w nim odbiega od normy, jest wyższej kategorii, lepsze od najlepszego. A może najwięksi bogacze gardzą tym, co jest dostępne każdemu śmiertelnikowi, co reklamują w telewizji, co...

- Philip! - W drzwiach stała Angela, biała jak ściana, wściekła. - Co ty tu robisz?

- Rozkoszuję się najlepszym cygarem, jakie zdarzyło mi się w życiu palić. - Wstał z uśmiechem. -

Przypuszczam, że trzymasz je na użytek gości... to znaczy, nie przypominam sobie, żebyś sama paliła.

- Gdzie jest Gilbert? - ucięła krótko. - W tej chwili zabieraj się stąd,

- Ani mi się śni.

- To ci się tylko tak wydaje. - Odwróciła się ze złością, zamiatając blond włosami i wiśniową spódnicą. Connor stwierdził, że musi działać szybko.

- Za późno, Angela. Spróbowałem już twego cygara, które zapaliłem twoją zapalniczką, sprawdzałem, która godzina, na twoim zegarze, no i oglądałem telewizję.

Spodziewał się bardzo gwałtownej reakcji i nie zawiódł się. Angela wybuchnęła łzami.

- Ty łobuzie! Nie miałeś prawa!

Podbiegła do stołu, złapała zapalniczkę i usiłowała ją zapalić. Ale bez skutku. Podeszła do zegara - zegar stał. I do telewizora - który się nie ożywił. Connor chodził za nią krok w krok, zakłopotany, pełen poczucia winy. Angela opadła na krzesło. Siedziała skulona, drżąca, z twarzą ukrytą w dłoniach jak zraniony ptak. Jej rozpacz wywołała w sercu Connora bolesny skurcz. Ukląkł przed nią.

- Angie - powiedział - nie płacz. Ja tylko chciałem cię zobaczyć. Nie zrobiłem przecież nic złego,
- Dotykałeś tych rzeczy i one się zmieniły. Oni mnie uprzedzali, że się zmienią, jeśli dotknie ich ktoś poza klientem... i rzeczywiście...

- Ale przecież to naprawdę nie ma sensu. Kto ci powiedział, że się zmienią?

- Dostawcy. - Spojrzała na niego oczyma pełnymi łez i w tym momencie Connor poczuł zapach perfum tak wyrafinowany, że miał ochotę rzucić się do ich źródła jak człowiek, któremu brak powietrza, podbiega do okna.

- Ale co ty...? Ja nie...

- Powiedzieli mi, że to wszystko przestanie działać. Connor usiłował otrząsnąć się ze skutków dziwnej magii, której podlegał.

- Ależ nic nie przestało działać, Angie. Po prostu przerwa w dopływie energii... czy coś w tym rodzaju... - urwał niepewnie. Ani zegar, ani telewizor nie miały przewodu. Zaciągnął się nerwowo cygarem i o mało się nie zakrztusił gryzącym, pozbawionym aromatu dymem. Silne poczucie straty, którego doświadczył zduszając niedopałek, zniweczyło wszelkie przejawy sceptycyzmu.

Wrócił do Angeli i znów przed nią ukląkł.

- Powiedzieli ci, że te rzeczy przestaną działać, jeżeli dotknie ich ktokolwiek poza tobą?

- Tak.

- Ale jak to jest możliwe?

Angela delikatnie przytykała do oczu chusteczkę.

- A skąd ja mogę wiedzieć? Kiedy pan Smith przyjechał z Trenton, powiedział coś takiego, że te wszystkie urządzenia są zasilane... polem eterycznym, a ja mam molekularny odcisk palca. Czy to ma w ogóle jakiś sens?

- Prawie - wyszeptał Connor. - Idealny system bezpieczeństwa. Gdybyś, powiedzmy, zgubiła zapalniczkę w teatrze, to znaleziona przez kogo innego, stałaby się bezużyteczna. Albo gdyby ktoś się do ciebie włamał. Naprawdę, Angie, ja cię po prostu musiałem zobaczyć. Wiesz przecież, że cię kocham.

- Kochasz mnie, Philip?

- No pewnie. - Odczuł dreszcz, słysząc ciepłą nutę w jej głosie. - Nie martw się, odkupię ci zapalniczkę, telewizor i...

Angela potrząsnęła głową.

- To jest niemożliwe, Philip.

- Dlaczego? - wziął ją za rękę. Nie cofnęła dłoni, co go dodatkowo ośmieliło.

Uśmiechnęła się do niego blado.

- Po prostu niemożliwe. Raty są za wysokie.

- Raty? Angie, na miłość boską, chyba ty nie kupujesz na raty?

- Te *rzeczy* nie są do kupienia. Płaci się po prostu za konserwację. Wysokość moich rat wynosi osiemset sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów.

- Rocznie?

- Co czterdzieści trzy dni. Nie powinnam ci tego wszystkiego mówić, ale... Connor roześmiał się.

- Przecież to jest około sześciu milionów rocznie, nikt by tyle nie zapłacił!

- Niektórzy płacą. Z tymi, co się zastanawiają nad ceną, pan Smith nie robi żadnych interesów.

- Ale... - Connor nieostrożnie zbliżył się do Angeli. Owiał go i całkowicie odurzył zapach jej perfum. - Ty sobie zdajesz sprawę - powiedział słabym głosem - że te wszystkie twoje cuda pochodzą z przyszłości? Coś tu jest nie w porządku.

- Tęskniłam za tobą, Philip.

- A czy te perfumy, którymi pachniesz... czy one też są od pana Smitha?

- Usiłowałam za tobą nie tęsknić, ale mi się nie udało. - Angela przytuliła policzek do jego twarzy i Connor poczuł chłód łez. Ucałował ją gorąco, a ona opuściła się na dół i uklękła naprzeciwko niego. Connor popadł w ekstazę.

- Zobaczysz, jak będzie cudownie, kiedy się pobierzemy - usłyszał po chwili własne słowa. - Nawet nie marzyliśmy. Tyle mamy wspólnego...

Angela zeszywniała i rzuciła się do tyłu.

- Wiesz co, Philip, idź już sobie lepiej.

- Ale co się stało? Co ja takiego powiedziałem?

- Po prostu się zdradziłeś, to wszystko. Connor zaczął się zastanawiać.

- Chodzi ci o to, co powiedziałem - że tyle mamy wspólnego? Przecież ja nie miałem na myśli twoich pieniędzy... mówiłem w ogóle o życiu... o latach, które nas czekają, o wspólnych doświadczeniach.

- Naprawdę?

- Angela, ja cię kochałem, zanim się dowiedziałem, że masz cokolwiek odziedziczyć.

- Nigdy przedtem nie mówiłeś o małżeństwie.

- Uważałem, że to jest zrozumiałe - powiedział z rozpaczą. - Myślałem, że ty... - przerwał w!dząc wyraz jej oczu. Chłodny, podejrzliwy, pełen pogardy. Spojrzenie bogaczy przeznaczone dla ludzi spoza klanu usiłujących się do niego wedrzeć bez niezbędnych kwalifikacji majątkowych.

Nacisnęła dzwonek i cały czas odwrócona do niego tyłem, czekała, aż go wyprowadzą.

Najbliższe dni nie były dobre dla Connora. Pił dużo. dochodził do wniosku, że alkohol nie rozwiązuje problemu, i znów zaczynał pić. Od czasu do czasu usiłował skontaktować się z Angellą, a raz nawet pojechał do Avalon. Mur został naprawiony w miejscu, gdzie się włamał, a po bliższym przyjrzeniu się stwierdził, że całość pokryto drobną siatką. Nie ulegało wątpliwości, że wszelkie próby dostania się tą drogą uruchomiłyby system alarmowy.

Nocami budził się i głowa mu pękała od dręczących pytań. Co to wszystko ma znaczyć? Skąd takie dziwne płatności Angeli i w takich niezwykłych odstępach czasu? Po co ludziom z przyszłości dwudziestowieczne pieniądze?

Przyszło mu na myśl, że zamiast zawracać sobie głowę Angellą, powinien się zająć odszukaniem tajemniczego pana Smitha z Trenton. Przeblysł optymizmu zrodzony z tej myśli zgasł niemal natychmiast: przecież brak mu podstawowych informacji, które by go naprowadziły na ślad tego człowieka. Nie ulegało wątpliwości, że jako Smith znany był jedynie swoim klientom. Gdyby tak Angela zechciała zdradzić mu coś więcej, na przykład adres biura... Connor coraz bardziej oddawał się rozmyśleniom i picciu. Zdawał sobie sprawę, że zachowuje się obsesyjnie, ale zupełnie się tym nie przejmował, i wreszcie pewnego dnia obudził się z rewelacyjnym odkryciem; przecież on zna adres biura Smitha, znał go od dawna, niemal od dzieciństwa.

Niepewny, czy to przypadkiem nie nadmierne dawki białego rumu przyspieszyły albo opóźniły to odkrycie, Connor napił się na śniadanie mocnej kawy, zbyt zajęty swoimi myślami na to, by zwrócić uwagę, że jest jeszcze bardziej pozbawiona smaku niż zwykle. W ciągu najbliższej godziny opracował plan działania, z przyzwyczajenia dwukrotnie zapalając fajkę, zanim uświadomił sobie, że raz na zawsze zerwał z paleniem zwykłego tytoniu. Pierwszy etap planu polegał na pójściu do sklepu dla majsterkowiczów i kupieniu sześcianu rubinowego plastyku o krawędzi pięciu cali, który następnie za bająską sumę kazał sobie obrobić tak, by uzyskać owal. Zamówienie było gotowe dopiero późnym popołudniem, ale efekt końcowy dostatecznie przypominał zapalniczkę stołową opatrzoną literą P, by zwieść każdego, kto nie przygadałby mu się zbyt blisko.

Zadowolony ze swoich dotychczasowych osiągnięć, Connor poszedł do siebie i wyciągnął pistolet kalibru 38, kupiony przed laty na wypadek włamania. Zdrowy rozsądek mówił mu, że jest już za późno wybierać się do Trenton i że należałoby wstrzymać się do rana, ale Connor nie dbał już o nic. Z plastikowym jajkiem w jednej kieszeni i pistoletem w drugiej wyjechał z miasta w kierunku zachodnim.

Znalazł się w centrum Trenton dokładnie w momencie, kiedy zamykano sklepy. Nagły lęk, że się spóźnił i że mimo wszystko będzie musiał czekać do następnego dnia, wzmogła jeszcze świadomość, że wcale nie jest pewien adresu pana Smitha.

W optymistycznym nastroju poranka i z podniecającą dawką alkoholu we krwi wszystko wydawało się proste i jasne. Przez całe niemal życie Connor był podświadomie przekonany, że w każdym większym mieście znajdują się sklepy, które na dobrą sprawę nie mają prawa istnieć. Takie sklepy są z reguły małe i skromne, usytuowane z dala od ruchliwych centrów handlowych, a ich szyldy głoszą zwykle: „Bracia Johnston” albo „H. i L.” i są tak sformułowane, żeby zawierały jak najmniej informacji. Jeśli w ogóle mają jakąkolwiek wystawę, najczęściej leży na niej zwykła nie wyróżniająca się niczym, trochę niemodna sportowa marynarka z ceną trzykrotnie wyższą od realnej. Connor wiedział, że nie chodzi tu o ofertę handlową w zwykłym tego słowa znaczeniu, ponieważ - co zupełnie zrozumiałe - nikt nigdy do tych sklepików nie wchodził. A jednak w jego świadomości kojarzyły się zawsze z dużymi pieniędzmi, Wyruszając do Trenton Connor był zupełnie pewien adresu - teraz w jego pamięci rysowały się to wyraźnie, to znów mgliście co najmniej trzy takie niepozorne sklepy. W ten sposób właśnie unikają rozgłosu - pomyślał nie zbity z tropu i zaczął krążyć w wytypowanej przez siebie okolicy. W godzinie popołudniowego szczytu trudno się było poruszać samochodem, więc uznał, że wygodniej mu będzie na piechotę. Zaparkował samochód w bocznej ulicy i zaczął się miotać od rogu do rogu, za każdym razem myśląc, że znalazł upragnione miejsce, i za każdym razem przeżywając rozczarowanie. Właściwie wszystkie sklepy były już pozamykane, tłumy na ulicach zrzędy nieco, a w czerwonym świetle wieczoru ciche, zakurzone fasady domów wyglądały nierealnie. Connor poczuł się zmęczony, zarówno w sensie fizycznym, jak i psychicznym.

Zaklął, przygnębiony, wzruszył ramionami i powlókł się z powrotem do samochodu, wybierając drogę, która zawiodła go o jedną przecznicę dalej na południe, niż pierwotnie zamierzał. Rozpalone nogi tak go bolały, że nie był w stanie myśleć o niczym innym. W związku z tym porządnie nałożył drogi, zanim doszedł do skrzyżowania. Rozejrzał się na boki i zobaczył na pół swojski, na pół zapomniany widok: sklepy, hurtownie i anonimowe bramy. Serce zabiło mu żywiej, kiedyś więcej w połowie odcinka ulicy dostrzegł najzwyklejszy dość obskurny sklepik, tak całkowicie pozbawiony charakteru, że z pewnością nikt poza nim by go nie zauważył.

Ruszył w tamtą stronę, nagle zdenerwowany, i przeczytał szyld, na którym matowozłotymi literami wypisane było: TOWARY MIESZANE. POŚREDNICTWO. Na wystawie leżały trzy kawałki polewanej kamionkowej rury kanalizacyjnej, za którymi znajdowało się coś w rodzaju przepierzenia zasłaniającego całkowicie wnętrze sklepu. Connor spodziewał się, że drzwi zostanie zamknięte, ale otworzyły się, ledwie ich dotknął, i znalazł się wewnątrz szybciej, niż sobie wyobrażał. Spojrzał na wysokiego, ponurego faceta za ladą. Mężczyzna miał opuszczone w dół kąciki ust, przylizane siwe włosy i było w nim coś takiego, że Connor pomyślał; on tak stoi bez ruchu już od wielu godzin. Miał na sobie oficjalny czarny garnitur, ze srebrnym krawatem, jak mistrz ceremonii pogrzebowej, a kołnierzyk jego białej koszuli był nieskazitelny jak płatki świeżo rozwiniętego kwiatu.

Mężczyzna nachylił się lekko nad kontuarem i zapytał:

- Czy coś się stało, proszę pana?

Connora zaskoczyło to dziwne pytanie, ale podszedł bliżej, wyjął z kieszeni rubinowe jajo i z

rozmachem położył je na ladzie.

- Proszę powiedzieć panu Smithowi, że nie jestem z tego zadowolony - powiedział gniewnym głosem. - I że domagam się zwrotu pieniędzy.

Spokój mężczyzny prysł jak bańka mydlona. Wziął do ręki jajko, na pół odwrócony do drzwi wewnętrznych, i przyjrzał mu się dokładnie.

- Chwileczkę - powiedział. - To nie jest...

- To nie jest co?

Mężczyzna spojrział na Connora oskarżycielsko.

- Nie mam pojęcia, co to jest, a poza tym nie ma tu żadnego pana Smitha.

- A wie pan, co to jest? - Connor wyjął rewolwer. Uznał, że zobaczył już i usłyszał dostatecznie dużo.

- Pan nie odważy się użyć broni.

- Nie?! - Connor wycelował rewolwer w twarz mężczyzny i spokojny, że broń jest zabezpieczona, w sposób widoczny nacisnął spust. Mężczyzna oparł się o ścianę. Connor burknął coś ze złością, odbezpieczył broń i ponownie ją uniósł do góry.

- Nie! - krzyknął mężczyzna. - Błagam pana. Connora jeszcze nigdy nikt w życiu o nic nie błagał, ale nie dał się zbić z pantałyku dziwnym obrotem rozmowy.

- Chcę się zobaczyć z panem Smithem - powiedział.

- Zaprowadzę pana do niego. Proszę za mną... Udali się w głąb lokalu sklepowego i zeszli na dół schodami niewygodnie wąskimi i wysokimi. Stwierdziwszy, że jego przewodnik doskonale sobie z nimi radzi, Connor zauważył jednocześnie, że ma on wyjątkowo małe stopy. Ale jego chód odznaczają się jeszcze inną osobliwością, z której Connor zdał sobie sprawę dopiero, kiedy znaleźli się w suterenie i szli korytarzem. Poprzez spodnie w białe prążki zauważył mianowicie, że wysoki mężczyzna ma kolana mniej więcej na wysokości jednej trzeciej długości nóg od ziemi. Czoło Connora pokryto się zimnym potem.

- Jesteśmy na miejscu, proszę pana. - Czarno ubrana postać pchnęła przed nim drzwi.

Oczom Connora ukazał się duży, jasno oświetlony pokój, a w nim drugi wysoki mężczyzna o trupim wyglądzie, ubrany jak mistrz ceremonii pogrzebowej. Też miał ulizane siwe włosy i kiedy weszli, wkładał właśnie do ciemnego prostokątnego otworu sejfu ściennego antyczny obraz olejny.

Nie odwracając się mężczyzna zapytał:

- O co chodzi, Toynbee? Connor zatrzasnął za sobą drzwi.

- Chcę z panem porozmawiać, Smith.

Smith drgnął gwałtownie, ale nie przestał łagodnym ruchem wsuwać do sejfu malowidła w złotej ramie. Kiedy obraz zniknął, zwrócił się do gościa. Miał również opuszczone w dół kąciki ust i kolana chyba jeszcze bardziej rażąco nie na miejscu. Jeśli ci ludzie pochodzą z przyszłości - pomyślał Connor - .to dlaczego tak bardzo różnią się od nas? Jego wyobraźnia cofnęła się przed następnym wnioskiem i Connor wdał się w bezsensowne rozmyślenia nad tym, jak muszą wyglądać krzesła Smitha i Toynbeego - o ile ich w ogóle używają. Uprzytomnił sobie jednocześnie, że nigdzie w ich otoczeniu nie widział żadnych stołków ani sprzętów do siedzenia. Z uczuciem wzrastającego przerażenia uświadomił sobie, że zaraz na początku odniósł wrażenie, iż Toynbee stoi tak bez ruchu za kontuarem godzinami.

...wszystkie pieniądze, jakie posiadamy - mówił właśnie Smith - ale poza tym nie ma tu dosłownie nic, co by przedstawiało jakąś wartość.

- Ja nie sądzę, żeby on był złodziejem - rzekł Toynbee, który tymczasem stanął koło niego.

- Nie jest złodziejem?! To wobec tego, o co mu chodzi? Co znaczy...

- Na początek - przerwał mu Connor - chodzi mi o wyjaśnienie.

- Wyjaśnienie czego?

- Całej waszej działalności.

Smith był wyraźnie rozdrażniony. Wskazał ręką drewniane skrzynie, które zajmowały większą część pomieszczenia.

- To chyba zupełnie normalny widok w agencji wielobranżowej zajmującej się pośrednictwem na zasadach...

- Chodzi mi o waszą działalność polegającą na dostarczaniu ludziom bogatym zapalniczek, których nikt na świecie nie byłby w stanie wyprodukować.

- Zapalniczek...

- Mam na myśli takie czerwone, jajowate, bez żadnego mechanizmu, które zapalają się nawet na mokro i utrzymują się w pozycji pionowej bez żadnej podpórki.

Smith potrząsnął głową.

- Sam chciałbym coś takiego mieć.

- I wspaniałe telewizory, i zegary, i cygara, i te wszystkie inne rzeczy, tak doskonałe, że bogacze płacą za możliwość ich użytkowania po osiemset sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów co czterdzieści trzy dni, mimo że te urządzenia są zasilane polem eterycznym, które zanika - czyniąc je zupełnie bezużytecznymi - w momencie, kiedy wpadną w ręce kogoś spoza klubu.

- Nie rozumiem z tego, co pan mówi, ani słowa.

- Szkoda gadać, panie Smith - wtrącił się Toynbee - ktoś musiał mu powiedzieć.

Smith posłał mu jadowite spojrzenie.

- To tyś mu powiedział, idioto! - W złości przysunął się bliżej do Toynbeego, tak że odsłonił sejf w ścianie. Connor po raz pierwszy zauważył, że jest on wyjątkowo duży, i uświadomił sobie, że magazyn w piwnicy to dosyć dziwne miejsce jak na sejf tego rodzaju. Przyjrzał mu się dokładniej. W ciemności wnętrza nie było widać nawet śladu olejnego obrazu, który tam dopiero co włożono. Za to daleko w głębi czarnej gardzieli dostrzegł jaskrawozieloną gwiazdę, która wysyłała pierścienie światła, zanikające w miarę jak się rozszerzały.

Connor dokonał wysiłku, żeby nie dać po sobie poznać wrażenia, jakie zrobiło na nim to nowe odkrycie.

Wskazał na sejf i powiedział od niechcienia:

- Domyślam się, że jesi: to przekaźnik dwukierunkowy. Smith był wstrząśnięty.

- W porządku - powiedział po pełnej napięcia chwili milczenia. - Kto panu powiedział?

- Nikt. - Connor pomyślał, że wymieniając nazwisko Angeli mógłby jej narobić kłopotu. Toynbee odchrząknął.

- Dam głowę, że to ta panna Lomond. Zawsze mówiłem, że nie należy ufać nowobogackim - brak im odpowiednich nawyków.

Smith skinął głową.

- Masz rację. Dostała zastępczo zapalniczkę stolową, telewizor i zegarek, te rzeczy, które ten... ta osoba właśnie wymieniła. Twierdzi, że zostały rozstrojone przez kogoś, kto się do niej włamał.

- Musiała mu powiedzieć wszystko, co wiedziała.

...nie dotrzymując w ten sposób warunków kontraktu, proszę to odnotować, Toynbee.

- Chwileczkę - rzekł głośno Connor, wymachując rewolwerem, żeby im przypomnieć, że to on jest panem sytuacji. Nikt nie będzie nic odnotowywał, dopóki nie dostanę odpowiedzi na moje pytania. Czy te przedmioty, w których sprzedaży pośredniczyacie, pochodzą z przyszłości czy skądinąd?

- Skądinąd - odparł Smith. - Ale jeśli chodzi o ścisłość, również i z niedalekiej przyszłości, tylko

że między nami mówiąc - są one transportowane na odległość wielu lat świetlnych. Różnica czasu jest przypadkowa i trudna do ustalenia.

- Czy te rzeczy pochodzą z innej planety?

- Tak.

- Wy też?

- Oczywiście.

- Sprowadzacie na Ziemię produkty wysoko rozwiniętej techniki i po kryjomu sprzedajecie je albo wypożyczacie ludziom bogatym?

- Tak. Ale tutaj mamy naturalnie tylko rzeczy mniejsze, większe, jak telewizory, przychodzą od razu do głównych odbiorców w innych miastach. Szczegóły transakcji mogą się wydawać dziwne, ale przecież podstawowe zasady handlu są panu dobrze znane.

- Właśnie to wydaje mi się intrygujące - rzekł Connor. - Nic mnie nie obchodzą inne światy i przekaźniki materii, ale nie rozumiem, po co zadajecie sobie tyle trudu. Przecież waluta ziemską nie może mieć żadnej wartości na... wszystko jedno, skąd pochodzicie. Wasza technika jest znacznie bardziej zaawansowana, wobec tego nie ma nic... - Connor przerwał, przypominając sobie, co Smith wsuwał do czarnego otworu. Stary olejny obraz.

Smith skinął głową, jak gdyby nieco odprężony.

- Ma pan rację, wasze pieniądze nie mają żadnej wartości na innych światach. Wydajemy je tutaj. Ludzkość jest pod wieloma względami prymitywna, ale odznacza się dużymi uzdolnieniami artystycznymi. Nasza organizacja zarabia bardzo dobrze na eksporcie obrazów i rzeźb. Towary, które importujemy, są w porównaniu z nimi niemal bezwartościowe.

- A mnie wydają się bardzo cenne.

- Właśnie tak powinno być. I na tym polega sprawa. Nie miałoby sensu sprowadzanie tutaj rzeczy, które są na Ziemi zupełnie dobre. Na przykład wasze wina czy inne napoje uchodzą za wcale niezłe, więc się nimi nie interesujemy. Ale wasza kawa! - Kąciki ust Smitha opadły jeszcze niżej.

- To znaczy, że macie milionowe obroty. Przecież komuś powinna się rzucić w oczy instytucja dokonująca zakupów na takie sumy.

- Niekoniecznie. Wprawdzie dużo rzeczy nabywamy bezpośrednio na aukcjach i w galeriach, ale często nasi klienci dokonują zakupów w naszym imieniu, a my ich po prostu kredytujemy.

- Nie! - Connor oddychał głęboko, jakby to, co mówił Smith, otworzyło w jego świadomości nowe perspektywy, Czy to dlatego milionerzy - nieraz ludzie, których nikt by o to nie posądzał - tak często bywają kolekcjonerami sztuki? Czy to jest raison d'être tego przedziwnego zjawiska, któremu na imię prywatne kolekcjonerstwo? Dlaczego w społeczeństwie, gdzie bogacze tak lubią chwalić się tym, co posiadają, tyle bezcennych skarbów znika z widoku publicznego? Czy to właśnie dlatego, że ich właściciele przehandlowują je za przedmioty oznaczone literą P? Jeśli tak jest rzeczywiście, to zajmująca się tym organizacja musi być potężna i działać już od dłuższego czasu, Connor poczuł w nogach nagłe zmęczenie.

- Usiądźmy i porozmawiajmy na ten temat - zaproponował.

Smith robi! wrażenie lekko zmieszanego.

- My nie siadamy. A pan może skorzystać z jednej z tych skrzyń, jeśli pan się nie czuje dobrze.

- Nie, nic mi nie jest i nie próbujcie żadnych sztuczek - powiedział ostro Connor, ale usiadł na brzegu skrzyni, usiłując jednocześnie ogarnąć umysłem wszystkie nowe szokujące wiadomości. - Co znaczy to P, które jest na wszystkich waszych wyrobach?

- Nie domyśla się pan?

- Perfekcja?

- Właśnie.

Gotowość, z jaką Smith udzielał mu teraz informacji, budziła w Connorze pewna nieufność, ale zasypywał go nowymi pytaniami, które cisnęły mu się na usta.

- Panna Lomond mówiła mi, że jej raty wynoszą osiemset sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów. Skąd taka dziwna liczba? Dlaczego nie milion?

- To jest milion w naszej walucie. Oczywiście w przybliżeniu.

- Rozumiem. A czterdzieści trzy dni?

- Tyle trwa jeden obrót naszego głównego księżyca. Naturalna podstawa kalendarza.

Connor niemal zapragnął powstrzymać nieco ten dopływ informacji.

- W dalszym ciągu nie widzę powodu do takiej konspiracji. Dlaczego nie mielibyście ujawnić się i obniżając cenę jednostkową zwiększyć jednocześnie obrotu? Moglibyście mieć sto razy większe zyski.

- Musimy zachować tajność z wielu względów. Według wszelkiego prawdopodobieństwa różne rządy ziemskie byłyby przeciwne wywożeniu dzieł sztuki, a poza tym i po tej drugiej stronie są pewne trudności.

- Na przykład?

- Istnieje ustawa zabraniająca wywierania jakiegokolwiek wpływu na życie światów znajdujących się we wczesnym stadium rozwoju. To w znaczny sposób ogranicza nasz eksport.

- Innymi słowy, jesteście przestępcami i u siebie, i tutaj.

- Nie zgadzam się z tym. Co my złego robimy na Ziemi?

- Sami już powiedzieliście. Pozbawiacie mieszkańców tej planety...

!ch artystycznego dziedzictwa? - Smith parsknął ironicznie. - Jak pan myśli, ilu ludzi oddałoby telewizor oznaczony symbolem P za świadomość, że w jakiejś publicznej galerii sztuki, odległej o pięć czy dziesięć tysięcy mil, znajduje się powiedzmy rysunek Leonarda da Vinci?

- Ma pan rację - przyznał Connor. - Co pan chowa w zanadrzu, panie Smith?

- Nie rozumiem.

- Niech pan nie udaje Greka. Przecież by pan nie mówił tak swobodnie, gdyby pan nie był pewny, że nie wyniosę stąd tych informacji. Co zamierzacie ze mną zrobić?

Smith spojrział na Toynbeego i westchnął.

- Ciągle zapominam, jak ograniczeni są ludzie stanowiący produkt kultury monoplaneitarnej. Przecież mówiliśmy, że pochodzimy z innego świata, a pan mimo to traktuje nas po prostu jak trochę odmiennych Ziemiaków. Nie przyszło panu do głowy, że przedstawiciele innych ras mogą być znacznie uczciwsi, że krętactwo i kłamstwo przychodzą im znacznie trudniej niż ludziom?

- I na tym polega nasza słabość - wtrącił Toynbee. - Widzę teraz, że byłem zbyt niedoświadczony na to, żeby być tam na górze.

- No więc dobrze, bądźcie wobec tego ze mną szczerzy - rzekł Connor. - Zamierzacie mi zamknąć usta, tak?

- Jeśli chodzi o ścisłość, to rzeczywiście jest tu pewne urządzenie...

- Nie ma potrzeby - odparł Connor. Przemyślał dokładnie wszystko to, co mu powiedzieli, wstał i wręczył Smithowi swój rewolwer.

Chodziło mu tylko o wygodne życie i Jadąc na południe do Avalon Connor czuł, jak robi się ono z minuty na minutę coraz lepsze.

Zawsze miał głowę do, interesów, o ile jednak dotychczas obliczał swoje miesięczne dochody w tysiącach, o tyle teraz zaczął myśleć w kategoriach liczb sześciocyfrowych. Kontakty, możliwości i transakcje, którym nie było teraz końca, zawsze w jakiś magiczny sposób zawdzięczał przedmiotom

opatrzoną literą P. Przy nawiązaniu pierwszych, najważniejszych, znajomości wystarczyło po prostu, że swoją z(otą zapalniczką zapalił fajkę nabitą tytoniem ze znakiem P - niewiarygodną wprost pod względem aromatu mieszanką, czy spojrzął na swój zegarek z literą P, albo napisał coś piórem, które za dotknięciem odpowiedniego miejsca w pierścieniu barw pisało dowolnym kolorem - i natychmiast otwierały się przed nim wszystkie drzwi. Istniała wielka różnorodność owych pięknych drobiazgów, ale Connor szybko nauczył się je dostrzegać u innych i odpowiednio reagować.

W ciągu kilku tygodni jego światopogląd uległ gruntownej zmianie, mimo że sam nie całkiem zdawał sobie z tego sprawę. Początkowo czuł się po prostu niepewnie czy był nawet podejrzliwy wobec tych, którzy nie okazali talizmanu, potem stał się w stosunku do nich wrogi i zaczął poszukiwać jedynie towarzystwa ludzi „pewnych”.

Mimo że pozornie niczego mu nie brakowało, uznał, że jego życie nie będzie pełne, dopóki nie potoczy się z Angelo. To jej zawdzięczał uświadomienie i tylko z nią osiągnie pełnię szczęścia. Już znacznie wcześniej wybrałby się do Avalon, gdyby nie trudności, jakie mu robili Początkowo Smith i Toynbee. Oddanie im rewolweru było niebezpiecznym posunięciem, które o mało nie skończyło się wysłaniem Connora za pomocą przekaźnika materii w inny, nieznaną świat. Szczęśliwie jednak dotarło do nich, że ma im coś ważnego do powiedzenia.

Tamtego wieczora w suterenie niepozornego sklepiku Connor rozwinął całe swoje możliwości krasomówcze. Smith, starszy z dwóch mężczyzn, był bardziej nieufny, ale w miarę jak Connor wyliczał braki ich systemu pośrednictwa, jego zainteresowanie rosło, doszło zaś do zenitu, kiedy usłyszał, jak dzięki ziemskiemu sprytowi Connora będą mogli wyeliminować w znacznym stopniu narażając ich na niepotrzebne straty konkurencję aukcji, usprawnić dokonywanie zakupów poprzez bogatych klientów, zyskać pełne rozeznanie rynku i zastosować nową skuteczniejszą technikę przejmowania przez organizację dzieł sztuki. Była to chyba najwspanialsza w życiu Connora improwizacja, wykazująca może miejscami pewne braki wynikłe z jego nieobeznania ze światem sztuki, ale przesycona wprost natchnioną, imponującą fachowością.

Wyniki współpracy od razu były tak doskonałe, że Smith stał się zachłanny i odnosił się niechętnie do wszelkiej ubocznej działalności Connora. Connor załagodził więc sprawę pracując po siedem dni w tygodniu, łącznie z wszystkimi innymi wieczorami. W tej sytuacji jednak nie bardzo miał czas widywać się z Angellą, ale w końcu potrzeba zobaczenia się z nią wzięła górę i odłożył wszystko na bok...

Przy bramie był ten sam strażnik co wtedy, ale nie dał Connorowi odczuć, ŻĄ pamięta ich nieporozumienie. Bez najmniejszej zwłoki wskazał gestem, że ma wjechać, i już w kilka minut potem Connor wszedł do domu szerokimi schodami frontowymi. Rezydencja nie wydawała mu się już tym razem tak groźna i czekając na otwarcie drzwi pomyślał, że najprawdopodobniej zatrzymają ją z Angellą ze względów uczuciowych - ale nie tylko. Lokaj, który go wpuścił, przypominał emerytowanego marynarza. Kiedy wskazywał gościowi drogę do dużego salonu, w którym oczekiwała go Angella, robił wrażenie nieobytego. Angella stała przy kominku tyłem do drzwi, dokładnie tak samo jak poprzednim razem.

- Angie - powiedział - jak to dobrze, że znów cię widzę.

Odwróciła się i podbiegła do niego.

- Jak ja strasznie za tobą tęskniłam, Phil.

Kiedy tak stali w uścisku pośrodku zielonosrebrnego salonu, Connor przeżył moment niezwykłego wprost szczęścia. Ukrył twarz w jej włosach szepcząc słowa, na jakie od dawna nie potrafił się zdobyć. Angella przez cały czas odpowiadała mu namiętnie, reagując bardziej na napięcie emocjonalne niż na to, co mówił.

Ale dopiero w czasie pierwszego pocałunku zaczęła (zdawać sobie sprawę, że dzieje się coś niedobrego. Angela mianowicie pachniała kosztownymi, ale zwykłymi perfumami. Nie była to żadna z czarodziejskich mieszanek oznaczonych literą P, do których przywykł spotykając się od czasu do czasu z różnymi złotowłosymi bóstwami w ciągu ostatnich kilku tygodni. Trzymając Angelę w ramionach, rozejrzat się po wielkim pokoju. Przeniknął go lodowaty chłód. Wszystko tu było, podobnie jak jej perfumy, wspaniale, ale dalekie od Perfekcji.

^Angela - powiedział cicho - dlaczego kazałaś mi tu przyjść?

- Co to za dziwne pytanie, najdroższy?

- Zupełnie normalne, - Connor wyswobodził się z uścisku i pełen podejrzliwości cofnął się do tyłu. - Po prostu chodzi mi o twoje motywy.

- Motywy! - Angela wpatrywała się w niego, blada jak ściana, po czym rzuciła okiem na jego zegarek. - O Boże, Philip, dostałeś się do nich! Udało ci się, tak jak mówiłeś!

- Nie rozumiem, co masz na myśli.

- Nie próbuj tych numerów ze mną, nie zapominaj, kto ci to wszystko powiedział.

- Już do tej pory powinnaś się była nauczyć, że nie należy nic mówić.

- Wiem, ale się nie nauczyłam. - Podeszła do niego. - Dlatego odpadłam. Zostałam wyeliminowana.

- To chyba nie tragedia. A gdzie się podział Bobby Janke i jego ferajna?

- Żadne z nich się tu nie pokazuje, i ty dobrze wiesz dlaczego.

- Przynajmniej nie jesteś bankrutką, - Słaba to była pociecha.

Potrząsnęła głową.

- Mam dużo pieniędzy. Ale co mi po nich, skoro nie mogę kupić tego, co chcę. Zostałam wykluczona, i to tylko dlatego, że wygadałam się przed tobą i że nie powiedziałam im o twoich poczynaniach. Ale ty doniosłeś na mnie bez żadnych skrupułów, prawda?

Connor już otworzył usta, żeby zaprotestować, ale w tym samym momencie uświadomił sobie, że to nic nie zmieni.

- Miło było znów cię zobaczyć, Angela - powiedział. - Przykro mi, że nie mogę zostać dłużej, ale w biurze czekają na mnie stosy spraw. Wiesz, jak to jest.

- Owszem, wiem dokładnie. A teraz wynoś się stąd, Philip.

Connor ruszył do drzwi, ale słysząc za sobą słaby odgłos zawahał się.

Angela powiedziała:

- Zostań ze mną, Philip. Bardzo cię proszę, zostań.

Przez chwilę stał, odwrócony do niej tyłem, zdjęty bólem, który po trochu ustępował. Po czym wyszedł.

Późnym popołudniem, kiedy Connor siedział w swoim nowym biurze, sekretarka połączyła do niego telefon. Dzwonił Smith, który pilnie chciał z nim omówić sprawę zakupu kolekcji starego srebra.

- Dzwoniłem do pana wcześniej, ale pańska sekretarka powiedziała mi, że pan wyszedł - powiedział z lekkim wyrzutem.

- I rzeczywiście - odrzekł Connor - nie było mnie w mieście. Zaprosiło mnie do siebie Angela Lomond.

- O?

- Pan mi nic nie mówił, że ona już nie jest klientką.

- Powinien pan sam wiedzieć. - Smith milczał przez chwilę. - Czy myśli pan, że będą z nią jakieś kłopoty?

- Nie.
- Czego chciała?

Connor rozparł się wygodnie w fotelu i patrzył przez okno na Atlantyki.

- Nie mam pojęcia. Byłem tak krótko, że nawet nie zdążyłem się dowiedzieć.

- Bardzo słusznie - rzekł Smith z uznaniem. Connor odłożył słuchawkę, po czym zaparzył sobie kawy. Była to mieszanka ze znakiem P, którą trzymał w barku razem z alkoholami. Jej cudowne działanie uspokoiło resztki wyrzutów sumienia.

Jakim cudem - zastanawiał się leniwie - o n i p otrafią osiągnąć to, że jej smak idealnie dorównuje aromatowi?

Clifford D. Simak Barak budowlany

Tego samego roku, kiedy człowiek po raz pierwszy stanął na Marsie, z Księżyca wystrzelono sondę w kierunku Plutona. Pięć lat później z krążącej wokół planety i nastawiającej kamery na jej powierzchnię sondy otrzymano pierwsze zdjęcia. Jakość transmisji była słaba; a jednak pewne cechy zdjęć wywołały zaniepokojenie, burząc stare teorie i zastępując je zagadkami i pytaniami bez śladów odpowiedzi. Ze zdjęć zdawało się wynikać, że planeta miała gładką, niemal wypolerowaną powierzchnię bez jednej nierówności, z wyjątkiem pewnych miejsc, symetrycznie usytuowanych wzdłuż równika, gdzie były małe kropki. Można by je uznać za zaburzenia transmisyjne, gdyby nie pojawiały się niezmiennie. Również po wyeliminowaniu części zaburzeń kropki zjawiały się nadal. Wydawało się więc, że przedstawiają one małe wzniesienia albo cienie rzucane przez nierówności, choć przy odległości Plutona od Słońca cienie byłyby nieco podejrzanym. Inne dane w żadnym stopniu nie zmniejszyły zaniepokojenia. Planeta była mniejsza, niż przypuszczano, jej średnica nie miała nawet tysiąca mil, a jej gęstość wynosiła zaledwie 3,5 grama na centymetr sześcienny³ nie zaś 60 gramów, jak poprzednio przypuszczano.

Oznaczało to kilka rzeczy. Oznaczało to na przykład, że gdzieś tam, być może ponad siedem miliardów mil od Słońca, krążyła dziesiąta planeta Układu Słonecznego, ponieważ żadna planeta o wielkości i masie Plutona nie mogła być przyczyną odchyłeń orbit Uranu i Neptuna. Poprzednie obliczenia masy Plutona, które teraz okazały się błędne, opierano *no* pomiarach tych właśnie odchyłeń i teraz trzeba było uznać, iż powodowało je coś innego.

Poza tym Pluton był nad wyraz dziwny - gładka planeta, bez żadnych nierówności prócz symetrycznie rozłożonych punktów. Gładkości nie można było tłumaczyć nieruchomą atmosferą, gdyż był na pewno za mały i za zimny, by w ogóle mieć atmosferę. Powierzchnia lodu? - zastanawiali się ludzie - zamrożone pozostałości niegdyśiejszej, krótkotrwałej atmosfery? Ale z wielu powodów i to nie wydawało się możliwe. Metal - być może; jeśli jednak planetę tworzyłby jednolity metal, jej gęstość powinna być o wiele większa.

Ludzie na Ziemi pocieszali się: za pięć lat sonda miała wrócić na Ziemię, przynosząc filmy i może dzięki tym filmom uda się zrozumieć to wszystko, czego złe jakościowo transmisje nie wyjaśniały. Na razie jeszcze sonda krążyła po swych odmierzonych orbitach i przysyłała coraz więcej zdjęć, które nie na wiele się zdały, gdyż ich jakość była ciągle słaba. Potem sonda uruchomiła automatyczną aparaturę, która miała ją skierować w stronę Ziemi. Pulsujące sygnały z dalekiej przestrzeni wskazały, że leciała już z powrotem po właściwym i stałym torze.

A potem coś się stało. Pulsujące sygnały ustały i zapanowała cisza. Baza Księżycowa czekała. Cisza mogła oznaczać tylko chwilowe zakłócenia i sygnały mogły odezwać się znowu. Ale nigdy się nie odezwały. Gdzieś, około trzy miliardy mil od Słońca, powracającej sondzie coś się przydarzyło. Nigdy już jej nie usłyszano - zaginęła na zawsze.

Wysłanie następnej sondy nie miało sensu aż do dnia, w którym postęp techniczny mógłby zapewnić lepsze zdjęcia. Ten postęp musiałby być znaczny - drobne ulepszenia niewiele by pomogły.

Druga i trzecia wyprawa załogowa poleciały na Marsa i obie wróciły, przywożąc ze sobą - oprócz wielu innych rzeczy - dowody istnienia tam prymitywnych form życia. Raz na zawsze obaliło to stare, ponure podejrzenia, że życie może być aberacją właściwą tylko Ziemi. Po stwierdzeniu życia na dwóch planetach jednego układu słonecznego nie ulegało więcej wątpliwości, że życie jest we Wszechświecie powszechnym zjawiskiem. Czwarta wyprawa z ludźmi poleciała, wylądowała, lecz nie powróciła. Kawałek powierzchni na Marsie na zawsze już stał się dla nich Ziemią. Piątą wyprawę wysłano jeszcze wtedy, kiedy Ziemia ciągle składała hołd tym czterem ludziom, którzy

zginęli tak daleko od dornu.

Teraz, kiedy znaleziono życie w innym świecie, kiedy stało się jasne, że na innej planecie były kiedyś morza, rzeki i atmosfera podobna do ziemskiej, teraz kiedy wiedzieliśmy, że nie jesteśmy sami we Wszechświecie, odżyło ogólne zainteresowanie i poparcie dla podróży kosmicznych. Naukowcy, przypomniawszy sobie (nigdy w rzeczywistości nie zapomniano, ponieważ bez przerwy drażyła ich umysły) zagadkę sondy Plutona, zaczęli planować wyprawę załogową na tę planetę. Znalazłem się w niej jako geolog - specjalność najmniej zresztą potrzebna wyprawie na Plutona.

Było nas trzech i każdy psycholog wam powie, że trzech jest liczbą najmniej fortuną. Dwóch zmagawia się przeciwko trzeciemu albo go ignoruje - i zawsze pojawia się współzawodnictwo, by stać się jednym z gangu dwóch. Nikt nie chce być sam przeciwko pozostałym dwóm. Ale z nami tak się nie stało. Wszystko układało się dobrze, choć czasami nie było to wcale łatwe. Pięć lat, których potrzebowała sonda dla dotarcia do Plutona, skrócono o ponad połowę. Nie tylko dzięki udoskonaleniu samej rakiety, ale również dlatego, że statek kierowany przez człowieka mógł osiągnąć szybkość, której nie można było zaprogramować - lub przynajmniej bezpiecznie zaprogramować - dla sondy. Ale ponad dwa lata jest długim okresem dla kogoś zamkniętego w metalowej puszcze, mknącej w pustce. Może nie byłoby to takie złe, gdyby miało się jakieś poczucie szybkości, rzeczywistego posuwania się naprzód - lecz się go nie miało. Wisiało się po prostu w przestrzeni.

Nas trzech? A więc ja nazywam się Robert Hunt, a pozostałych dwóch to Orson Gates - chemik, i Tyler Hampton - inżynier.

Jak powiedziałem, wszystko układało się między nami dobrze. Rozgrywaliśmy turnieje szachowe - no właśnie, trzech ludzi w turnieju i wszystko było w porządku, bo żaden z nas nie umiał grać w szachy. Jeśli mielibyśmy o tym jakieś takie pojęcie, z pewnością skakalibyśmy sobie do gardeł. Układaliśmy słone piosenki i tak byliśmy zachwyceni własnymi zdolnościami, że spędzaliśmy godziny śpiewając, a żaden z nas nie umiał śpiewać. Robiliśmy wiele innych rzeczy bez sensu - teraz już mniej więcej wiecie jakich. Powinniśmy też wykonywać różne raczej poważne badania i obserwacje, ale wszyscy zgadzaliśmy się co do tego, że naszym pierwszym i najważniejszym obowiązkiem było utrzymanie się przy zdrowych zmysłach.

Kiedy zaczęliśmy się zbliżać do Plutona, skończyliśmy z wygłupami i większość czasu spędzaliśmy obserwując monitor, dyskutując i zastanawiając się nad tym, co widzieliśmy. Nie było zbyt wiele do oglądania. Planeta przypominała po prostu kulę bilardową. Była gładka. Nie istniały na niej ani góry, ani doliny, ani kratery - nic nie mąciło gładkości jej powierzchni. Były na niej kropki, oczywiście. Mogliśmy rozróżnić siedem ich grup, wszystkie usytuowane wzdłuż pasa równikowego. Lecz w zbliżeniu nie były to po prostu kropki. Były jakiegoś rodzaju konstrukcjami.

W końcu wylądowaliśmy w pobliżu jednej z tych grup. Lądowanie sprawiło więcej trudności, niż myśleliśmy. Powierzchnia planety była twarda - nie ugięła się wcale. Ale stanęliśmy jak trzeba i nic się nam nie zepsuło.

Ludzie czasami proszą mnie, bym opisał Plutona. Jest to jednak trudne do wyrażenia słowami. Można powiedzieć, że jest gładki i ciemny - ciemny nawet w środku dnia. Słońce, z tej odległości, jest jedynie trochę jaśniejszą gwiazdą. Na Plutonie nie ma światła dziennego - jest tylko poświata gwiazd i nie robi specjalnej różnicy, czy stoi się przodem czy tyłem do Słońca. Pluton jest oczywiście pozbawiony atmosfery, bezwodny i zimny. Ale zimno, w pojęciu ludzkiego odczucia, jest rzeczą względną. Kiedy temperatura opada do stu stopni Kelvina, ma wielkiego znaczenia, czy stanie się jeszcze zimniej. Szczególnie, jeśli ma się na sobie życiodajną aparaturę. Na miejscu takim, jak powierzchnia Plutona, bez skafandra z tą aparaturą przetrwałoby się zaledwie parę sekund, jeśli

nie krócej. Ciągłe nie mogę się zdecydować, co zabiłoby człowieka najpierw - zimno czy ciśnienie wewnętrzne. Zamarzłby - czy wybuchł przed zamarznięciem?

A więc Pluton jest ciemny, bezpowietrzny i gładki. To są jednak sprawy mniej ważne. Stoisz tam, patrzysz na Słońce i zdajesz sobie sprawę z tego, jak jesteś daleko. Wiesz, że stoisz na krańcu Układu Słonecznego, że zaraz, trochę dalej i byłbyś zupełnie poza Układem. Co w rzeczywistości, oczywiście, nie musi być prawdą. Wiesz o dziesiątej planecie. Nawet, jeśli na razie w teorii, powinna gdzieś tam być, dalej. Wiesz o milionach krążących komet, które formalnie są częścią Układu Słonecznego, ale są tak oddalone, że nikt nigdy o nich nie myśli. Mógłbyś sobie powiedzieć, że nie jest to naprawdę kraniec - hipotetyczny;

dziesiąta planeta i komety są przecież jeszcze dalej. Ale to jest intelektualizowanie; wmawiasz sobie coś, z czym twój rozum może się zgodzić, lecz czemu całe twoje wnętrze przeczy. Przez setki lat Pluton był ostatnią granicą, a to, na czym stoisz, jest, na Boga, Plutonem. Jeszcze żaden człowiek nie był tak daleko od domu - i czujesz to. Jesteś w bocznym zaułku - jasne i wesołe ulice są tak odległe, że masz poczucie, iż nigdy ich nie znajdziesz.

To, co czujesz, nie jest tęsknotą za domem. Jest to bliższe poczuciu, że się nigdy domu nie miało. Przechodzi ci to, oczywiście - albo uczysz się z tym żyć.

A więc wyszliśmy ze statku po wylądowaniu i stanęliśmy na powierzchni. Pierwszą rzeczą, która nas uderzyła - oprócz uczucia zagubienia, jakie od razu ogarnęło nas wszystkich - było wrażenie, że horyzont jest za blisko, o wiele bliżej niż na Księżycu. Od razu poczuliśmy, że stoimy na małym globie. Tę bliskość horyzontu zauważyliśmy już wcześniej, zanim jeszcze dostrzegliśmy budowle, sfotografowane przez sondę jako kropki, których zbadanie było celem naszego lądowania. Może „budowle” nie jest tu słowem właściwym - „konstrukcje” byłoby chyba lepszym. Budowle coś sobą zamykają - te nie zamykały niczego. Były kopułami, które ktoś zaczął budować i nie miał czasu skończyć. Wzniesiono tylko podstawowe szkielety i na tym praca stanęła. Łuki, przypominające żebra, wznosiły się od powierzchni i spotykały w górze. Całą konstrukcję mocno spajały podpory i klamry, ale na tym budowę zakończono. Były trzy takie budowle, jedna większa od pozostałych dwóch. Nie były tak proste, jak to może z mojego opisu wynikać. Z żebrami, podporami i klamrami łączyły się inne elementy struktury, które wydawały się zbędne, nie mające określonego celu.

Próbowaliśmy dojść, co mogą oznaczać i co mogą tak że oznaczać wklęsłe wgłębienia, wydrążone w powierzchni planety wewnątrz granic każdej konstrukcji. Budowle nie miały podłóg i wydawało się, że są przymocowane do powierzchni planety. Zagłębienia były okrągłe, miały ze sześć stóp w poprzek i trzy stopy głębokości i dla mnie wyglądały zupełnie jak wgłębienia pozostawione przez kuiuistą łyżkę na powierzchni lodów w salaterce.

W tym mniej więcej momencie Tyiera zastanowiła sama powierzchnia. Tyler jest inżynierem i powinno go to zastanowić od razu, lecz przez pierwszą godzinę poza statkiem było nam dość trudno w czymkolwiek się połapać. Podczas szkolenia nosiliśmy, oczywiście, skafandry i trochę w nich chodziliśmy, ale chyba na Plutonie siła przyciągania była mniejsza niż obliczono i musieliśmy się do tego przyzwyczaić, zanim zaczęliśmy poruszać się swobodnie. Wszystko inne też było niezupełnie takie, jak się spodziewaliśmy.

- Ta powierzchnia - powiedział do mnie Tyler - coś jest z nią nie tak.

- Wiedzieliśmy, że jest gładka - powiedział Orson. - Zdjęcia to pokazywały. Zbliżając się tutaj, sami mogliśmy to zobaczyć.

- Aż tak gładka? - spytał Tyler. - Tak równa? - zwrócił się do mnie. - Geologicznie to nie jest możliwe... Czy może sądzisz, że jest?

- Myślę, że nie - powiedziałem. - Jeśli miałyby tu miejsce jakiegokolwiek wstrząsy, powierzchnia

byłaby nierówna. Nie mogło tu być żadnej erozji - niczego, co by ją tak wyrównało. Uderzenia mikrometeorytów - może, ale ich nie byłoby wiele. Jesteśmy za daleko dla meteorytów znacznie większych rozmiarów, i choć meteoryty mogą naruszyć powierzchnię, nie mogłyby jej tak wyrównać.

Tyler dość niezdarne opadł na kolana. Pociągnął ręką po powierzchni. Widoczność nie była za dobra, ale można było tam zobaczyć pył, cienką warstwę pyłu.

- Poświećcie tu - powiedział Tyler.

Orson skierował światło na to miejsce. Tam, gdzie Tyler przesunął ręką, zostało trochę pyłu, lecz pasmami przeświecała ciemniejsza powierzchnia.

- Pył kosmiczny - powiedział Tyler.

- Powinno być tego bardzo mało - zauważył Orson.

- To prawda - odparł Tyler. - Ale przez cztery miliardy lat albo i więcej mogło się tyle zebrać.

To nie może być pył erozyjny, co?

- Nic nie mogło spowodować erozji - odpowiedziałem. - To ha pewno jest najbardziej martwa planeta ze wszystkich. Ma za małą siłę przyciągania, by utrzymać jakieś gazy - jeżeli tu kiedykolwiek były jakieś gazy. Kiedyś musiały być, ale wszystkie uleciały - I to szybko. Żadnej atmosfery, żadnej wody. Wątpię, czy cokolwiek tu kiedyś było. Żadna cząsteczka nie utrzymałaby się tu długo.

- A pył kosmiczny?

- Może jakiś rodzaj elektrostatycznego przyciągania? Tyler znów potarł ręką w rękawicy to samo miejsce. Starł więcej pyłu, odstaniając więcej ciemniejszej powierzchni.

- Czy mamy świder? - spytał. - Taki do pobierania próbek?

- W moich narzędziach jest - powiedział Orson. Wyjął świder i podał go Tylerowi. Tyler ustawił odpowiednio wiertło i nacisnął guzik. W świetle lampy widać było wirujące ostrze. Tyler mocniej przycisnął świder.

- Twarde jak cholera - powiedział.

Świder zaczął wiercić. Wokół dziury rosła mała kupka odłamków. Powierzchnia była twarda, nie miałem co do tego wątpliwości. Wiertło nie weszło głęboko i odłamków było niedużo.

Tyler zrezygnował. Uniósł wiertło i wyłączył silnik.

- Wystarczy do analizy? - spytał.

- Powinno - odpowiedział Orson. Wziął od Tylera wiertło i podał mu małą torebkę na próbki.

Tyler położył otwartą torebkę na powierzchni i zgarnął do niej odłamki.

- Teraz będziemy wiedzieli - powiedział. - Teraz czegoś się dowiemy.

Parę godzin później, z powrotem na statku, już wiedzieliśmy.

- Mam - powiedział Orson - ale nie mogę w to uwierzyć.

- Metal? - spytał Tyler.

- Pewnie, że metal, ale nie ten rodzaj, o jakim myślisz. To stal.

- Stal? - spytałem przerażony. - To nie może być stal. Stal nie występuje w przyrodzie. Musi być wyprodukowana.

- Żelazo - mówił Orson - nikiel, molibden, wanad, chrom. To oznacza stal. Nie wiem o niej tyle, ile powinienem. Ale to stal - dobra stal. Odporna na korozję, twarda, mocna.

- Może to tylko platforma pod te konstrukcje - powiedziałem. - Może wspierający je podkład ze stali. Wzięliśmy przecież próbki blisko jednej z nich.

- Chodźmy zobaczyć - powiedział Tyler.

Otworzywszy jedno ze specjalnych pomieszczeń, zbiegliśmy po rampie i wyprowadziliśmy pojazd. Przed odjazdem wyłączyliśmy kamerę telewizyjną. Baza Księżycowa zobaczyła już do tej pory

wszystko, o czym powinni wiedzieć. Jeśli chcieli zobaczyć więcej, mogli nas poprosić. Przekazaliśmy *im* raport o wszystkim, co tu zastaliśmy - o wszystkim, prócz stalowej powierzchni, i uzgodniliśmy we trzech, że dopóki nie dowiemy się czegoś więcej, nie powiemy im o tym. I tak odpowiedź od nich nadejdzie dopiero za jakiś czas. Sygnał radiowy biegł do Ziemi sześćdziesiąt godzin.

Odjechaliśmy dziesięć mil, pobraliśmy wiertłem próbkę i wróciliśmy, iadąc po cienkich śladach, które nasz pojazd zostawiał w pyłe. Co milę pobieraliśmy następne próbki. Dostarczyły nam odpowiedzi, jakiej, myślę, spodziewaliśmy si? wszyscy, ale o której woleliśmy nie rozmawiać. Wszystkie próbki okazały się za stali.

To naturalnie wydawało się niemożliwe i przetrwanie tego faktu zajęło nam jakiś czas, ale w końcu przyznaliśmy, że na podstawie zebranych dowodów Pluton nie był planetą, a sztucznie wytworzoną kula. metalową o rozmiarach małej planety. Małej, lecz diabelnie dużej; zbyt dużej, by ktokolwiek mógł ją zrobić.

Ktokolwiek?

To właśnie pytanie zaczęło nas dręczyć. Kto ją zbudował? A może, co ważniejsze - dlaczego ją zbudowano? W jakimś celu z pewnością, ale dlaczego, skoro ten cel został spełniony (jeśli oczywiście został spełniony), zostawili Plutona tutaj, na krańcu Układu Słonecznego?

- Nikt z naszego Układu - powiedział Tyler. - Nie ma w nim nikogo prócz nas. Na Marsie jest życie, to prawda, ale prymitywne. Zaczęło się i zaledwie trwa, to wszystko. Wenus jest za gorąca. Merkury jest za blisko Słońca. Na wielkich, gazowych planetach? Może, ale to nie byłby rodzaj życia, które by zbudowało coś takiego. To musiało być coś z zewnątrz.

- A może piąta planeta? - podsunął Orson.

- Piąta planeta prawdopodobnie nigdy nie istniała - powiedziałem. - Materia, z której mogłaby powstać, być może istniała, ale sama planeta nigdy się nie uformowała. Wprawdzie zgodnie ze wszystkimi prawami mechaniki niebios, między Marsem a Jupiterem powinna być planeta, ale coś nie wyszło...

- A więc dziesiąta planeta - powiedział Orson.

- Nikt nie jest naprawdę przekonany, że dziesiąta istnieje - odparł Tyler.

- No tak, masz rację - powiedział Orson. - A nawet gdyby była, mato prawdopodobne, by istniało na niej życie, nie mówiąc już o inteligencji.

- Pozostaje tylko ktoś z zewnątrz - powiedział Tyler.

- I to bardzo dawno temu - dodał Orson.

- Dlaczego tak myślisz?

- Ten pył. We Wszechświecie nie ma wiele pyłu.

- I nikt nie wie, co to jest. Istnieje pewna teoria na temat tak zwanego brudnego lodu...

- Rozumiem, do czego zmierzasz. Ale to nie mógł być lód. Ani grafit, ani żadna z innych rzeczy, które...

- A ty, Robercie, co o tym myślisz?

- Nie jestem pewien - odpowiedziałem - wiem tylko, że na pewno nie jest to pył pochodzący z erozji tej planety.

Zanim poszliśmy spać, próbowaliśmy przygotować raport dla Bazy Księżycowej, lecz wszystko, co mogliśmy im przekazać, brzmiało zbyt głupio i nieprawdopodobnie. Zrezygnowaliśmy więc. W pewnym momencie będziemy musieli im powiedzieć, ale mogliśmy poczekać.

Po obudzeniu zjedliśmy coś niecoś, włożyliśmy skafandry i wyszliśmy, żeby obejrzyć konstrukcje. Ciągle nie mogliśmy dojść ich przeznaczenia, a już szczególnie wszystkich tych zwariowanych

urządzeń, przytwierdzonych do żeber, podpór i klamer. Ani też sensu wyżłobień.

- Jeśli wznosiłyby się po prostu na nogach - powiedział Orson - mogłyby służyć jako krzesła.

- Ale niezbyt wygodne - dodał Tyler.

- Jeśliby się je trochę przechyliło... - powiedział Or

son. Lecz to też nie pasowało. Ciągłe byłyby niewygodne. Zastanawiałem się, skąd przyszły mu do głowy krzesła. Dla mnie wcale nie wyglądały na krzysia.

Obeszliśmy wszystko, niczego nie znajdując. Obejrzelśmy budowle cal po calu, Ciągłe myśląc, czy czegoś nie przegapiliśmy. Ale nie wyglądało na to.

Teraz stała się rzecz najdziwniejsza. Nie wiem, dlaczego to zrobiliśmy - może z czystej desperacji. Nie znajdując nigdzie żadnych odpowiedzi, zaczęliśmy na kolanach oczyszczać rękami powierzchnię z pyłu. Co chcieliśmy znaleźć - nie wiem. Szło nam to powoli i nie było zbyt przyjemne, bo pył oblepiał nas od stóp do głów.

- Szkoda, że nie zabraliśmy ze sobą mioteł - powiedział Orson.

Nie mieliśmy mioteł. Kto przy zdrowych zmysłach mógł przypuszczać, że będziemy chcieli zamiatać planetę?

Niezła sytuacja. Byliśmy na czymś, co wyglądało na sztuczną planetę i na czym byty jakieś idiotyczne konstrukcje, dla których nie mogliśmy wydedukować żadnego przeznaczenia. Przylecieliśmy z daleka i spodziewano się, że po wylądowaniu dokonamy tu jakichś wielkich odkryć. Dokonaliśmy odkrycia, fakt, ale nie mogliśmy dojść jego sensu.

W końcu przestaliśmy zamiatać i staliśmy przestępując z nogi na nogę i zastanawiając się, co jeszcze mogliśmy zrobić, kiedy Tyler krzyknął nagle wskazując miejsce na powierzchni, gdzie jego but odgarnął pył.

Schyliliśmy się wszyscy, by zobaczyć, co znalazł. Zobaczyliśmy trzy otwory w powierzchni, każdy szeroki na cal i ze trzy cale głęboki, które, położone blisko siebie, tworzyły trójkąt. Tyler ukląkł i zaświecił po kolei w każdy otwór.

Wreszcie wstał. - Nie wiem - powiedział. - To może być jakiegoś rodzaju zamek. Może szyfrowy. Na dnie każdego z nich są z boku małe ząbki. Może coś się stanie, jeśli poruszymy tymi ząbkami we właściwy sposób?

- Na przykład możemy wysadzić się w powietrze - powiedział Orson. - Zrobisz coś źle i bum!

- Nie myślę - powiedział Tyler. - Nie przypuszczam, żeby to było coś takiego. Ani też nie twierdzę, że to zamek. Ale nie sądzę, żeby to była bomba. Dlaczego mieliby coś takiego zaminować?

- Nie wiesz przecież, co oni mogli zrobić - powiedziałem. - Nie wiemy czym ani kim oni byli, ani po co byli tutaj.

Tyler nie odpowiedział. Ukląkł znowu i zaczął dokładnie odkurzać powierzchnią, oświetlając oczyszczone miejsca. Nie mieliśmy nic innego do roboty, więc zaczęliśmy mu pomagać.

Tym razem znalazł to Orson - szczelinę tak wąską, że trzeba było nisko się schylić, by ją zauważyć. Skorośmy już ją znaleźli, odkurzaliśmy jeszcze przez pewien czas i w końcu uporaliśmy się z tym. Szczelina zataczała krąg, w którym - blisko jednego brzegu - znajdowały się te trzy otwory. Krąg miał mniej więcej trzy stopy średnicy.

- Czy któryś z was umie otwierać zamki wytrychem? - spytał Tyler.

Żaden z nas nie umiał.

- To na pewno jest jakaś kłapa - powiedział Orson. - Ta kula metalowa, na której stoimy, jest na pewno w środku pusta. Jeśli nie byłaby pusta, jej masa byłaby o wiele większa.

- I nikt nie byłby tak zwariowany - powiedziałem - żeby wybudować jednolitą kulę. Za dużo na to trzeba metalu i za dużo energii, by ją poruszyć.

- Jesteś pewny, że była przemieszczana? - spytał Orson.

- Musiała być - odpowiedziałem. - Nie zrobiono jej w tym Układzie. Nikt tutaj nie mógł jej zrobić.

Tyler wyciągnął śrubokręt ze swoich narzędzi i zaczął dłubać nim w otworze.

- Zaczekaj - powiedział Orson. - Mam pomysł.

Odsunął na bok Tylera, schylił się, włożył palce do każdego otworu i pociągnął. Okrągły fragment powierzchni podniósł się gładko na zawiasach.

W przestrzeni pod klapą znajdowały się gęsto ustawione przedmioty, przypominające długie rulony papieru. Tyle, że były większe od rulonów papieru. Miały średnicę około sześciu cali.

Złapałem jeden z nich, choć niełatwo było go chwycić, tak ciasno przy sobie stały. Ale, sapiąc i postępując, udało mi się go wyciągnąć. Był ciężki i miał dobre cztery stopy długości.

Po wyjęciu pierwszego, łatwiej było podnieść następne rulony. Wyciągnęliśmy jeszcze trzy i poszliśmy w stronę statku.

Ale zanim odeszliśmy, przytrzymałem pozostałe rulony z jednej strony, by się nie przechylały i Orson skierował swoją lampę na dno otworu. Trochę spodziewaliśmy się znaleźć pod rulonami przepierzenie lub coś, co by wskazywało na przedłużenie otworu w dół, do jakiejś jamy, która mogłaby służyć za kwaterę mieszkalną bądź pracownię. Lecz otwór kończył się obrobionym metalem. Mogliśmy odróżnić wyżłobienia pozostawione przez świder lub przebijarkę, która ten otwór wydrążyła. Jedynym przeznaczeniem tego otworu było więc pomieszczenie rulonów.

Kiedy znaleźliśmy się wewnątrz statku, musieliśmy poczekać, by rulony ogrzały się trochę. Wtedy dopiero mogliśmy ich dotknąć, ale i tak musieliśmy je rozwijać w rękawicach. Patrząc teraz w dobrym świetle, zauważyliśmy, że są one zrobione z wielu razem zwiniętych arkuszy. Arkusze wydawały się zrobione z jakiegoś bardzo cienkiego metalu lub twardego plastyku. Były sztywne od zimna, więc rozłożyliśmy je na naszym jedynym stole przyciskając tak, by płasko leżały.

Na pierwszym arkuszu widać było jakieś wykresy i rysunki, a na wykresach i wzdłuż marginesów coś, co mogło być szczegółowym opisem. Te opisy, - oczywiście, nic nam nie mówiły (choć później rozszyfrowano niektóre z nich, a matematycy i chemicy byli w stanie wyjaśnić pewne wzory i równania).

- Dokumentacja projektu - powiedział Tyler. - Cała ta rzecz to dzieło inżynierów.

- Wobec tego - powiedział Orson - te dziwne przedmioty, przytwierdzone do konstrukcji struktur, mogły być podstawami przyrządów inżynierskich.

- Mogły - odparł Tyler.

- Może te przyrządy są złożone w innych otworach, takich samych jak ten, gdzie znaleźliśmy rulony - podsunąłem.

- Nie mysia - odpowiedział Tyler. - Z pewnością zabrali przyrządy, kiedy stąd odlatywali.

- To dlaczego nie zabrali też dokumentacji?

- Przyrządy warte były zabrania. Mogli ich użyć do następnej roboty. A dokumentacji nie mogli. Mogto też być więcej kopii projektu. To, co my mamy, może być tylko jednym z wielu zestawów odbitek. Na pewno był też oryginał, który mogli zabrać, kiedy odlatywali.

- Zupełnie nie rozumiem - powiedziałem - co takiego mogii tutaj budować. Jakiego rodzaju budowle? I dlaczego tutaj? Przypuszczam, że można by uznać Plutona za jeden wielki barak budowlany, ale dlaczego akurat tutaj? Mając całą galaktykę do wyboru, dlaczego właśnie to miejsce?

- Za dużo pytań na raz - odparł Orson.

- Popatrzmy - powiedział Tyler. - Może się dowiemy. Zdjął pierwszy z wierzchu arkusz i upuścił go na podłogę. Arkusz momentalnie zwinął się z powrotem.

Drugi arkusz nie powiedział nam nic, ani trzeci, ani też i czwarty. Przed nami leżał piąty.

- Tu coś mamy - powiedział Tyler. Pochyliliśmy się bardziej.
- To nasz Układ Słoneczny - powiedział Orson. Szybko policzyłem. - Dziewięć planet.
- A gdzie dziesiąta? - spytał Orson. - Powinno ich być dziesięć.
- Coś się nie zgadza - powiedział Tyler. - Nie bardzo wiem co.

Ja zauważyłem. - Tu jest planeta między Marsem a Jowiszem.

- To znaczy, że Pluton nie jest tu pokazany - powiedział Orson.
- Oczywiście, że nie - odpowiedział mu Tyler. - Pluton nigdy nie był planeta..
- To by znaczyło, że kiedyś była planeta między Marsem a Jowiszem - stwierdził Orson.
- Niekoniecznie - powiedział Tyler. To może znaczyć, że tylko miała tam być.
- Co przez to rozumiesz?
- Spartaczyli robotę - powiedział Tyler. - Odwalili byle jak to, co mieli zrobić.
- Zwariowałaś! - krzyknąłem.

- Nie bądź zaślepiony, Robercie. Według naszego sposobu myślenia może to jest i zwariowane.

Zwariowane według teorii opracowanych przez naszych fizyków. Chmu ro pyiu i gazu skupia się w pewnym momencie i tworzy piotogwiazdę. Nasi naukowcy powołują, się na wspaniałą zestaw praw fizycznych, by wyjaśnić ten proces. Praw fizycznych, które uznano za automatyczne - bo przecież nikt nie byłby na tyle szalony, by założyć, że jakaś grupa kosmicznych inżynierów oblatywała Wszechświat, budując układy słoneczne...

- Ale ta dziesiąta planeta - upierał się Orson. - Musi być dziesiąta planeta. Wielka, ciężka...

- Spartaczyli zaprojektowaną piątą planetę - powiedział Tyler. - Bóg wie, co jeszcze spartaczyli.

Może Wenus. Wenus nie powinna przecież być taka, jak jest. Powinna być drugą Ziemią, może trochę cieplejszą, ale nie takim piekielnym kotłem, jakim jest. A Mars? Też spaprany. Zaczęło się tam życie, ale nigdy nie miało najmniejszych szans rozwoju. Zaledwie się tli i tyle. A Jowisz, Jowisz jest monstrualnym...

- Myślisz, że jedyną racją bytu planety jest możliwość utrzymywania się na niej życia?

- Nie wiem. To powinno być w dokumentacji. Trzy planety, które mogłyby być życiodajne i tylko

jednej z nich to się udało.

- To znaczy, że mogli zbudować dziesiątą planetę, której przedtem nie zaprojektowali - powiedział Orson.

Tyler walnął pięścią w arkusz. - Ze zgrają takich błaznów wszystko mogło się zdarzyć!

Zerwał arkusz i rzucił go na podłogę.

- Tutaj! - krzyknął. - Spójrzcie tutaj.

Skupiliśmy się nad arkuszem.

Był to przekrój lub wyglądało to na przekrój planety,

- Jądro - powiedział Tyler. - Atmosfera...

- Ziemia?

- Być może. A może Mars lub Wenus. Arkusz pokryty był czymś, co mogło być szczegółami dokumentacji.

- Coś tu się nie zgadza - zaprotestowałem.

- Nie zgadza się, gdyby to miał być Mars lub Wenus. A jesteś pewien, że to nie Ziemia?

- Wcale nie jestem pewien - powiedziałem. Zerwał arkusz, odsłaniając następny.

- Profil atmosferyczny? - zgadywałem bez przekonania.

- To jest tylko ogólny szkic dokumentacji - powiedział Tyler. - Szczegóły będą na innych rulonach. Mamy ich tam wiele.

Usiłowałem sobie to wyobrazić. Barak budowlany, postawiony w chmurze pyłu i gazu. Inżynierowie, którzy być może pracowali przez tysiąclecia, by stworzyć gwiazdy i planety i zaopatrzyć je w pewne mechanizmy, które ciągle jeszcze działały, miliardy lat później.

Tyler powiedział, że spartaczyli robotę i może to prawda. Ale może to nie Wenus. Może Wenus zbudowano według innej dokumentacji? Może zaprojektowano ją właśnie taką, jaka jest. Za miliard lat, kiedy być może ludzkości nie będzie już na Ziemi, na Wenus powstanie nowe życie i nowa inteligencja.

Może nie pomylili się z Wenus, ani też z żadną inną planetą. Nie mogliśmy udawać, że wiemy.

Tyler ciągle przeglądał arkusze.

- Spójrzcie tutaj - krzyczał. - Spójrzcie tutaj... partacze...

Norman Spinard Coś pięknego

Niejaki pan Shiburo Ito chce się z panem zobaczyć - usłyszałem z głośnika. - Interesuje go zakup jakiegoś znanego dzieła sztuki.

Zanim wszedł do mojego gabinetu, poprosiłem centralę komputerową, żeby mi wyświetliła na ekranie dyskretnie wbudowanym w tylną ściankę biurka jego okulary. Otóż mój pan Ito był ni mniej, ni więcej tylko panem Ito z firmy SILNIKI RAKIETOWE ITO, Osaka. Sprawdzanie jego wypłacalności w zjednoczeniu banków prywatnych DUN i BRADSTREET nie miałyby najmniejszego sensu. Jeżeli Shiburo Ito z SILNIKÓW RAKIETOWYCH ITO wypisał czek na dowolną sumę, poza pożyczką narodową, można było na nim polegać.

Nieduży, łysiejący mężczyzna, który wpłynął do mojego gabinetu, miał na sobie czerwone jedwabne kimono i bogato ozdobione haftem czarne obi. Oceniając na oko - wspaniała robota Mendocino. Nie ulegało wątpliwości, że w Japonii, w zatrutej smogiem Osace, pan Ito zadawał szyku najnowszymi modelami z Savile Rów. Wszystko w nim było właśnie takie jak trzeba; dokonywał zakupów nieomylnie, utrzymując się na granicy pomiędzy dobrym smakiem a ostentacją, z wdziękiem właściwym tylko Japończykom, i to jedynie tym, których pozycja podbudowana jest milionami twardych jenów. Wszystko wskazywało na to, że pan Ito nie okaże się frajerem. Że dokładnie wie, czego chce, i że nikt nie jest w stanie sprowadzić go z raz obranej drogi. Typowy japoński biznesmen dużego formatu, klasyczny okaz gatunku, który wyparł nas z centrum areny międzynarodowej.

Pan Ito wręczając mi swoją wizytówkę skłonił się ledwie dostrzegalnie. W odpowiedzi skinąłem jedynie głową nie wstając z miejsca. Te rozgrywki na miny i gesty mogą się wydawać śmieszne, ale - bez tego nie sposób załatwić z Japończykiem czegokolwiek.

Siadając naprzeciwko mnie Ito wyciągnął z rękawa kimona czarny rulon i ceremonialnym ruchem potożył go przede mną na biurku.

- O ile się nie mylę. jest pan znawca, plakatów Filmore'a z pierwszej potowy lat sześćdziesiątych. panie Harris - powiedział. - Słowo pańskich zbiorów dotarła oż w rejon Osaki i Kioto, gdzie znajduje się moja siedziba. Niech mi będzie wolno w ten skromny sposób je wzbogacić. Myśl o tym, że mój dar znajdzie się w otoczeniu tak wspaniałym, napawa pańskiego dozgonnego dłużnika szczęściem.

Ręce mi drżały, kiedy odwijatem plakat. Biorąc pod uwagę możliwości finansowe pana Ito, jego „skromny dar” nie mógł zawieść moich oczekiwań. Mój ojciec z dumą rozwodził się o czasach ogromnych funduszy reprezentacyjnych, złotej erze amerykańskich biznesmenów, ale trzeba przyznać, że japoński styl prowadzenia interesów, z drobnymi upominkami, też ma swoje uroki.

Kiedy odwinąłem podarek, z najwyższym trudem tylko powstrzymałem się, żeby nie gwizdnąć głośno. Trzymałem bowiem w ręku ni mniej, ni więcej tylko świeżutki, prosto spod prasy, egzemplarz pierwszego plakatu grupy Grateful Dead, utrzymany w subtelnych odcieniach szarości i czerni, okaz bardzo rzadki, nie do kupienia za żadne pieniądze. Nie śmiałem spytać, w jaki sposób pan Ito wszedł w jego posiadanie. Po prostu obaj na moment pogrążyliśmy się w milczeniu, kontemplując plakat, jego piękno i historyczną wartość, przewyższającą wszelkie wątpliwe okoliczności, dzięki którym dane nam było wspólnie go podziwiać.

Jak mógłbym w tej chwili nie lubić pana Ito? I kto może powiedzieć, że Japończycy zawdzięczają swoją obecną pozycję na forum międzynarodowym jedynie potędze ekonomicznej?

- Mam nadzieję, że będę miał okazję zaspokoić pańskie poczucie piękna, tak jak pan zaspokoił moje, panie Ito - powiedziałem w końcu. Tak, tak właśnie należało to ująć. Nie dziękuje się za

podobny upominek, tylko nawiązuje do interesów w sposób możliwie zawiły.

Ito nagle stał się wyraźnie zakłopotany, nawet speszony.

- Proszę mi wybaczyć moją śmiałość, panie Harris, ale liczę na to, że pan zechce pomóc mi w rozwiązaniu pewnego problemu rodzinnego delikatnej natury.

- Problemu rodzinnego?

- Właśnie. Zdaję sobie sprawę, że to z mojej strony bezczelność zawracać panu głowę, ale odznacza się pan wyrafinowanym gustem i wielką dyskrecją, jeśli więc wybaczy pan moją śmiałość...

Nagle cała pewność siebie mojego gościa gdzieś się ulotniła, jakby miał zamiar prosić mnie o pośredniczenie w zaspokojeniu jakiegoś odrażającego zбочzenia. Odniosłem wrażenie, że cała ta pewność siebie odpływa ku mnie i że za chwilę otworzą się przede mną ogromne możliwości finansowe.

- Proszę bardzo, niech się pan nie krępuje... Ito uśmiechnął się nerwowo.

- Moja żona pochodzi z rodziny o wielkich tradycjach kulturalnych - powiedział. - Mówiąc ściśle, oboje jej rodzice osiągnęli wysoką godność Zasłużonego Twórcy Kultury, o czym nieustannie mi przypominają. Mnie zaś, który odniosłem pewien skromny sukces natury materialnej w branży silników rakietowych, uważają za *nikulturi*, zwykłego kupca, pozbawionego całkowicie - w zestawieniu z ich wyrafinowanym smakiem - poczucia estetyki. Czy rozumie pan moją sytuację, panie Harris?

Skinąłem głową z najwyższym współczuciem, na jakie było mnie stać. Te żółtki rzeczywiście mają talent do komplikowania sobie życia! Oto wielki przemysłowiec robi się maleńki na samą myśl o swoich teściach, dwojgu pasożytach, których z powodzeniem mógłby parę razy kupić za gotówkę. Jednocześnie ugania się po świecie, żeby w jakiś idiotyczny, zrozumiały tylko dla Japończyka sposób dogodzić tym choleroom. Wydaje mi się, że Japończycy lepiej potrafią urządzić świat niż swoje własne życie.

- Panie Harris. chciałbym nabyć jakieś znaczące amerykańskie dzieło sztuki, które by uświetniło moją posiadłość w Kioto. Mówiąc szczerze, musi to być coś na tyle okazałego, żeby przypominało rodzicom żony o moich możliwościach finansowych, ilekroć zatrzymają na tym wzrok, a ja ze swej strony mogę pana zapewnić, że wyeksponuję ów obiekt w sposób, który dostarczy im po temu jak najwięcej okazji. Jego piękno i wartość historyczna muszą ich przekonać, że mam gust nie gorszy niż oni. W ten jedynie sposób zyskam ich szacunek i przywrócę spokój memu ognisku domowemu. Ponieważ słyszałem, że jako doradca w tych sprawach nie ma pan sobie równego, gotów jestem obejrzeć wszystkie obiekty, które uzna pan za stosowne mi pokazać.

No właśnie! Zamierzał kupić coś dostatecznie okazałego, żeby zaimponowało jego stukniętej rodzinie, ale ponieważ nie miał zaufania do własnego wyboru, chciał, żebym ja mu polecił coś odpowiedniego. A przecież ten człowiek pławił się w morzu jenów jak złota rybka! Nie mogłem uwierzyć w moje szczęście. Na ile go należało szacować...?

- Jakiej wielkości ma być ten obiekt, panie Ito? - spytałem najobojętniej, jak tylko umiałem.

- Chciałbym, żeby to był jakiś duży okaz amerykańskiej sztuki monumentalnej, tak żebym moje ogrody mógł zamienić w rodzaj sanktuarium na miarę jego piękna i wagi historycznej. Pożądane byłyby więc propozycje klasyczne. Naturalnie musi to być coś godnego takiej oprawy, w przeciwnym bowiem razie w sposób jakżeż przykry dla mi..e jeszcze bardziej straciłbym na prestiżu.

- Oczywiście.

Nie ulegało wątpliwości, że nie będzie to rzecz typu restauracji Howarda Johnsona czy stacji benzynowej. Nawet obiekty typu hotelu Hiltona czy Panteonu Baseballu w Cooperstown, które

opchnąłem w zeszłym roku, wydawały mi się za skromne. W swój zawiły sposób Ito dawał mi da zrozumienia, że cena nie gra najmniejszej roli. Marzenie mojego życia! Frajer z nieograniczonym kontem bankowym, który ufnie oddaje się w moje troskliwe ręce!

- Jeśli to panu tylko odpowiada - zaproponowałem - od razu możemy obejrzeć kilka obiektów tutaj w Nowym Jorku. Mój skoczek jest na dachu.

- To bardzo miło, że narusza pan dla mnie harmonogram jakżeż pracowitego dnia.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Wystartowałem z dachu, poderwałem skoczka na wysokość tysiąca stóp, a następnie z szybkością 1,5 Macha poleciałem na południe ponad rumowiskiem betonowej dżungli na sam czubek Manhattanu. Zrobiliśmy pętlę i znaleźliśmy się o jakąś milę na północ od Wyspy Bedloe' o. Opuściłem maszynę na wysokość trzystu stóp. Powolnym lotem zbliżaliśmy się do Statui Wolności, w dalszym ciągu wytracając niedostrzegalnie wysokość, tak że kiedy przekroczyliśmy linię brzegu, znaleźliśmy się akurat w odpowiednim miejscu. Manipulowanie perspektywą tak, żeby pokazać towar z jak najkorzystniejszej strony, sprawiało mi wielką przyjemność: potężny bezgłowy posąg, zielony, pokryty patyną, osmalony od wybuchu bomby, zdawał się wyrastać z wód zatoki niby zrujnowany kolos.

Pan Ito nie zdradzał najmniejszych oznak podniecenia. Patrzył prosto przed siebie przez szybę kabiny, bez słowa czy najmniejszego gestu.

- Pan się z pewnością orientuje, że jest to sławna Statua Wolności - powiedziałem. - Jak większość tego rodzaju obiektów, może zostać zakupiony przez każdego, kto mu zapewni odpowiednio ekspozycję. Naturalnie bez trudu przekonam Biuro Zabytków Narodowych, że w tej sprawie gwarantuje pan najwyższy poziom.

Nastawiłem pilota automatycznego tak, żebyśmy krążyli wokół wyspy w promieniu pięćdziesięciu jardów od brzegu. Chciałem, żeby pan Ito mógł zobaczyć, jak posąg się prezentuje ze wszystkich stron i jak bardzo zasługuje na umieszczenie w sanktuarium. Ale mój klient w dalszym ciągu siedział z miną tandetnego robota.

- Jak pan widzi, posąg jest nie tknięty od czasów, kiedy rebelianci pozbawili go głowy - wyjaśniłem usiłując w maksymalnym stopniu rozbudzić jego zainteresowanie. - W ten sposób zyskał nową wartość historyczną, która jeszcze przydała mu szacowności. Pomnik będący darem Francuzów stanowi symbol więzi, jaka łączy rewolucje amerykańską i francuską. Usytuowany u wrót portu nowojorskiego, jest zarazem dla wielu pokoleń imigrantów symbolem samej Ameryki. Zaś uszczerbek, jaki poniósł w czasie insurekcji, przypomina nam tylko, ile mieliśmy szczęścia wychodząc z tego wszystkiego tak tanim kosztem. No, i poza tym stwarza romantyczną atmosferę melancholii, nie uważa pan? A więc ma pan wspaniały okaz sztuki monumentalnej (łączy w sobie wartość emocjonalną, historyczną i wewnętrzne piękno. Co zaś do ceny wywoławczej - jest ona znacznie niższa, niż pan sobie zapewne wyobraża.

Kiedy wreszcie pan Ito się odezwał!, robił wrażenie z lekka zakłopotanego.

- Ufam, że wybaczy mi pan to, co powiem, panie Harris, ponieważ moje odczucie wynika z głębokiego szacunku dla chwalebnej przeszłości pańskiego wielkiego narodu, ale widok tego obiektu wydaje mi się nieco przygnębiający.

- Dlaczegoż to?

Skoczek kończył właśnie pierwsze okrążenie i zaczynał następne, kiedy pan Ito, ze wzrokiem utkwionym w oleiste wody zatoki, odpowiedział wreszcie na moje pytanie:

- Symbolika tego zrujnowanego posągu jest zasmucająca, przypomina bowiem upadek wielkiego niegdyś narodu. Uważam, że przeniesienie do Kioto i otoczenie wciąż takiego pomnika byłoby

uczynkiem niegodnym, obrażającym pamięć Amerykanów, aktem zarozumiałstwa i próżności.

No i czy można się tu do czegoś przyczepić? On się czuje obrażony, bo uważa, że wystawienie tego posągu w Japonii byłoby obraźliwe w stosunku do nas, i wobec tego ja oferując mu Statuę Wolności traktuję go jak niku/tun”. A tymczasem dla każdego Amerykanina ten cholerny wrak jest po prostu jeszcze jedną pozostałością z czasów świetności, którą może uda się w końcu za bajątkową sumę wdusić jednemu z kompletnie zwariowanych na punkcie takich staroci Japończyków. Z nimi naprawdę nigdy nic nie wiadomo. Któż inny poczułby się urażony, gdyby mu powiedziano, że zrobił coś, co w jego pojęciu mogło cię dotknąć, a co w rzeczywistości jest dla ciebie bez żadnego znaczenia?

- Mam nadzieję, że pana nie obraziłem - wyrwało mi się. Ale powinienem się być raczej ugryźć w język. Trudno było o coś bardziej niewłaściwego. Oczywiście, że go obraziłem, a postawienie go w sytuacji, w której grzeczność wymagała, żeby zaprzeczył, pogorszyło tylko sprawę.

- Jestem przekonany, że był pan jak najdalszy od tego w swoich intencjach - odrzekł ito z bardzo przekonującą szczerością. - Po prostu chwila smutnej zadumy nad przemijaniem wielkości, nic więcej. Prawdę powiedziawszy, podobne doświadczenie może być pożyteczne dla ducha. W każdym razie nie potrafiłbym znieść stałej obecności takiego obiektu w swoim najbliższym otoczeniu.

Czy pan Ito czuł tak naprawdę, czy była to tylko gładka japońska formułka grzecznościowa? Kto może wiedzieć, co ci ludzie czują naprawdę? Czasami wydaje mi się, że oni sami nie wiedzą. Tak czy siak, należało znaleźć coś, co by poprawiło mu humor, I to jak najszybciej. Hmmm...

- Niech mi pan powie, panie Ito, czy interesuje się pan baseballlem?

Jego oczy rozblęły jak dwa reflektory, ciężki nastrój stopniał w ciepłe nagłego, niemal dziecięcego uśmiechu.

- O tak! - odparł. - Abonuję nawet łóżko na stadionie w Osace, chociaż muszę się przyznać, że po cichu sprzyjam Gigantom. Jakież to dziwne, że ta wspaniała gra tak podupadła w kraju, w którym wzięła początek.

- To pewne, ale dzięki temu mamy coś, co być może zainteresuje pana jako nabywcę. Wybierzemy się tam?

- Bardzo chętnie - odrzekł pan Ito - zwłaszcza że to miejsce wydaje mi się nieco przygnębiające.

Poderwałem skoczka na wysokość pięciuset stóp i nadstawiłem na szybkość 2,5 Macha z północnym odchyleniem. Szybko zostawiliśmy w tyle wielką miedzianą skorodowaną brudną bryłę. Zdumiewające, jak ckliwie ci Japończycy potrafią się rozczulać nad każdym niemal starym rupieciem. I to naszym rupieciem w dodatku, jakby sami nie mieli dość swoich. Ale oczywiście nie powinienem narzekać, mam z tego całkiem niezły kawałek chleba. Każdy zna stare powiedzenie o głupcu I jego pieniądzech.

Tym razem nasza trasa wiodła nad połączeniem rzek Hartem i East River na wysokości tysiąca stóp. Nie obniżając maszyny skierowałem ją na północny wschód, nad Bronx. Ten obszar był przed insurekcją zabudowany gęsto domami mieszkalnymi i mocno ucierpiał od bomb zapalających, materiałów wybuchowych i napalmu. Uznano, że uprzęgnięcie ciągnącego się milami rumowiska byłoby nieopłacalne, teraz zryta ziemia i ruiny budynków porastała wysoka trawa, trujący sumak, gąszcz krzewów i rozrzucone tu i ówdzie kępy drzew, które w ciągu jednego czy dwóch pokoleń mogły się zamienić w las. Nierówny, zachwaszczony teren był właściwie zupełnie bezużyteczny i nie zamieszkały, jeśli nie liczyć żałosnych niedobitków komun hippisowskich, żyjących w całkowitej izolacji i nie zasługujących na to, żeby się nimi zajmować. Ich prymitywne szałas i własnoręcznie klecone namioty stanowiły jedyny przejaw ludzkiej obecności w tym rejonie. Było to miejsce rzeczywiście przygnębiające i zależało mi na tym, żeby zabrać stąd pana Ito jak najprędzej.

Na szczęście nasz cel! leżał blisko (w ciągu paru minut znaleźliśmy się na wysokości pięciuset stóp nad jedynym naprawdę nie tkniętym obiektem w tej okolicy. Kamienną twarz pana Ito rozjaśnił tak szczery chłopięcy uśmiech, że nie ulegało dla mnie wątpliwości: trafiłem w dziesiątkę. Miałem rację uważając, że czemuś takiemu Ito się nie oprze.

- Stadion Jankesów! - wykrzyknął.

Starożytny stadion wyszedł z insurekcji obronną ręką - poczerńiał tylko trochę i betonowe ściany zostały od zewnątrz podziurawione. Wszystko dokoła było prawie całkowicie zdemolowane, poza niewielkim odcinkiem linii kolei naziemnej, która przypominała rudy od rdzy szkielet, pokryty tu i ówdzie kożuchem pnączy i mchów. Okoliczne ruiny - potężne sterty gruzu, budynki z pościnanymi wierzchołkami, pordzewiałe czołgi - wszystko to razem tworzyło porośnięte gąszczem bujnej roślinności podgórze, pośród którego niby szczyt wznosił się stadion, również zielony od pnączy i dzikiego wina i częściowo wtopiony w dżunglę krajobrazu.

Biuro Zabytków Narodowych otoczyło stadion wysokim parkanem, zwieńczonym drutem kolczastym pod napięciem, co miało uniemożliwić dostęp wałęsającym się tu gromadom hippisów. W odległości piętnastu stóp od parkanu strażnik uzbrojony w siekacz produkcji japońskiej krążył wokół stadionu na jednoosobowym ślizgaczu. Zeszliśmy na wysokość pięćdziesięciu stóp i oblecieliśmy stadion pięć razy, żeby oczarowany Ito miał czas się za stanować i dobrze sobie wyobrazić, jak wspaniale ten obiekt zdołałby jego ogrody, zamiast niszczyć między nędznymi ruinami. Strażnik machał do nas za każdym razem, kiedy nasze drogi się krzyżowały, i nic dziwnego, siedzenie na tym pustkowiu, gdzie mógł liczyć jedynie na towarzystwo zwariowanych koczujących hippisów, musiało być beznadziejnie nużące.

- Czy możemy wejść do środka? - zapytał Ito z wielkim namaszczeniem. Rany, ale go wzięło! Promieniał jak matę dziecko, które ma odziedziczyć sklep ze słodyczami.

- Naturalnie - odparłem. Przetrawiłem skoczka, który był zaprogramowany na krążenie, tak że przelecieliśmy powoli nad krawędzią stadionu, a następnie zatrzymałem go w powietrzu na wysokości dachu nad tym, co było kiedyś płytą stadionu. Bardzo powoli opuściłem maszynę, aż wreszcie usiedliśmy w kępie wysokiej trawy, krzewów i rzadkich karłowatych drzew na dawnym boisku.

Przypominało to lądowanie we wnętrzu wielkiej pozbawionej dachu katedry. Dokoła otaczały nas niesamowite w swoim przebrzmiałym majestacie, trypoziomowe, podobne do katakumb trybuny; spróchniałe drewniane siedzenia porośnięte grubo mchem i grzybami, wielkie zwisające krokwie, kryjące w swoich głębokich, ponurych cieniach stada rozświetlonych ptaków.

Kiedy lądowaliśmy, Ito dosłownie podskakiwał z podniecenia na swoim siedzeniu.

- Cudo! - westchnął. - Co za wartość zabytkowa, co za szacowność. Ach, panie Morris, jakich wspaniałych czynów dokonywano na Stadionie Jankesów w dawnych czasach! Czy możemy dotknąć stopami tego historycznego boiska?

- Oczywiście, panie Ito. - Było to coś wspaniałego. Nie musiałem nic mówić; sam sobie lepiej zachwalał to stare omszałe rumowisko, niż ja bym potrafił.

Wysiedliśmy ze skoczka i błędziliśmy w gąszczu bujnej roślinności, a nad naszymi głowami unosiły się roje sparszywiałych gołębi. Ogrom i pustka tego miejsca nadawały mu atmosferę dziwnego mistycyzmu, jakby to były ruiny starożytnej Grecji czy Stonehenge, a nie dawny stadion baseballowy. Trybuny pełne były duchów przeszłości, a w ciemnych, pustych lochach pobrzmiwały echa wielkich wydarzeń.

Jak się okazało, pan Ito wiedział więcej na temat Stadionu Jankesów, niż ja kiedykolwiek wiedziałem, czy nawet chciałbym wiedzieć. Oprowadzał mnie po nim uroczystym, odmierzonym

krokiem, zanudzając na śmierć „zwiedzaniem historycznego obiektu”.

- Tutaj Al Gionfrido w czasie Mistrzostw Świata obronił nieprawdopodobną piłkę zatrzymując wielkiego DiMaggio - powiedział, kiedy doszliśmy do wysokiego walącego się czarnego muru, który otaczał otwarte trybuny. Odczytaliśmy wyblakły numer 405. Poszliśmy dalej wzdłuż półkolistego biegnącego omszałego muru aż do numeru 457 po lewej stronie. Sterczały tutaj niby nagrobki trzy kamienne słupki, a za nimi, w murze, pięć miedzianych tabliczek, tak pozieleniałych od patyny, że prawie nieczytelnych. Cholera, rzeczywiście nasi musieli dawniej mieć takiego samego fioła na tym punkcie, jak dziś Japończycy.

- Tablice pamiątkowe ku czci wielkich bohaterów nowojorskiej drużyny Jankesów - wyjaśnił Ito. - Legendarny Ruth, Gehrig, DiMaggio, Mantle... O. dokładnie w tym miejscu Mickey Mantle posłał piłkę w otwarte trybuny, wyczyn, który przez pół wieku uważano za niemożliwy...

Ach...

I tak dalej, i tak dalej. Ito przedzierał się przez gęste zarośla boiska, którego każdy metr kwadratowy obfitował dla niego w wydarzenia historyczne niezwyklej wagi. W tym miejscu Babę Ruth po raz sześćdziesiąty dobiegł do bazy;

tutaj Roger Maris pobił po latach jego rekord; tam Mantle posłał piłkę tak, że niemal przeleciała ponad krytą trybuno. Zdumiewające, ile tych faktów znał i jak wielkie miały one dla niego znaczenie. Nasz obchód ciągnął się bez końca. Zwariowałbym chyba z nudów, gdyby nie kojąca pewność, że mam już ten obiekt sprzedany. Kiedy więc Ito oddawał się swemu romansowi ze Stadionem Jankesów, ja zabijałem czas licząc w myśli jeny. Szacowałem, że uda mi się wycisnąć z niego jakieś dziesięć milionów, a to znaczyło, że moja prowizja wyniesie okrągły milion. Mając przed oczyma takie sumy, które już widziałem na swoim koncie, mogłem spokojnie, a nawet z uśmiechem znieść dwugodzinny bełkot na temat biegów do bazy. słynnych rzutów i tak dalej.

Było późne popołudnie, kiedy wreszcie Ito nasycił się i pozwolił odprowadzić się do skoczka. Uznałem, że czas najwyższy przystąpić do rzeczy. Mój klient był świeżo pod wrażeniem obejrzanego obiektu i czułem, że pójdzie mi łatwo.

- Z przyjemnością obserwowałem, jak ciepłe uczucia żywi pan dla tego pięknego i szacownego stadionu, panie Ito - zacząłem. - Jestem gotów bez zwłoki załatwić przeniesienie na pana tytułu własności.

Ito drgnął, jak gdyby zbudzony nagle z jakiegoś przyjemnego snu. Spuścił oczy i skłonił się ledwie dostrzegalnie.

- Niestety - powiedział ze smutkiem. - Chociaż umieszczenie szlachetnego Stadionu Jankesów w sanktuarium moich prywatnych ogrodów ucieszyłoby mnie ponad wszelki wyraz, obawiam się, że takie dogadzanie sobie pogłębiłoby tylko moje domowe kłopoty. Rodzice mojej żony uważają w swej ignorancji piękny sport baseballu za barbarzyński zwyczaj importowany z Ameryki. Moja żona, o zgrozo, podziela tę opinię i bardzo często gani mnie za mój entuzjazm dla tej gry. Gdybym zakupił Stadion Jankesów, stałbym się pośmiewiskiem we własnym domu, a moje życie przypominałoby jedno pasmo cierpień.

Macie pojęcie?! Ten bezczelny mały skurwysyn zajął mi dwie godziny cennego czasu - włączył mnie po tych idiotycznych kupach gruzu, wygadując bzdury i doprowadzając mnie do szału, a przecież cały czas wiedział, że nie kupi stadionu! Miałem ochotę dać temu pokurczowi w zęby, ale ponieważ pamiętałem o jego jenach, na które miałem jeszcze nadzieję, zapanowałem nad sobą. Uśmiechnąłem się ze współczuciem, westchnąłem rzewnie. z żalem, i wymamrotałem:

- Szkoda.

- Jednakże - dodał Ito skwapliwie - wspomnienie tej wycieczki na zawsze zachowam w pamięci.

Jestem panu głęboko zobowiązany, panie Morris, za to doświadczenie. Choćby już z tego powodu moja podróż z Kioto opłaciła mi się stokrotnie.

I tak mi właściwie załatwił cały dzień.

Byłem w prawdziwym kłopotcie: o mały włos nie zmarnowałem największej szansy, jaka mi się w życiu trafiła. Pokazałem mu dwa najwspanialsze obiekty na moim terytorium i wiedziałem, że jeśli nie znajdzie, czego szuka, na północnym wschodzie, ma przecież do wyboru do koloru wspaniałości w pozostałej części kraju - na przykład takie perły jak słynna Brama w St. Louis, Matterhorn z Disneylandu, Mormońskie Tabernakulum z Salt Lake City, i że całe rzesze pośredników tylko czekają, żeby zagarnąć tłuste prowizje.

Uznałem, że mogę spróbować jeszcze jednego, zanim Ito zacznie się rozglądać za czymś innym: miałem na myśli kompleks budynków Organizacji Narodów Zjednoczonych. Narody Zjednoczone znalazły się w skomplikowanej sytuacji prawnej. Zachowały wprawdzie tytuł własności do budynków, kiedy zlikwidowały swoją siedzibę w Nowym Jorku, ale kiedy organizację rozwiązano, stan Nowy Jork, miasto Nowy Jork i rząd federalny, nie mówiąc już o zagranicznych wierzycielach, zgłosiły swoje roszczenia. Biuro Zabytków Narodowych nie miało wprawdzie wyraźnego tytułu własności, ale sprawowało pieczę nad tym obiektem z ramienia rządu federalnego, (gdybym zdołał dawną siedzibę ONZ wkleić panu Ito, Biuro Zabytków Narodowych bardzo skwapliwie zainkasowałoby jego czek, a potem niech już sobie inni łamią głowę, jak tę forszę od nich wyciągnąć. Nie ulegało wątpliwości, że po przeniesieniu budynków do Kioto rząd japoński nie dopuści do tego, żeby ktokolwiek inny rościł sobie prawa do czegoś, na co jeden z ich największych rekinów przemysłowych wywalił ciężką forszę.

Poderwałem więc skoczkę i z szybkością 1,7 Macha wznieśliśmy się na wysokość trzystu stóp ponad oleistymi wodami East River. Zawisliśmy w powietrzu w odpowiedniej odległości na wschód od kompleksu budynków Organizacji Narodów Zjednoczonych na Czterdziestej Drugiej Ulicy. O tej porze dnia i z tego miejsca przedstawiała one - tak się łudziłem przynajmniej - romantyczny widok w japońskim stylu. Sekretariat wylaniał się z wiecznych szarych oparów wiszących nad Manhattanem niby gigantyczny grobowiec ze szkła, którego masywną sylwetkę rysowało ostro zachodzące słońce. Łagodna kopuła stoją cego obok Zgromadzenia Ogólnego nadawała całemu zespołowi wrażenie czystości linii i harmonii architektonicznej. Przypominało to jedną ze starożytnych japońskich Bram Tori podświetlonych zachodzącym słońcem, tyle że na znacznie większą skalę.

Siedziba Organizacji Narodów Zjednoczonych wyszła cało z insurekcji, rebelianci bowiem okazali jej dziwne względy, a znad rzeki nie było widać niechlujnego targowiska, które się rozsiało na dziedzińcu, ani podejrzanych barów wzdłuż Pierwszej Alei. Na szczęście Biuro Zabytków Narodowych utrzymywało same budynki w dobrym stanie wychodząc z założenia, że w przeciwnym razie prawo własności rządu federalnego mogłoby zostać zakwestionowane.

Kiedy lecieliśmy nad rzeką powoli, cały czas trzymając się wysokości trzystu stóp, zacząłem moją zwykłą śpiewkę:

- Przed panem, panie Ito, wznoszą się budynki Narodów Zjednoczonych, smutny symbol jednej z najszlachetniejszych wizji człowieka, teraz niestety opuszczone, pomnik żalostnego końca tej wspaniałej organizacji.

Nastawiłem skoczkę na krążenie, tak żebyśmy mogli podziwiać refleksy zachodzącego słońca, które najpierw odbijały się od wody, a następnie padały na setki okien Sekretariatu migocąc na szklanym monolicie. Kiedy zbliżyliśmy się do budynku od strony zachodniej, wielka tafla fasady płonęła purpurą ognia.

- Gmach Sekretariatu można by tak usytuować w pańskim ogrodzie, panie Ito, żeby chwycił

zarówno promienie wschodzącego, jak i zachodzącego słońca - powiedziałem. - Jest uważany za jeden z najwspanialszych okazów budownictwa użytkowego dwudziestego wieku, a ponadto niech pan spojrzy, w jak doskonałym znajduje się stanie.

Ito nie odezwał się słowem. Nawet nie mrugnął okiem. Mięśnie jego twarzy były nieruchome, jakby zastygły w nienaturalną drewnianą maskę. Skoczek znów znalazł się za Sekretariatem, przesłaniając zarówno słońce, jak i jego ogromne odbicie. Pod sobą mieliśmy szary betonowy dach Zgromadzenia Ogólnego.

...No i oczywiście historyczna rola tych budynków, choć może nieco tragiczna, jest przecież ogromna... Pan Ito przerwał mi nagle lodowatym tonem;

- Proszę mi wybaczyć moją niedelikatność, panie Harris, poiegającą na wyrażaniu własnych poglądów politycznych, ale wydaje mi się, że moja szczerść oszczędzi panu cennego czasu i wysiłku, a mnie wybawi z niezręcznej sytuacji.

Nagle stat się panem Shiburo Ito z SILNIKÓW RAKIETOWYCH ITO, Osaka, jednym z ludzi, którzy kształtują gospodarkę najpotężniejszego narodu na świecie - i właśnie dawał mi to odczuć.

- Szanuję pański ciepły stosunek do byłej Organizacji Narodów Zjednoczonych, ale go nie podzielam. Chciałbym panu przypomnieć, że Narody Zjednoczone powstały jako organizacja, która upokorzyła Japonię głęboko w wojnie wyjątkowo nieprzyjemnej, a przestały istnieć jako kłótniwy związek zubożałych, żebraczych krajów, połączonych jedynie wspólnym hańbiącym celem wyłudzenia ciągłych świadczeń od państw znacznie bardziej rozwiniętych, samodzielnych, postępowych i szlachetnych, na czele z Japonią. Z prawdziwym więc żalem muszę stwierdzić, że widok tych budynków napawa mnie niesmakiem, aczkolwiek obiektywnie rzecz biorąc, jako przedmioty abstrakcyjne posiadają może nawet jakieś wewnętrzne piękno.

Twarz pana Ito przypominała lśniąca maskę, a on sam wydawał się odległy o tysiące mil. Był tak bliski wściekłości, jak tylko może być bliski wściekłości taki nadziany Japoniec; musiał się dosłownie w środku gotować. Do diabła, skąd miałem wiedzieć, że Organizacja Narodów Zjednoczonych ma dla niego tak koszmarną polityczno wymowę. O ile ja się orientuję, od lat nikt ONZtu nie traktował poważnie. Uważano go jedynie za infantylną romantyczną ideę, kompletnie zbankrutowano i wyznawaną jedynie przez kraje trzeciego świata. Trzeba było mojego zakichanego szczęścia, żeby się napatoczył na jednego z tych nielicznych ludzi na świecie, w których świadomości ona jeszcze funkcjonowała.

- Pan musi być bardzo zmęczony, panie Harris - powiedział Ito zimno. - Nie będę pana dłużej absorbował. Najlepiej wracajmy do pańskiego biura. Gdyby pan miał mi do pokazania jakieś dalsze obiekty, możemy się umówić w innym dogodnym dla nas obu terminie.

I cóż ja mogłem na to powiedzieć? Nie tylko dotknąłem go do żywego, ale jeszcze nie miałem mu nic do zaoferowania. Nastawiłem skoczka na wysokość pięciuset stóp i poleciliśmy spokojną setką. przez rzekę w kierunku centrum miasta. Żywiłem niczym nie uzasadnioną nadzieję, że mimo wszystko przyjdzie mi do głowy coś genialnego. co uratuje tę milionową transakcję, zanim znajdziemy się u mnie w biurze i zanim ta gruba ryba ze szczerego złota na zawsze wymknie mi się z rak.

W drodze do śródmieścia Ito patrzył obojętnie na posępne wysokie bloki mieszkalne ciągnące się pod nami wzdłuż wybrzeża Manhattanu, nie zniżając się do rozmowy ze mną, nawet nie dostrzegając mojej skromnej obecności. Jaskrawopomarańczowe światło, które wlewało się do kabiny, zamieniło jego okrągłą twarz we wschodzące słońce żywcem wzięte z japońskiej flagi. Bardzo zresztą stosownie - ten cholerny sukinsyn był akurat wypisz wymaluj jak jego ukochana ojczyzna: drażliwy na punkcie politycznym, ugrzeczniony gbur z kompleksem wyższości ekonomicznej, o wysoce wyrafinowanej wrażliwości na piękno, w niezrozumiały sposób potoczonyj z chomikarską

zachłannością na nasze najbardziej beznadziejne starocie. To był wyniosły i zadzierał nosa, to znów zachowywał się jak dziecinnie naiwny frajer. Od lat handluję z Japończykami, ale muszę się przyznać, że ich właściwie w dalszym ciągu nie rozumiem. Szukam jedynie po omacku, usiłując odgadnąć, co się tam w nich w środku dzieje i ufając w Boga, że akurat trafię. No i właśnie tym razem, mając przed oczami milion jenów, ni mniej, ni więcej tylko trzy razy spudłowałem. Wracałem do siebie upokorzony, z niezadowolonym klientem, którego cała postawa zdawała się mówić, że ja jestem głupi cymbał, a on - pan stworzenia!

- Panie Harris! Panie Harris! Niech no pan patrzy, tam! Co za wspaniała konstrukcja! - Ito niemal krzyczał; oczy płonęły mu podnieceniem i autentycznie się uśmiechał, wskazując na południe wzdłuż East River.

Wybrzeże po stronie Manhattanu całe było zabudowane najohydniejszym osiedlem mieszkaniowym, jakie tylko można sobie wyobrazić. Brzeg brooklyński przedstawiał się jeszcze gorzej - był to jeden z ogromnych, rozległych tak zwanych ośrodków przemysłowych: niskie, pozbawione okien budynki, magazyny, przystanie i kilka stanowisk startowych rakiet towarowych. Z tego wszystkiego wyróżniał się tylko jeden obiekt i tylko ten jeden Ito mógł mieć na myśli: konstrukcję łączącą osiedle mieszkaniowe na Manhattanie z ośrodkiem przemysłowym po stronie Brooklynu. Pan Ito pokazywał Most Brooklyński.

- To znaczy... hm... ma pan na myśli most? - tylko tyle zdołałem wyjąkać zachowując powagę. O ile się nie mylę, historyczna rola Mostu Brooklyńskiego polegała jedynie na tym, że stanowił on przedmiot całej serii dowcipów. Tak starych, że przestały już kogokolwiek śmieszyć. Był osławionym obiektem, który wytrawni oszuści z różnych komedijek tradycyjnie sprzedawali naiwnym turystom zagranicznym - zwanym frajerami i jeleniami - razem z nie istniejącymi kopalniami uranu i połączanymi cegłami.

Nie mogłem się więc powstrzymać i spytałem:

- Pan chce kupić Most Brooklyński, panie Ito? - Sytuacja była naprawdę cudowna; najpierw Ito upokorzył mnie maksymalnie, dając mi odczuć swoją wyższość, teraz zaś z kolei ja mówiłem mu niemal w oczy, że jest idiotą, a on nawet o tym nie wiedział. Bai - żeby tylko. Ale on jeszcze skwapliwie kiwał głową w odpowiedzi, jak prostaczek ze starego kawału.

- Tak, to właśnie miałem na myśli. Czy ten most jest na sprzedaż?

Zwolniłem szybkość do czterdziestu, zszedłem na wysokość stu stóp i z najwyższym trudem tłumiałem chichot w miarę, jak zbliżaliśmy się do tej koszarnej ruiny. Zardzewiałe liny, na których wisiała konstrukcja, zamocowane były do dwóch masywnych, przysadzistych kamiennych wież. Od lat dzięki wynalazkowi skoczka most był bezużyteczny, nikt go więc nie konserwował, ale i nikt nie zadał sobie trudu, żeby go rozebrać. W miejscu, gdzie wielkie bloki ciemnoszarego kamienia dotykały wody, otaczał je pierścień zgniłego zielonego szlamu. Wszystko zaś powyżej pokrywała stuletnia chyba, biała warstwa ptasiego guana.

Trudno było uwierzyć, że Ito mówi serio. Most był starym, brudnym, zmurszałym, cuchnącym ohydztwem. Krótko mówiąc, był tym, na co Ito jako klient sobie zasłużył.

- Tak, oczywiście, panie Ito - odparłem. - Mogę panu sprzedać Most Brooklyński.

Zatrzymałem skoczka w powietrzu, w odległości jakichś stu stóp od jednej z obrzydliwych wież. W miejscach, gdzie kamień nie był oblepiony odchodami mew, pokrywała go na całą grubą warstwę sadzy. Nawierzchnia jezdni cała była potrzaskana, pełna wyrw, wybrukowana odpadkami, starymi skorupami i ptasim łajnem; most od dziesiątków lat musiał służyć mewom za łęgowisko. Gratulowałem sobie, że skoczek jest hermetyczny - smród musiał być niesamowity.

- Coś wspaniałego! - wykrzyknął pan Ito. - Jest naprawdę uroczy, nie uważa pan? Kupuję Most

Brookłyński!

- Nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek bardziej od pana zasługiwał na ten zaszczyt - powiedziałem z całym przekonaniem.

Mniej więcej w cztery miesiące po tym, jak ostatni element Mostu Brookłyńskiego został przetransportowany do Kioto, dostałem od pana Shiburo Ito dwie przesyłki. Jedną z nich była koperta zawierająca minikasetę i slajd holograficzny, drugą - ciężka paczka wielkości pudełka na buty, zawinięta w błękitny papier ryżowy.

Wspominając pana Ito znacznie czulej teraz, kiedy miałem na koncie milion jego jenów, włożyłem kasetę do playbacku i nie zdziwiłem się specjalnie, kiedy usłyszałem jego głos.

- „Pozwalam sobie przesłać panu moje serdeczne pozdrowienia, panie Harris, wraz z gorącym podziękowaniem za dopilnowanie wysyłki Mostu Brookłyńskiego do mojej posiadłości. Odpowiednio wyeksponowany, dostarcza nam wszystkim wielu estetycznych wzruszeń, nie mówiąc o tym, jak ogromnie przyczynił się do przywrócenia spokoju w moim ognisku domowym. Przesyłam panu też holograficzny slajd, na którym zostało uwiecznione sanktuarium. Zechce pan również przyjąć skromny dowód mego uznania w tym samym, mam nadzieję, duchu, w jakim został ofiarowany. Sayono’’?’”.

Nie mogąc opanować ciekawości, natychmiast zerwałem się i wyświetliłem przezrocze na ścianie. Oczom moim ukazała się gęsto zalesiona góra, z której sterczały dwa surowe, nagie szczyty. Głębokim jarem pomiędzy wierzchołkami z nieopisanym wdziękiem spływała kaskadą do płytkiego jeziora u stóp góry woda. Tam rozbijając się o płaską skałę podłoża tworzyła scenerię jakby żywcem wziętą z chińskiego malowidła. Rozsnuty nad samym wodospadem niby pajęczyna widniał Most Brookłyński, który spinał oba brzegi kanionu. Wparła kamiennymi słupami w skaliste krawędzie przepaści niezgrabna, ciężka konstrukcja nabrała w perspektywie rozległego krajobrazu lekkości i wdzięku. Kamień został oczyszczony i lśnił teraz mokrym połyskiem; liny i nawierzchnię oplatały bujne zielone pnącza. Zdjęcie zostało zrobione wieczorem w momencie, kiedy słońce zachodziło pomiędzy dwoma bliźniaczymi szczytami obrysowując ich kontury płomiennie pomarańczową linią i barwiąc miedziane obłoki unoszących się z dołu mgieł, które strzelały pióropuszcami kolorowych ogni.

Było to coś bardzo pięknego.

Upłynęło sporo czasu, zanim zdołałem oderwać wzrok od tej sceny, przypominając sobie o drugiej przesyłce pana Ito.

Błękitny papier krył pojedynczą złotą cegłę. Wytrzeszczyłem oczy. Roześmiałem się. Spojrzałem jeszcze raz.

Na pierwszy rzut oka wyglądała zupełnie jak stara cegła pokryta złotą farbą. Ale tylko na pierwszy rzut oka. Była to bowiem cegła odlana ze szczerego złota, kopia oryginalnej, wierna w każdym szczególe.

Wiem, że pan Ito chciał mi coś przez to powiedzieć, ale do dziś nie mam zielonego pojęcia co.

Theodore Sturgeon Powolna rzeźba

Nie wiedziała kim jest, gdy go spotkała, niewiele zresztą osób wiedziało. Krzątał się właśnie w wysoko położonym sadzie koło gruszy. Ziemia pachniała późnym latem i wiatrem - pachniała brązem.

Podniósł oczy na smukłą dziewczynę, mogła mieć ze dwadzieścia pięć lat, na jej nieustraszonej twarzy, oczy i włosy w tym samym kolorze, co fascynowało niezwykłością, gdyż włosy były złotorude. Spojrzała na ogorzałego mężczyznę po czterdziestce, na elektroskop listkowy w jego ręce i poczuła się intruzem.

- Och - powiedziała odpowiednim do sytuacji tonem. On jednak skinął głową i powiedział: - Niech pani to potrzyma - w sposób wykluczający jakąkolwiek myśl o natręctwie.

Przyklękła obok niego trzymając przyrząd dokładnie tak, jak go umieścił w jej ręce. Cofnął się nieco i postukał widełkami strojowymi o kolano.

- Reaguje?

Miał przyjemny głos, ten rodzaj głosu, który zwraca uwagę i którego chętnie się słucha.

Obserwowała delikatne złote listki na szklanej tarczy elektroskopu.

- Rozchylają się.

Znów popukał widełkami, listki rozwarły się szerzej.

- Ile?

- Około 45°, gdy uderza pan widełkami.

- Świetnie, to prawie maksimum tego, co w ogóle można osiągnąć. - Wyciągnął z kieszeni włochatej marynarki woreczek z pyłem kredowym i sypnął niewielką garstkę na ziemię. - Teraz ja odejdę, a pani zostanie na miejscu i będzie mnie informowała o zachowaniu się listków.

Krażył zygzakiem wokół gruszy, stukając raz po raz widełkami, a dziewczyna odczytywała pomiary: dziesięć stopni, trzydzieści, dwadzieścia, zero. A kiedy złote listki rozchylały się maksymalnie - do 40° lub ponad 40° - sypał więcej kredowego proszku. Po zakończeniu tych czynności wokół drzewa powstał nieregularny owal białych kropek. Wyciągnął notes, naszkicował drzewo oraz zarys kropek, po czym wziął z jej rąk elektroskop.

- Czy szukała pani czegoś?

- Nie - odpowiedziała. - Tak.

Uśmiechnął się. Choć trwało to ułamek sekundy, uznała, że jest to na tej twarzy wyraz zaskakujący.

- W języku prawniczym trudno by to nazwać odpowiedzią jednoznaczną.

Spojrzała na wzgórze, metaliczne w blasku zachodzącego słońca. Niewiele na nim było: skały, zielska - pozostałość lata, kilka drzew, sad. Każdy, kto tu przyszedł, miał za sobą daleką drogę.

- Pytanie nie było proste - odpowiedziała próbując się uśmiechnąć i zamiast tego wybuchnęła płaczem. Zrobiło się jej głupio. Powiedziała mu o tym.

- Dlaczego? - spytał.

Po raz pierwszy miała się zetknąć z tak charakterystycznym dla niego rysem - nieustającym naporem pytań. Denerwujące. To zawsze bywa denerwujące - czasem staje się nie do wytrzymania.

- Bo nie wolno sobie pozwalać na takie publiczne wybuchy uczuć. Inni tego nie robią.

- Pani wolno. Nie znam tych „innych”, o których pani mówi.

- Ja chyba też nie znam... ale uświadomiłam to sobie teraz, gdy pan to powiedział.

- Więc niech pani powie całą prawdę. Nie ma sensu kręcić się w kółko „bo on sobie pomyśli, że ja...” itp. Co pomyślę, to pomyślę, niezależnie od tego, co pani powie. Albo niech pani odejdzie stąd i nie mówi już ani słowa. - Ponieważ jednak nie ruszyła się z miejsca, dodał: - Niech pani spróbuje zdobyć się no szczerść. Jeśli to istotne - wtedy staje się proste. Jeśli jest proste - tym samym łatwe

do wyznania.

- Ja umrę! - wykrzyknęła.
- Ja także.
- Mam guz na piersi.
- Proszę wejść ze mną do domu, zaradzimy coś.

Powiedziawszy to, odwrócił się i poszedł przez sad. Półprzytomna ze strachu, oburzona i zarazem pełna absurdalnej nadziei, z krótkim spazmem zdumionego śmiechu, stała chwilę patrząc, jak odchodzi, po czym nagle spostrzegła (w którym momencie ja się zdecydowałam?), że idzie jego śladem.

Zrównała się z nim na wznoszącym się w górę skraju sadu.

- Czy pan jest lekarzem?

Mogło się zdawać, że nie zauważył ani jej wahania, ani kiedy poszła za nim.

- Nie - odpowiedział nie zatrzymując się. Nadal jakby nie dostrzegał, że dziewczyna przystaje skubiąc dolną wargę i znów spieszy za nim.

- Musiałam chyba zwariować - powiedziała doganiając go na ogrodowej ścieżce.

Mówiła sama do siebie. Chyba to wyczuł, bo nie zareagował. Ogród ożywiały rozczochrane chryzantemy oraz sadzawka, w której dostrzegła uwijającą się parę migotliwych złotych rybek - największych, jakie kiedykolwiek zdarzyło jej się spotkać. A następnie - dom.

Tworzyła go część ogrodu z tarasem obramowanym kolumnadą stykającą się z kamiennymi ścianami. Był usytuowany na stoku wzgórza i zarazem w jego wnętrzu. Dachy ciągnęły się wzdłuż linii horyzontu od frontu i po bokach, zaś jego część oparta była o pionową ścianę skalną. Drzwi, belkowane, nabijane ćwiekami, z dwiema szczelinami na podobieństwo okienek strzelniczych, stały przed nimi otworem (wewnątrz jednak nie było nikogo), a gdy się zamknęły, cisza i poczucie izolacji od świata zewnętrznego były znacznie głębsze, niż zdołałby to sprawić szcęk zasuwy lub zgrzyt rygla.

Oparła się plecami o drzwi i stała obserwując go z perspektywy czegoś, co wyglądało na patio, a przynajmniej na jego część. Był to mały wewnętrzny dziedziniec, pośrodku którego znajdowało się atrium o pięciu oszklonych ścianach u góry otwartych. Wewnątrz rosło karłowate drzewo, cyprys albo jałowiec, sękaty i powyginany, ukształtowany na wzór japońskiego bonsai.

- Nie wejdzie pani dalej? - zawołał stojąc w otwartych drzwiach po drugiej stronie atrium.
- Bonsai nie może mieć piętnastu stóp wysokości - zauważyła.
- Moje ma.

Przeszła powoli obok przyglądając się drzewku.

- Jak długo pan je hoduje?
- Połowę mego życia.

Ton jego świadczył o głębokim zadowoleniu. Wypytywanie właściciela bonsai, ile lat liczy sobie jego drzewko jest nietaktem - sugeruje chęć dowiedzenia się, czy jest to wyłącznie jego dzieło, czy też przejął i kontynuuje cudzą koncepcję. Stwarza mimo woli pokusę, aby czyjaś myśl i mrówczą pracę zapisać na własne konto, i staje się niemal obraźliwe w swojej intencji brania kogoś na spytki. Natomiast forma, „jak długo pan je hoduje?”, jest taktowna, powściągliwa i nad wyraz uprzejma.

Znów rzuciła okiem na bonsai. Czasem można spotkać takie drzewka na wpół zarzucone, na wpół zapomniane, rosnące w zardzewiałych puszkach w jakiejś niezbyt udanej szkółce, nie sprzedane z powodu zbyt dziwacznych kształtów czy pewnej liczby martwych gałęzi, czy wreszcie zbyt powolnego wzrostu całości lub niektórych fragmentów. Są to okazy wyróżniające się ciekawym kształtem pnia oraz odpornością na przeciwności losu, która sprawia, że rozkwitają, znalazłszy bodaj

najmniejszy pretekst do życia. Wiek tego drzewka był znacznie dłuższy niż połowa, a nawet całe życie mężczyzny. Poraziła ją nagła myśl, że to piękno mogłoby zostać nieodwracalnie zniszczone przez ogień, wiewiórki, pędraki lub termy - przez coś znajdującego się poza wszelkim pojęciem uczciwości, sprawiedliwości czy też szacunku.

Popatrzyła na drzewko. Potem na mężczyznę.

- Idziemy?

- Tak - odpowiedziała i weszli do jego pracowni.

- Niech pani tam usiądzie i odpręż się. To może trochę potrwać.

„Tam” oznaczało duży skórzany fotel obok regału. Książki znajdowały się w zasięgu jej wzroku - prace z zakresu medycyny, techniki, fizyki nuklearnej, chemii, biologii, psychiatrii. Dalej tenis, gimnastyka, szachy, wschodnia gra wojenna „Go” oraz golf. Następnie dramaty, sztuka pisania, „Modern English Usage”. „The American Language”

z suplementem, „Rhyming Dictionaries” Wooda i Walkera oraz szereg innych słowników i encyklopedii. Długa półka wypełniona w całości pozycjami biograficznymi.

- Ma pan niezłą bibliotekę.

Odpowiedział jej dość lakonicznie - był w tej chwili pochłonięty pracą i najwyraźniej nie zdradzał chęci do rozmowy.

- Owszem. Być może obejrzy ją pani kiedyś. - Kilka słów, które dały jej asumpt do zastanawiania się, co u licha chciał przez to powiedzieć.

Chyba tylko to - orzekła w duchu - że jest to biblioteka podręczna, niezbędna mu do pracy, a ta prawdziwa znajduje się gdzie indziej. Patrzyła na niego z pełnym lęku nabożnym podziwem.

Śledziła wzrokiem każdą jego czynność. Podobał się jej sposób, w jaki się poruszał - szybko i zdecydowanie. Miał catkowitą pewność tego, co robi. Część przyrządów, którymi się posługiwał, była jej znana - szklany aparat destylacyjny, przyrząd do miareczkowania, wirówka. Były tam również dwie lodówki, z których jedna bynajmniej lodówką nie była, ponieważ termometr na drzwiczkach wskazywał 70° F.

Wszystko to jednak, łącznie z aparaturą, której nie znała, było jedynie martwym sprzętem. Godnym uwagi był człowiek. Człowiek, który fascynował ją tak dalece, że przez cały ten czas nawet nie zainteresowała się książkami.

Wreszcie zakończył serię czynności na stole laboratoryjnym, przekręcił jakieś wyłączniki, wziął wysoki stółek i podszedł do niej. Przysiadł niby ptak na gałęzi. Oparł pięty na poprzeczce i położył brązową rękę na kolanach.

- Przestraszona.

Wymówił to w trybie twierdzącym.

- Raczej tak.

- Może pani jeszcze stąd odejść.

- Zważywszy alternatywę... - zaczęła mężnie, lecz owa nuta męstwa natychmiast się ulotniła. - To i tak nie ma znaczenia.

- Bardzo mądrze - powiedział niemal z radością. - Pamiętam, jak kiedyś, gdy byłem dzieckiem, w bloku, w którym mieszkaliśmy, wybuchła panika spowodowana pożarem. Wszyscy na oślep pchali się do wyjścia i mój dzieścioletni brat wybiegł na ulicę z budzikiem w rękę. Budzik był stary, nie chodził od dawna, a jednak ze wszystkich rzeczy, znajdujących się w mieszkaniu, tę właśnie wybrał mój brat. Nigdy nie potrafił wytłumaczyć, co nim kierowało.

- A pan potrafi?

- Czemu wybrał budzik - nie potrafię. Myślę jednak, że wiem, dlaczego działał w tak

zdecydowanie irracjonalny sposób. Panika jest bardzo specyficznym stanem. Podobnie jak przerażenie i ucieczka, czy też furia i atakowanie kogoś - panika jest dość prymitywną reakcją na ogromne niebezpieczeństwo. Jest jednym z przejawów woli przetrwania. Jest specyficzna, bowiem wynika z irracjonalnych przesłanek. Czemu odrzucenie logiki bywa mechanizmem warunkującym przetrwanie?

Zastanowiła się nad tym poważnie. Było w tym mężczyźnie coś, co zmuszało do poważnego traktowania jego słów.

- Nie mam pojęcia - powiedziała wreszcie. - Może w pewnych sytuacjach rozsądek nie wystarcza.

- Ma pani pojęcie - głos jego tchnął tak wielką aprobatą, że się zaczerwieniła. - Już pani tego dowiodła. Jeżeli w sytuacji wielkiego zagrożenia usiłuje pani myśleć rozsądnie, a rozsądek nie pomaga - odrzuca go pani. Odrzucanie czegoś, co się nie sprawdza, trudno nazwać głupotą, prawda? No więc ogarnia panią popłoch. Zaczyna pani działać na oślep. Zdecydowana większość tych działań będzie bezużyteczna. Niektóre nawet niebezpieczne. Nie ma to jednak znaczenia - już pani jest w niebezpieczeństwie. Gdy wkracza w grę wola przetrwania, człowiek jest świadomy, że lepsza jedna szansa na milion niż brak jakiejkolwiek szansy. A zatem siedzi pani tu przerażona, mimo że mogłaby pani uciec. Coś panią pcha do ucieczki, a jednak pani zostanie.

Skinęła potakująco głową.

A on mówił dalej:

' Odkryła pani u siebie guz. Poszła pani do lekarza, który po przeprowadzonych badaniach zakomunikował pani złe wieści. Być może inny lekarz potwierdził tę diagnozę. Zaczęła pani grzebać w książkach, dowiadując się, co może panią czekać dalej - różnorakie doświadczenia. radykalne albo też wątpliwe wyzdrowienie, długi udręczający proces bycia tym, co medycyna nazywa przypadkiem beznadziejnym, i wtedy ogarnęło panią przerażenie. Robiła pani rzeczy, o które wolałaby pani, bym nie zapytał. Wybrała się pani w jakąś podróż, dokądkolwiek i wylądowała w sposób niezamierzony w moim sadzie, - Rozłożył łagodne ręce i znów pozwolił im wrócić w senny spokój. - Panika. Przyczyna, która sprawia, że mali chłopcy wybiegają o północy z domu z zepsutym budzikiem w ramionach i która tłumaczy istnienie szarlatanów. - Coś zadzwoniło na stole laboratoryjnym, uśmiechnął się do niej przelotnie i wrócił do pracy, rzuciwszy przez ramię: - Co do mnie, nie jestem szarlatanem. Zęby być uznanym za szarlatana, trzeba pretendować do miana lekarza. Ja nie mam tych pretensji.

Patrzyła, jak włącza, wyłącza, miesza, oblicza, mierzy. Był dyrygentem, a posłuszna mała orkiestra przyrządów wtórowała mu chórem i solo z furkotem, sykiem, gwizdem, pstrykaniem. Chciało jej się śmiać, płakać, krzyczeć. Nie uległa jednak żadnej z tych chęci w obawie, że raz zacząwszy nie potafi się już pohamować.

Gdy znów się zbliżył, walka już w niej nie szalała, przeszła w stan ciągłych przeciwstawnych napięć, które wprowadziły ją w straszliwe odrętwienie. Ujrzawszy narzędzie w jego ręku zdołała już tylko szeroko otworzyć oczy. Prawie przestała oddychać.

- Tak, to igła - powiedział żartobliwym tonem. - Długa błyszcząca ostra igła. Proszę mi tylko nie mówić, że należy pani do osób, które boją się igły. - Zluzował nieco kabel prowadzący od czarnej obudowy, w której znajdowała się strzykawka, i siadł okrakiem na stołku. - Czy chce pani coś na uspokojenie?

Bało się odezwać. Otoczka dzieląca ją od szaleństwa była napięta do ostateczności.

- Nie radziłbym pani, gdyż to farmakologiczne paskudztwo ma dość złożony skład. Ale jeśli to konieczne...

Zdobyła się na lekki przeczący ruch głową i znów wyczuła płynącą od niego falę aprobaty. Cisnęło się jej na usta tysiące pytań, które chciała, zamierzała, musiała mu zadać. Co zawiera strzykawka? Ilu zabiegom musi się poddać? Na czym będą polegały? Jak długo i gdzie musi pozostać? A przede wszystkim... czy będzie żyta, czy będzie żyła?

II

Jednakże tylko jedno z owych pytań zdawało się go interesować.

- Został tu wykorzystany izotop potasu. Gdybym opowiedział pani wszystko, co wiem o tym i jak do tego doszedłem, zajęłoby to znacznie więcej czasu, niż mamy do dyspozycji. Wyjaśnię to pokrótce. Teoretycznie, każdy atom jest zrównoważony pod względem ładunków elektrycznych - pomijając normalne wyjątki. Tak samo w cząsteczce powinna istnieć równowaga: tyle plusów, tyle minusów, w sumie zero. Przypadkowo stwierdziłem fakt, iż bilans ładunków w zwyrodniałej komórce nie jest równy zeru - w każdym razie nie całkiem. Wygląda to tak, jakby na poziomie molekularnym szalała burza submikroskopowa z małymi wyładowaniami, błyskawicami przelatującymi w jedną i w drugą stronę i zmieniającymi znaki. Zakłócenia przeszkadzają w przekazywaniu informacji - powiedział wymachując obudowaną strzykawką - i tu jest pies pogrzebany. Gdy coś zakłóca przekazywanie informacji - zwłaszcza przez mechanizm RNA, który mówi: „Odczytaj ten plan, buduj zgodnie z nim i przestań w odpowiedniej chwili” - gdy informacja ta jest bałamutna, powstają konstrukcje wykoślawione. Pozbawione równowagi. Niemal spełniające wyznaczone im funkcje i spełniające je niemal dobrze - są to jednak komórki zwyrodniałe i przekazywana przez nie informacja jest jeszcze bardziej spaczona.

Okay. Rzecz drugorzędna, czy burza ta została spowodowana przez wirusy, chemikalia, promieniowanie, uraz fizyczny czy też niepokój - i proszę nie sądzić, że niepokój nie może ich wywołać. Najważniejsze jest doprowadzenie do stanu wykluczającego możliwość takiej burzy. Jeśli się to uda, komórki, które posiadają wielką zdolność regeneracji, same naprawią zło. Systemy biologiczne to nie piłeczki pingpongowe z ładunkami elektrycznymi, czekające na rozplnięcie się ładunku albo rozładowanie poprzez uziemiony kabel. Posiadają pewną elastyczność - nazywam to tolerancją - pozwalającą im pobrać nieco więcej lub nieco mniej ładunku i prawidłowo funkcjonować. Otóż. powiedzmy, że pewna grupa komórek jest zwyrodniała i skupia po stronie dodatniej około stu jednostek więcej. Oddziałuje ona na komórki najbliższe, ale dalsze warstwy pozostają nietknięte.

Gdyby te ostatnie mogły przejąć dodatkowy ładunek, pomóc w odprowadzeniu go - „uleczyłyby” zwyrodniałe komórki z jego nadmiaru. Rozumie pani. o co mi chodzi? Potrafiłyby same uporać się z tą niewielką nadwyżką lub też przekazać ją innym komórkom, te z kolei następnym i tak dalej. Inaczej mówiąc, jeśli napełnię pani organizm środkiem, który zdoła rozprowadzić ten nadmiernie skupiony po jednej stronie ładunek, normalne procesy fizjologiczne będą mogły przebiegać swobodnie i naprawią szkody wyrządzone przez zwyrodniałe komórki. Ten właśnie środek znajduje się w strzykawce.

Przytrzymał strzykawkę między kolanami, sięgnął do kieszeni fartucha po plastikowe pudełeczko i wyjął z niego nasączony spirytusem wacik. Nie przestając mówić ujął jej zdrętwiałe z przerażenia ramię i zdezynfekował spirytusem zgięcie łokcia.

- Ani przez chwilę nie chciałem sugerować, że ładunki w jądrze atomowym należy identyfikować z prądem stałym. Są to dwie różne rzeczy. Ale istnieje pewna analogia. Mógłbym się tu również posłużyć inną analogią. Porównać ładunek w zwyrodniałych komórkach do złogów tłuszczu. A mój środek do detergentu, który je rozpuszcza i rozprowadza tak skutecznie, że stają się niewykrywalne. I o mi znów nasunęło analogię z prądem elektrycznym poprzez negatywny skutek uboczny - organizmy

naszpikowane tym środkiem gromadzą potworną ilość ładunku. Jest to produkt uboczny i z przyczyn, co do których mogę w tej chwili jedynie teoretyzować, wydaje się mieć związek z widmem akustycznym. Widełki strojowe itp. To, czyni zabawiałem się, gdy pani nadeszła. Drzewo jest nasycone tym środkiem. Rozrosły się w nim zwyrodniałe komórki. Teraz już ich tam nie ma.

Obdarzył ją krótkim niespodziewanym uśmiechem, podniósł w górę igłę i wypuścił trochę płynu. Drugą ręką ujął jej ramię ugniatając delikatnym, lecz zdecydowanym ruchem. Zniżył igłę i wkłuł w żyłę tak zręcznie, że westchnęła głośno - nie dlatego, że ją zabolalo, nie - wręcz przeciwnie. Obserwował z uwagą część, szklanego walca wystającą z czarnej obudowy, podczas gdy cofał powolutku tłok, dopóki nie zobaczył strzępiastego kleksa krwi w bezbarwnym płynie. Potem znów równomiernie naciskał tłok.

- Proszę się nie ruszać. Przykro mi, ale zabieg trochę potrwa. Muszę w panią sporo tego wpompować - powiedział tym samym tonem, jakim przed chwilą wygłaszał uwagi na temat widma akustycznego. - Zdrowe biosystemy wytwarzają silne pole elektrostatyczne, chore natomiast - bardzo słabe, lub w ogóle go nie wytwarzają. Za pomocą tak prymitywnego przyrządu jak ten mały elektroskop można stwierdzić, czy w organizmie istnieje grupa zwyrodniałych komórek, a jeśli tak, to gdzie, jakiej wielkości i jak daleko posunął się proces. - Sprawnie, nie poruszając igły w żyłę i równomiernie naciskając tłok, zmienił położenie ręki na obudowanej strzykawce. Zaczynało to być nieprzyjemne - jak ból, którego efektem jest siniec. - Jeśli się pani zastanawia, dlaczego ten moskit ma na sobie obudowę z podłączonym kablem (aczkolwiek mógłbym się założyć, że jest to pani obojętne, wie pani równie dobrze jak ja, iż mówię tyle wyjątkowo dlatego, by zająć czymś pani myśli) - wyjaśnię to pani. Jest to po prostu cewka wytwarzająca prąd zmienny o wysokiej częstotliwości. Pole zmienne sprawia, że płyn od samego początku jest magnetycznie i elektrostatycznie neutralny.

Wyciągnął igłę szybko, płynnym ruchem, przyłożył wacik i zgiął jej rękę.

- Pierwszy raz nie usłyszałam po zabiegu... - powiedziała.

- Czego?

- Wysokości honorarium.

Znów fala aprobaty, tym razem ze słowami:

- Podoba mi się pani styl. Jak się pani czuje?

- Jak posiadacz wielkiej uśpionej hysterii, błagający, by jej nie budzić. Roześmiał się.

- Za chwilę poczuje się pani tak dziwnie, że zabraknie pani czasu na histerię.

Wstał i odłożył strzykawkę z powrotem na stół laboratoryjny, idąc związał kabel. Wyłączył pole zmienne i wrócił z dużą szklaną misą oraz kwadratem dykty. Postawił misę do góry dnem na podłodze obok niej i nakrył dyktą.

- Przypominam sobie coś w tym rodzaju - powiedziała. - Kiedy byłam... w szkole średniej. Wytwarzano sztuczne błyskawice za pomocą... zaraz, zaraz... tak, to miało długi pas obracający się na walcach, małe druciki wywołujące tarcie i u góry dużą miedzianą kulę.

- Generator Van de Graaffa.

- Właśnie, i robili z tym różne rzeczy. Pamiętam zwłaszcza, jak stałam na kawałku drewna na misie podobnej do pańskiej, a oni naładowywali mnie za pomocą generatora. Nie odczuwałam nic szczególnego poza tym, że wszystkie włosy na głowie stanęły mi dęba. Cała klasa ryczała ze śmiechu. Wyglądałam jak strach na wróble. Powiedziano mi, że przewodziłam 40000 V.

- Doskonale. Cieszę się, że pani to pamięta. Tu będzie pewna różnica. Mniej więcej o drugie 40 000.

- Och!

- Proszę się nie martwić. Dopóki jest pani izolowana i dopóki wszystkie uziemione lub względnie

uziemione obiekty - na przykład ja - pozostają w pewnej odległości od pani, nie będzie żadnych fajerwerków.

- Czy zamierza pan użyć takiego samego generatora?

- Nie takiego... Zresztą już to zrobiłem. Pani jest tym generatorem.

- Ja... och! - Podniosła rękę spoczywa jąca na miękkim oparciu fotela i nagle - trzask iskier, lekki zapach ozonu.

- Tak, pani, i to bardziej, niż się spodziewałem - w dodatku szybciej. Proszę wstać.

Zaczęła powoli wstawać. Zakończyła tę czynność z dużą szybkością. Gdy jej ciało oderwało się od fotela, na ułamek sekundy spowiła ją plątanina syczących błękitnobiałych nitek. One, lub też ona sama, pchnęły ją o półtora jarda naprzód. Zszokowana, dosłownie na wpół przytomna, omal nie upadła.

- Niechże się pani trzyma na nogach - powiedział szorstko. Oprzytomniała chwytając oddech. Cofnął się o krok. - Proszę wejść na deskę. Prędko.

Posłuchała go, zrobiła dwa kroki, zostawiając dwa małe ogniste ślady stóp. Zachwiała się na desce. Jej włosy zaczęły się poruszać.

- Co się ze mną dzieje? - krzyknęła.

- Wszystko w porządku - pocieszył ją.

Podszedł do stołu i włączył generator akustyczny, który zawył nisko w przedziale 100300 Hz. Wzmocnił siłę głosu i pokręcił regulatorem wysokości tonu. Gdy wycie przeszło w wyższą tonację, jej złotorude włosy zaczęły się wić, każdy włoszek szaleńczo usiłował odizolować się od pozostałych. Wzmocnił dźwięk do około 10 KHz, następnie zjechał do niesłyszalnych, wbrujących w brzuchu 11 Hz. Przy ekstremach włosy opadały, a około 1100 Hz stawały dęba, jota w jotę jak u stracha na wróble. Czują to wyraźnie.

Ustawił dźwięk na mniej więcej znośnym poziomie i wziął elektroskop. Zbliżył się do niej uśmiechnięty.

- Jest pani elektroskopem, wie pani o tym? Jak również żywym generatorem Van de Graaffa. I strachem na wróble.

- Proszę pozwolić mi zejść - wykrztusiła.

- Jeszcze nie teraz. Niech się pani nie rusza. Różnica potencjałów pomiędzy panlą a Innymi przedmiotami jest tak duża, że jeśli znajdzie się pani w pobliżu czegokolwiek, nastąpi wyładowanie. Nie wyrządź! to pani krzywdy, ponieważ nie jest to prąd elektryczny, ale mogłaby się pani nieco poparzyć i doznać szoku nerwowego. - Wyciągnął elektroskop. Nawet z tej odległości, nawet w swym przerażeniu, dostrzegła, że złote listki są rozchylone. Obszedł ją dokoła, obserwując uważnie listki, przysuwając i odsuwając przyrząd, manipulując nim z obu stron. W pewnej chwili podszedł do generatora i zniżył nieco dźwięk. - Emituje pani tak silne pole, że nie mogę wychwycić odchyłeń - wyjaśnił i znów podszedł do niej, tym razem nieco bliżej.

- Już nie mogę dłużej... Nie mogę... - szeptała. Nie słyszał jej lub też nie chciał słyszeć. Zbliżył elektroskop do jej brzucha, potem wyżej, od boku do boku.

- Hop. Tu jesteś - powiedział wesoło, zbliżając przyrząd do jej prawej piersi.

- Co? - zaskowyczała.

- Pani rak. Prawa pierś, nisko, bliżej pachy. - Gwizdnął. - Średniej wielkości. Złośliwy jak diabli.

Zachwiała się i osunęła na ziemię. Ogarnęła ją czarna ciemność, potem cofnęła się gwałtownie w błysku oślepiającej błękitnawej bieli, by znów runąć na nią jak waląca się góra.

Miejsce, gdzie ściana styka się z sufitem. Obca ściana, obcy sufit. Nieznane. Nieważne.

Wszystko jedno. Spać.

Miejsce, gdzie ściana stykała się z sufitem. Jakaś przeszkoda. Jego twarz, blisko, ściągnięta, zmęczona - oczy czujne, uparte, przenfne/iwe. Nieważne. Wszystko jedno.

Spać.

Miejsce, gdzie ściana styka się z sufitem. Nieco niżej promień zachodzącego słońca. Nieco wyżej - rdzawozłotawe chryzantemy w zfotozielonym naczyniu. Znów jakaś przeszkoda - jego twarz.

- Słyszysz mnie pani?

Tak, ale nie odpowiadać. Nie poruszać się. Nie mówić.

Spać.

Pokój, ściana, stół, chodzący tam i z powrotem mężczyzna - okno, za nim noc. Chryzantemy, o których można by pomyśleć, że są żywe. pojmujesz jednak, że zostały ścięte i umierają.

Czy wiedza o tym?

- Tak się pani czuje? Natarczywie, natarczywie.

- Pić.

Chłód i łyk czegoś, co wywołuje bolesny zacisk szczęk. Sok grapefruitowy. Przechylna bezwładnie w tył, wsparta na jego ramieniu, w drugiej jego ręce szklanka.

Och, nie, to nie...

- Dziękuję. Bardzo dziękuję...

Spróbuj usiąść. Prześcieradło... moje ubranie!

- Przepraszam - powiedział jakby czytając w jej myślach. - Pewne rzeczy, po prostu kolidowały z rajstopami i sukienka mini. Wszystko wyprane i wysuszone czeka na panią w każdej chwili. Tam.

Brazowa wełna, rajstopy i buty na krześle, Pełen szacunku, cofa się, stawia szklankę obok samotnej karafki na nocnym stoliku.

- Jakie rzeczy?

- Torsje. Basen - wyjaśnił otwarcie. Chroniona prześcieradłem, które może ukryć ciało, ale nie zażenowanie.

- Och, tak mi przykro. Och, musiałam... Potrząsa głową, jego sylwetka kofysze się przed oczami.

- Doznała pani szoku, który jeszcze trwa. Zawahał się. Po raz pierwszy spostrzegła u niego wahanie. Teraz ona prawie odczytywała cudze myśli. Czy powinienem Jej o tym powiedzieć? Jasne, że powinien, i zrobił to.

- Nie chciała pani wyjść z szoku.

- Wszystko uleciało mi z pamięci.

- Grusza, elektroskop. Zastrzyk, reakcja elektrostatyczna.

- Nie - powiedziała nie pamiętając. Potem, przypomniawszy sobie: - Nie!

- Niech się pani weźmie w garść - rzekł ostro, poczym zobaczyła go przy łóżku, nad sobą, poczuta twardy uchwyt rąk na policzkach. - Niech się pani znów nie wymyka. Może pani sobie z tym poradzić. Może pani, gdyż teraz wszystko jest już w porządku, jasne? Wszystko dobrze.

- Powiedział mi pan, że mam raka. W jej głosie był wyrzut, oskarżenie. Roześmiał się, szczerze się roześmiał.

- To pani twierdziła, że go ma.

- Ale ja nie byłam pewna.

- To wyjaśnia wszystko - wymówił, jakby uwalniając się od wielkiego ciężaru. - Mój zabieg w żadnym razie nie mógł spowodować trzydniowego szoku. To musiało być coś tkwiącego w pani.

- Trzy dni!

Potwierdził skinieniem głowy.

- Staję się nieco pompacyjny - rzekł ujmująco. - To wynik tego, że tak często miewam rację. Byłem nawet za bardzo pewny siebie, prawda? Wtedy, gdy założyłem, że była pani u lekarza lub nawet miała przeprowadzono biopsję? Tymczasem pani się jej nie poddała, tak?

- Bałam się - wyznała. Podniosła na niego oczy. - Moja matka zmarła na tę chorobę, ciotka również, siostra przeszła amputację piersi. To było za wiele. Więc kiedy pan...

- Kiedy stwierdziłem to, o czym pani wiedziała, ale czego za nic nie chciała usłyszeć - nie była pani w stanie tego znieść. Zbladła pani jak papier. Zemdlała, i nie miało to nic wspólnego z siedemdziesięcioma kilkoma tysiącami volt'prądu stałego, które przez panią przepływały. Zdażyłem panią chwycić w ostatniej chwili. - Rozłożył ręce pokazując okropne czerwone oparzeliny na obu muskularnych ramionach, widoczne spod krótkiego rękawa koszuli. - Mnie też prawie znokautowało - uśmiechnął się. - Ale przynajmniej pani nie rozbiła sobie głowy.

- Dziękuję - powiedziała machinalnie i rozplakała się. - Co ja mam robić?

- Co? Wrócić do domu i pozbierać do kupy swoje życie.

- Ale pan stwierdził...

- Kiedyż wreszcie dotrze do pani, że to, co zrobiłem nie było wyłącznie diagnozą?

- Czy pan... czyżby... czy te słowa mają oznaczać, że pan mnie z tego wyleczył?

- Oznaczają, że właśnie w tej chwili pani leczy się z tego sama. Wyjaśniałem to już wcześniej.

Pamięta pani?

- Pamiętam, ale nie wszystko. - Ukradkiem (nie na tyle jednak, by tego nie spostrzegł) pomacała pierś pod prześcieradłem. - On wciąż tam jest.

- Jeżeli zdzieję panią kijem w głowę - powiedział z nieco przesadną brutalnością - wyrośnie na niej guz. Będzie tam jutro, pojutrze. Ale już po dwóch dniach zacznie się rozchodzić. Po tygodniu będzie jeszcze wyczuwalny, potem całkiem zniknie. To samo w tym przypadku.

Dopiero teraz pojęła ogromną doniosłość tego faktu.

- Jeden zabieg leczący raka...

- O Boże! - rzuciła cierpko. - Widzę już, że znów będę musiała wysłuchać tyrady. Ani myślę!

- Jakiej tyrady?

- No tej o moim obowiązku wobec ludzkości. Ma ona zazwyczaj dwie fazy oraz liczne wersje. Faza pierwsza dotyczy mojego obowiązku wobec ludzkości i w gruncie rzeczy sprowadza się do faktu, że mogę na tym zbić majątek. Faza druga dotyczy wyłącznie mojego obowiązku wobec ludzkości i tej nie słyszę za często. Pomija ona całkowicie niechęć, jaką ludzkość przejawia wobec akceptowania rzeczy dobrych, o ile nie wypływają one z uznanych i godnych szacunku źródeł. Faza pierwsza jest całkowicie tego świadoma, lecz szuka sposobu obejścia przeszkód.

- Ja nie... - zaczęła, ale przerwał jej:

- Wspomnianym wersjom towarzyszy blask objawienia wypływającego z wiary lub mistycyzmu. Albo też przybiera kształt etyczno-filozoficzny, aby mnie zmusić do ustępstwa, budząc poczucie winy uzupełnione w pewnej mierze litością.

- Ależ ja tylko...

- Pani - rzekł mierzając w nią długim palcem - obrabowała samą siebie z najlepszego przykładu na to wszystko, o czym właśnie mówiłem. Jeśli moje założenia były słuszne - poszła pani do jakiegoś kanowata, on zaś stwierdziwszy raka odesłał panią do specjalisty, ten uczynił podobnie odsyłając panią do kolegi na konsultację, następnie ogarnięta paniką trafiła pani w moje ręce i została wyleczona - czy wie pani, jaka byłaby ich reakcja, gdyby pani teraz wróciła i zrelacjonowała im ten cud? „Samoczynna remisja” - oto, co by powiedzieli. Nie tylko zresztą lekarze - ciągnął z gwałtownym nawrotem gniewu, aż zadrżała pod prześcieradłem. - Każda pliszka swój ogon chwali.

Pani dietetyk z uznaniem pokiwałby głową nad swoimi kielkami pszenicy czy też makrobiotycznymi ciasteczkami ryżowymi, ksiądz upadłby na kolana i wznosił oczy w niebo, a genetyk wygłosiłby swą ulubioną teorię o przeskoku pokoleniowym i zapewniłby panią, że u jej dziadków nastąpiła taka sama remisja, tylko że nic o tym nie wiedzieli.

- Proszę!... - wykrzyknęła, ale nie dał jej dojść do głosu.

- Wie pani, kim jestem? Podwójnym inżynierem - mechanikiem i elektrykiem - mam również dyplom prawnika. Gdyby pani była na tyle głupia, żeby powiedzieć komukolwiek o tym, co tu zaszło (spodziewam się jednak, że jest inaczej, a gdybym się mylił, wiem, jak się bronić), zapewne by mnie wsadzili za praktykę lekarską bez uprawnień. Mogłaby pani oskarżyć mnie o akt przemocy, ponieważ wbiłem igłę w pani ciało, a nawet o kidnaping, jeśli udałoby się pani dowieść, że przenieśliem ją tu z laboratorium. Nikt by nie uwierzył, że wyleczyłem raka. Nie wie pani, kim jestem, prawda?

- Nie, nie znam nawet pańskiego nazwiska.

- I nie zdradzę go pani. Ja też nie wiem, jak się pani nazywa...

- Och, nazywam się...

- Proszę mi nie mówić!. Proszę nie mówić! Nie chcę tego słyszeć! Chciałem się zająć pani guzem, więc się zająłem. A teraz chcę, aby pani odeszła z nim razem, jak tylko będzie pani mogła. Czy wyraziłem się dostatecznie jasno?

- Niech pan pozwoli mi się ubrać - powiedziała sztywno - i odejdę natychmiast.

- Bez tyrady?

- Bez. - Gniew jej przerodził się nagle w żal. Dodała:

- Zamierzałam tylko wyrazić panu swoją wdzięczność. Czy to nie byfoby na miejscu?

Jego żal również msnęła, zbliżył się do łóżka, przykucnął tak, że ich twarze znalazły się na wprost siebie i powiedział łagodnie;

- Owszem, to ładnie z pani strony. Aczkolwiek za jakieś dziesięć dni skończy się ta wdzięczność, gdy wzmówią pani „samoczynną remisję”, albo też za pół roku, rok, dwa czy pięć, gdy badania będą stale dawały wynik ujemny.

Wyczuła w tych słowach taki ogrom smutku, że mimo woli dotknęła jego ręki, którą przytrzymał się krawędzi łóżka. Nie cofnął jej, ale też nie widać było, aby ten gest sprawił mu przyjemność.

- Czemu nie wolno rrrf teraz okazać wdzięczności?

- Byłby to akt wiary - odparł cierpko - a te się już nie zdarzajci, jeśli w ogóle kiedykolwiek się zdarzały. - Podniósł się i skierował do drzwi, - Proszę nie odchodzić dziś wieczorem. Jest ciemno, a pani nie zna drogi. Zobaczymy się rano.

Rano zastał drzwi otwarte. Łóżko było zasłane, prześcieradła, poszewki i ręczniki, których używała, starannie złożone na krześle.

Dziewczyno zniknęła.

Wyszedł na mały dziedziniec i pogrążył się w kontemplacji bonsai.

Wczesne słońce złociło górna, poziomą warstwę listowia starego drzewa, nadając powyginanym konarom wyrazistość brązowoszarej rytej w aksamicie płaskorzeźby. Tylko współtowarzysz bonsai w pełni rozumie istniejącą między nimi zależność (są również właściciele bonsai, ale to niższa rasa). Drzewo ma własną osobowość, ponieważ jest istotą żyjącą, a wszystko, co żyje, zmienia się - pragnie się jednak zmieniać w sposób zgodny ze swym życzeniem. Człowiek widzi drzewo, w jego umyśle powstaje wyobrażenie przyszłego kształtu tego drzewa i człowiek zaczyna ową koncepcję realizować. Drzewo natomiast robi tylko to, co może zrobić, i raczej zginie, niż zrobi coś, czego drzewa nie robią, lub zrobi w czasie krótszym, niż drzewa tego wymagają. Stąd też kształtowanie bonsai zawsze jest kompromisem i zawsze współpracą. Człowiek nie jest w stanie sam stworzyć

bonsai, samo drzewo też nie jest w stanie tego zrobić. Musi się to odbywać na zasadzie współdziałania i zrozumienia. To wymaga długiego czasu. Człowiek zna swe bonsai na pamięć - każdą gałązkę, każde pęknięcie, każdą igielkę - i często w bezsennej noc lub w wolnej chwili o tysiące mil od domu przypomina sobie tę czy ową linię albo całość, robi dalsze plany. Za pomocą drutu, wody, światła, przykrywając płachtą, sadząc zielska zabierające wodę oraz grube poszycie osłaniające korzenie, człowiek tłumaczy drzewu, czego od niego chce. Jeśli wskazówki są wystarczająco jasne, drzewo zareaguje i będzie posłuszne. Prawie.

Albowiem zawsze będą istniały pewne ściśle indywidualne odchylenia wynikające z godności własnej: „Zgo da, uczynię, co zechcesz, ale po swojemu”, i zawsze drzewo jest gotowe przedstawić człowiekowi jasne i logiczne wyjaśnienie owych odchyleń, najczęściej (niemal z uśmiechem) uświadomi mu, że postępując z głębszym wycuciem, mógłby ich uniknąć.

Jest to najpowolniejsza rzeźba na świecie i niekiedy powstaje wątpliwość, kto tu właściwie jest rzeźbiarzem - człowiek czy drzewo.

Stał tak może dziesięć minut obserwując ztote odbłaski na górnych gałęziach, następnie podszedłszy do drewnianej rzeźbionej skrzyni wyciągnął z niej zniszczoną drelichową płachtę. Otworzył szklaną ścianę atrium i rozpostarł płótno na korzeniach oraz na ziemi z jednej strony pnia, drugą pozostawiając wolną dla wiatru i wilgoci. Może za jakiś czas - miesiąc lub dwa - któryś z pędów pnących się ku górze pojmie tę wskazówkę i nierówny przepływ wilgoci przez warstwę miazgi wytrąci go z tego dążenia i przekona, by kontynuował swój bieg horyzontalnie. A może nie - wówczas trzeba będzie użyć drastyczniejszych argumentów, bandaży, drutu. Niewykluczone, że i wtedy drzewo będzie miało coś do powiedzenia na temat słuszności dążenia w górę, że uczyni to w sposób tak przekonujący, iż człowiek odstąpi od swego zamiaru - znaczący, cierpliwy i uwieczony nagrodą dialog.

- Dzień dobry.

- Tam do licha! - warknął. - Przez panią o mało nie odgryzłem sobie języka. Myślałem, że pani odeszła.

- Bo tak było. - Klęczała w cieniu pod ścianą, zwrócona twarzą do atrium. - Zatrzymałam się jednak, aby pobycć przez chwilę z tym drzewem.

- No i co?

- Dużo myślałam.

- O czym?

- O panu.

- Teraz?

- Niech pan posłucha - zaczęła stanowczym tonem. - Nie pójdę do żadnego lekarza, na żadne badania. Nie chciałam odejść, dopóki panu tego nie powiem i nie upewnię?ię, że pan mi wierzy.

- Chodźmy coś zjeść. Zachichotała niemądrze.

- Nie mogę. Nogi mi ścierpły.

- Niewiele myśląc wziął ją na ręce i unióśł przez atrium.

Obejmując go za szyję, z twarzą przy jego twarzy, zapytała; - Wierzy mi pan?

Nie zwolnił kroku i dopiero znalazłszy się w pobliżu drewnianej skrzyni, przystanął i spojrzał jej w oczy.

- Wierzę. Nie wiem, czemu pani podjęła taką decyzję, ale gotów jestem uwierzyć.

Posadził ją na skrzyni i odsunął się nieco.

- To jest akt wiary, o którym pan wspominał - rzekła poważnie. - Sądziłam, że należy się on panu przynajmniej raz w życiu, aby pan już nigdy nie mógł, powtórzyć tego, co pan powiedział. - Ostrożnie

postukała piętami o kamienną posadzkę. - Au! - Skrzywiła się boleśnie. - Piekielne ciarki!

- Musiała pani dość długo rozmyślać.

- Owszem. Powiedzieć więcej?

- Jasne.

- Jest pan zacietrzewiony i boi się pan. Sprawiał wrażenie zachwyconego.

- Niech mi pani to wszystko opowie.

- Nie - odrzekła spokojnie. - Niech pan mi opowie. Traktuję to bardzo poważnie. Czemu jest pan taki gniewny?

- Nie jestem.

- Czemu jest pan taki gniewny?

- Powtarzam pani, że nie jestem. Chociaż - dodał dobrodusznie - robi pani wszystko, abym był.

- Jeszcze raz pytam: czemu?

Przypatrywał się jej bardzo - jak się zdawało - długo.

- Naprawdę chce pani wiedzieć? Skinęła głową. Zatoczył ręką dokoła.

- Jak pani myśli, skąd się to wszystko wzięło - ten dom, ziemia, aparatura?

Patrzyła na niego wyczekująco.

- System wydalania spalin. - W jego głosie zabrzmiała chrypliwa nuta, którą już zdążyła poznać. -

Odprowadza się je z silnika wprawiając w ruch wirowy. Nie spalone cząsteczki stałe odkładają się na ściankach tłumika w warstwie waty szklanej, którą można wyjąć i zastąpić świeżą po przejechaniu kilku tysięcy mil. Reszta wydechu zapalana jest przez świecę zapłonową i w ten sposób spala się to, co może być spalone. Ciepło zużywa się do podgrzewania paliwa. Pozostałość znów ruchem wirowym osadza się w ładunku waty wystarczającym na przebieg pięciu tysięcy mil. To, co ostatecznie uchodzi na zewnątrz jest - w każdym razie przy dzisiejszych normach - prawie oczyszczone. A dzięki podgrzewaniu uzyskuje się większa wydajność silnika.

- A więc zarobił pan na tym masę pieniędzy.

- Tak, zarobiłem masę pieniędzy - powtórzył. - Ale wcale nie dlatego, że mój wynalazek posłużył ochronie środowiska. Kupiła go firma samochodowa, aby na cztery spusty zamknąć w sejfie. Nie przypadł im do gustu, gdyż zainstalowanie go w nowych samochodach pociągnęłoby za sobą pewne koszty. A ponieważ zwiększa wydajność paliwa, nie podobał się również ich niektórym przyjaciółom z przemysłu rafineryjnego. Cóż, trudno - człowiek uczy się na własnych błędach, nigdy więcej już takiego błędu nie popełnię. Ale ma pani rację - jestem człowiekiem gniewnym. Byłem gniewny wówczas, gdy jako młody chłopiec służyłem na tankowcu i kazano nam wyszorować grodziec za pomocą szarego mydła i ścierki. Zszedłem na brzeg, kupiłem detergent, który okazał się lepszy, szybciej działający i tańszy, więc pokazałem go bosmanowi i dostałem w pysk za to, że chcę być mądrzejszy. Był wprawdzie wówczas pijany, najgorsze jednak przyszło później, gdy załoga, stare wilki morskie, sprzymierzyła się przeciwko mnie i nazwała „kapusiem”, co na statku jest najbardziej obraźliwym epitetem. Nie mieściło mi się w głowie, czemu ludzie tak uparcie bronią się przed postępem.

Walczyłem z tym przez całe życie. Mam w mózgu jakiś mechanizm, który nigdy się nie wyłącza, zmuszając mnie do zadawania kolejnych pytań: Dlaczego jest tak i tak? A dlaczego nie miałyby być tak i siak? Każda sytuacja stwarza możliwość dalszych dociekań - i nie powinno się w tym dążeniu ustawać, zwłaszcza gdy człowiek pragnie odpowiedzi, ponieważ każde pytanie przynosi kolejną odpowiedź. A dzisiejsi ludzie po prostu nie chcą zadać następnego pytania.

Dostałem kupę forsy za rzeczy, które w ogóle nie będą służyć ludziom i jeżeli miota mną pasja, to wyłącznie moja wina, przyznaję, bowiem nie mogę się powstrzymać od stawiania dalszych pytań i

szukania odpowiedzi. W tym laboratorium znajduje się pot tuzina prawdziwie rewelacyjnych wynalazków, a drugie pół setki - w mojej głowie. Ale czegoż można dokonać w świecie, w którym ludzie raczej się wymordują wzajemnie na pustyni, nawet gdy się im udowodni, że może się ona zamienić w kwitnącą oazę zieloności, w którym miliony płyną na odkrywanie i zagospodarowywanie pól naftowych, mimo tysiącznych argumentów na to, że paliwa kopalne przyniosą nam wszystkim zglądę.

Tak, jestem gniewny. Czy nie mam powodów? Pozwoliła, by echo jego słów rozeszło się po dziedzińcu i uleciało przez górny otwór atrium, odczekała jeszcze chwilę, aż uświadomi sobie, że jest tu z nią, a nie sam ze swoją furją. Uśmiechnął się przeprasząco, gdy to do niego dotarło.

- A może - odezwała się - stawia pań pytanie formułując je w niewłaściwy sposób. Przypuszczam, że ludzie żyjący zgodnie ze starymi maksymami usiłują nie myśleć, znam jednak maksymę wyjątkowo godną uwagi: „Jeśli zadajesz pytanie we właściwy sposób, już otrzymałeś na nie odpowiedź”. - Przerwała, by sprawdzić, czy słucha jej uważnie. Słuchał. Mówiła więc dalej: - Chodzi mi o to, że położywszy rękę na rozpalonym żelazie mógłby pan zadać sobie pytanie: „Co zrobić, by się nie spaliła?” Odpowiedź jest oczywista, prawda? Jeśli świat stale odrzuca to, co pan ma mu do zaoferowania - istnieje pewien sposób zapytania „dlaczego?”, zawierający odpowiedź.

- Odpowiedź jest prosta - rzekł krótko. - Ludzie są głupi.

- To nie jest właściwa odpowiedź i pan doskonale o tym wie.

- A jak brzmi właściwa?

- Tego nie mogę panu powiedzieć! Wiem tylko, że w przypadku ludzi ważniejszy jest sposób, w jaki się coś robi niż to, co się robi. Jeśli chce pan osiągnąć rezultaty. Przecież wie pan już, jak postępować z bonsai, by zrealizować swoją koncepcję, prawda?

- Niech to diabli!

- Ludzie są również istotami żyjącymi, rozwijającymi się. Nie mam nawet jednej setnej pańskiego doświadczenia, jeśli chodzi o bonsai, ale jestem pewna, że gdy pan przystępuje do ich kształtowania, nieczęsto bywają to drzewka zdrowe, proste, silne. I właśnie z tych cherlawych, powykręcanych mogą powstać w przyszłości najpiękniejsze. Niech pan o tym pamięta zabierając się do kształtowania ludzkości.

- Wszystko to... Nie wiem, czy roześmiać się pani w nos, czy zdzielić pięścią.

Podniosła się. Nie zdawał sobie sprawy, że jest tak wysoka.

- Lepiej już pójdę.

- Nie, proszę mówić dalej. To była tylko przenośnia.

- Och, wcale się nie przestraszyłam. Lepiej jednak będzie, gdy sobie pójdę.

- Boi się pani zadać następne pytanie? - spytał odgadując jej myśli.

- Okropnie.

- Mimo wszystko proszę je zadać.

- Nie.

- Wobec tego zrobię to za panią. Orzekła pani, że jestem gniewny - i pełen lęku. Chce pani wiedzieć, co mnie napawa lękiem?

- Tak.

- Pani. Śmiertelnie boję się pani.

- Doprawdy?

- Ma pani w sobie coś prowokującego do szczerości - wyznał z trudem. - Wiem, co pani w tej chwili myśli: on się boi bliskiego kontaktu z drugim człowiekiem. Boi się wszystkiego, z czym się nie upora za pomocą śrubokrętu, spektroskopu mas czy tabeli cosinusów i tangensów. Nie umie sobie z

tym poradzić.

Ton jego był żartobliwy, ale ręce mu drżały.

- Poradzi pan sobie z tym podlewając jedną stroną - powiedziała miękko - lub wystawiając ją ku słońcu. Niech pan się z tym obchodzi tak, jak gdyby to była istota żyjąca, kobieta czy bonsai, l.stanie się to tym, czym pan chce, aby się stało, jeśli pozwoli mu pan być sobą, poświęci pan dla niego swój czas i starania.

- Sądzę, że jest to z pani strony rodzaj oferty. Dlaczego?

- Gdy tam siedziałam przez niemal całą noc - powiedziała - nawiedziła mnie szaleńcza wizja. Jak pan myśli, czy zdarzyło się kiedykolwiek, aby dwa cherlawe, powykręcane drzewa ukształtowały z siebie wzajemnie bonsai?

- Jak masz na imię? - zapytał.

William Tenn Bernie Faust

Ricardo przezwiał mnie „Bernie Faust”, a ja sam nie wiem, kim jestem.

Było tak: siedzę w swoim kantorku sześć na dziewięć i czytam ogłoszenia o wyprzedaży przecenionych towarów z nadwyżek rządowych. Usiłuję wyczytać z nich, gdzie pachnie forszą, o gdzie można znaleźć same kłopoty.

Nagle otwierają się drzwi i kogo widzę? Mały, umorusany facet w brudnym, niemożliwie wygniecionym letnim garniturku. Wchodzi, pokastuje i mówi:

- Nie kupiłby pan dwudziestki za piątkę? Zmierzyłem go wzrokiem i mówię. - Co?

Przestąpił z nogi na nogę i znowu sobie pokastał. - Dwadzieścia - mruknął - dam dwadzieścia za piątkę.

Pod moim spojrzeniem spuścił oczy na swoje buty. Miał okropne, podarte buty, okropne i brudne jak cała reszta. - Ja dam panu dwadzieścia - mówił do tych swoich butów - i kupię za to od pana pięć. Ja wyjdę z piątką, a pan zostanie z dwudziestką.

- Jak pan tu wszedł?

- Zwyczajnie - powiedział nieco zbity z tropu.

- „Zwyczajnie” - powtórzyłem przedrzeźniając jego ton. - To niech pan czym prędzej zejdzie po schodach na dół i wynosi się do diabła. W hallu jest napis *Żebrakom wstęp wzbroniony*.

- Ja nie żebrzę - obciągnął na sobie marynarkę. Było to tak, jakby ktoś chciał wygładzić piżamę po przespanej nocy. - Chcę panu coś sprzedać. Dwadzieścia za pięć. Ja dam panu...

- Chce pan, żebym wezwał policjanta?

Wyglądało, że się przestraszył. - Dlaczego miałby pan wzywać policjanta? Czy ja zrobiłem coś takiego, żeby wzywać policjanta?

- Ostrzegam pana, że zaraz zadzwonię na dół i policjant będzie tu w jednej chwili. W tym budynku nie życzą sobie żebraków. W tym budynku robi się interesy.

Przejechał dłonią po twarzy ścierając nieco brudu, potem otarł rękę o klapę marynarki, na której został cały brud. - Więc nie reflektuje pan? - spytał. - Dwadzieścia za pięć? Przecież pan kupuje i sprzedaje. Czy ja proponuję panu zły interes?

Podniosłem słuchawkę.

- W porządku - powiedział unosząc umazaną dłoń. - Już idę.

- Bardzo słusznie. I niech pan zamknie za sobą drzwi.

- W razie, gdyby się pan rozmyślił. - Zapуścił rękę w kieszeń swoich brudnych, pogniecionych spodni i wydobyl wizytówkę. - Może mnie pan znaleźć pod tym adresem. Prawie o każdej porze dnia.

- Spływaj pan - powiedziałem.

Wyciągnął rękę, upuścił wizytówkę na biurko, na stos ogłoszeń o nadwyżkach, kaszlnął ze dwa razy, spojrział, żeby się upewnić, czy nie chwytam przynęty. Nie? Nie. I poszedł sobie.

Wziąłem wizytówkę w dwa palce, żeby ją wyrzucić do kosza.

I zatrzymałem się. Wizytówka, Było w tym coś diabła dziwnego - taki oberwaniec i wizytówka. Wizytówka.

Właściwie cały jego numer był niezwykły. Teraz trochę żałowałem, że nie pozwoliłem mu rozegrać sprawy do końca. Ostatecznie proponował mi tylko niecodzienną formę rabatu. Dobry rabat nie jest zły. Prowadzę mały interes, kupuję i sprzedaję, ale połowa moich aktywów to dobre pomysły. Pomysły pożyczam nawet od włóczęgów.

Wizytówka była czysta i biała poza brązową plamą pozostawioną przez jego palce. Widniały na

niej wypisane ozdobnymi literami słowa Mr Ogo Eksar. Poniżej była nazwa i telefon hotelu w okolicy Times Square, niedaleko mojego biura. Znałem ten hotel: niedrogi, ale i nie jakaś nora - coś tuż poniżej średniej.

W rogu wizytówki był numer pokoju. Patrzyłem na ten numer i poczułem się jakoś dziwnie. Sam już nie wiedziałem.

Chociaż, jak się zastanowić, dlaczego żebrak nie mógłby zameldować się w hotelu? „Bernie, nie bądź snobem” - powiedziałem sobie.

Dwadzieścia za pięć. Jaki żebracki trick krył się za tym wstępem? Zabił mi porządnego ćwieka!

Było tylko jedno wyjście. Spytać kogoś. Ricardo? Ważny profesor z college'u. Jedna z moich najlepszych znajomości.

Wiele mu zawdzięczałem - cynk o projekcie rozbudowy college'u wart lekką rączką półtora tysiąca, wyprzedaż mebli biurowych z ONZ, rzeczy w tym rodzaju. Prócz tego ilekroć miałem pytania wymagające wyższego wykształcenia, Ricardo był jak znalazł.

Spojrzałem na zegarek. Ricardo powinien być teraz na uczelni i poprawiać prace, lub coś w tym rodzaju. Wykręciłem jego numer.

- Ogo Eksar? - powtórzył po mnie. - Nazwisko jakby fińskie. Albo estońskie. Znad wschodniego Bałtyku, powiedziałbym.

- Daj sobie z tym spokój - przerwałem mu. - Chodzi mi o coś innego. - I opowiedziałem o ofercie dwudziestu dolarów za pięć.

- Znów ten stary kawał! - roześmiał się.

- Czy to jakiś starożytny szwindel, który Grecy wycięli Egipcjanom?

- Nie. To pomysł amerykański, i nie ma tu żadnego oszustwa. Podczas kryzysu jedna z nowojorskich gazet wysłała reportera, który chodził po mieście z dwudziestodolarówką i proponował ją za jednego dolara. Nie było chętnych. Wniosek był taki, że nawet ludzie bez pracy i głodni tak boją się wyjść na frajerów, że gotowi są odrzucić łatwy zysk w wysokości tysiąca dziewięciuset procent.

- Dwadzieścia za jeden? U mnie było dwadzieścia za pięć.

- Sam wiesz, Bernie, inflacja - powiedział ze śmiechem. - I w naszych czasach chodzi zapewne o program telewizyjny.

- Telewizja? Szkoda, że nie widziałeś, jak ten facet był ubrany!

- Po prostu dodatkowy, logiczny chwyt, żeby ludzie nie traktowali propozycji poważnie. Socjologowie robią podobne rzeczy. Kilka lat temu grupa badaczy sprawdzała reakcję publiczności na Uliczne kwesty na cele charytatywne. Wiesz, chodzą tacy po ulicach z puszkami: Pomóż dwugłowym dzieciom! Zbiórka na powodzian z Atlantydy! Więc poprzebierali studentów...

- Myślisz, że ten mój facet to było coś z tych rzeczy?

- Myślę, że to wielce prawdopodobne. Nie wiem tylko. po co zostawił ci wizytówkę.

- Teraz mogę się domyślić po co. Jeżeli to jest jakaś sztuczka telewizji, to musi się z tym wiązać wiele innych rzeczy. Jakiś program z nagrodami rzeczowymi: lodówki, samochody, zamek w Szkocji, wszelkiego rodzaju łupy.

- Program z nagrodami? Tak, to możliwe.

Odłożyłem słuchawkę, wziąłem głęboki wdech i zadzwoniłem do hotelu. Eksar był tam rzeczywiście na liście gości i właśnie wrócił do siebie.

Zjechałem czym prędzej na dół i złapałem taksówkę. Kto wie, z kim jeszcze rozmawiał do tego czasu?

W windzie przez cały czas myślałem, jak przejść od dwudziestu dolarów do naprawdę tłustych

kąsków, do telewizyjnych nagród nie zdradzając się przed Eksarem, że wiem, co jest grane. Jakoś tam będzie. Może on mi to sam ułatwi.

Zapukałem do drzwi. Powiedział „proszę” i wszedłem. Początkowo nic nie widziałem.

Pokój był mały. Jak wszystkie w tym hotelu, mały, ciasny i cuchnący. Eksar nie zapalił światła i opuścił żaluzje.

Kiedy już moje oczy przystosowały się do ciemności, zobaczyłem Ogo Eksara. Siedział na łóżku od mojej strony. Nadal miał na sobie ten kretyński, jak psu z gardła wyjęty letni garnitur.

I co robił? Oglądał program na śmiesznym, małym, tranzystorowym telewizorku, który stał na biurku. Kolorowy, ale rozregulowany. Żadnych twarzy, żadnych obrazów, nic tylko pulsujące kolory. Czerwona plama, pomarańczowa plama i ruchliwa rama z błękitu, zieleni i czerni. Słychać było głos, ale słowa też nie dawały się rozróżnić, jakieś „Wahwah. de wah, de wah”.

- Tak - powiedział. - Za dużo zakłóceń. - Wyłączył telewizor i odstawił go. Żałowałem, że nie widziałem, kiedy działa normalnie.

Dziwna sprawa. Spodziewałem się zapachu alkoholu. Spodziewałem się kilku pustych butelek w koszu na odpadki. A tu ani śladu.

Jedyne zapachu, jaki utrzymywał się w pokoju, nie potrafiłem rozpoznać. Chyba był to skoncentrowany zapach samego Eksara.

- Cześć - powiedziałem czując się nieco niezręcznie, ze względu na sposób, w jaki go potraktowałem u siebie w biurze.

Nie wstał z łóżka. - Ja mam dwudziestkę - powiedział. - A pan ma piątkę?

- Tak, myślę, że znajdę - powiedziałem grzebiąc w portfelu i starając się utrzymać ton żartobliwy. Eksar nie odezwał się słowem, nie zaprosił mnie, żebym usiadł. Wyjąłem banknot. - W porządku?

Pochylił się i spojrzał, jakby mógł coś w tych ciemnościach zobaczyć. - W porządku - powiedział. - Ale potrzebne mi jest pokwitowanie. Potwierdzone.

„E, co tam - pomyślałem. - Pokwitowanie to pokwitowanie”. - W takim razie musimy zjechać na dół. Na Czterdziestej Piątej jest drogeria.

- Chodźmy - powiedział i wstał pokasłując czterokrotnie w równych odstępach czasu.

Po drodze wstąpiłem do sklepu papierniczego i kupiłem kwitariusz. Kwit wypisałem na miejscu. Nowy Jork, data. Otrzymałem od Mr Ogo Eksara sumę dwudziestu dolarów w zamian za banknot pięciodolarowy numer...

- Czy to pana urządza? - spytałem. - Wpisuję numer, żeby wyglądało, że chciał pan kupić ten konkretny banknot.

Odwrócił głowę i przeczytał pokwitowanie. Potem sprawdził numer na banknocie, który trzymałem w ręku i kiwnął głową.

Musieliśmy poczekać, aż sprzedawca obsłuży kilku kupujących. Kiedy podpisałem kwit, sprzedawca przeczytał go, wzruszył ramionami i podstemplował.

Dałem mu dwa dolary, jako ten, kto zarabia na transakcji.

Eksar położył nowy, chrzęszczący banknot dwudziestodolarowy na ladzie. Obserwował mnie, kiedy oglądałem pieniądze pod światło, z jednej i z drugiej strony.

- Dobry? - spytał.

- Dobry. Rozumie pan: nie znam pana, nie znam pańskich pieniędzy.

- Jasne. Sam bym tak zrobił z nieznajomym. Schował pokwitowanie oraz moje pięć dolarów do kieszeni i skierował się do wyjścia.

- Halo - powiedziałem. - Śpieszy się pan?

- Nie. - Zatrzymał się ze zdziwioną miną. - Nie śpieszę się. Ale dostał pan swoje dwadzieścia

dolarów, tak jak się umówiliśmy. Interes skończony.

- Zgoda, interes skończony. Ale może napije się pan kawy?

Wahał się.

- Ja stawiam - powiedziałem. - Chodźmy, napijemy się kawy.

Zaniepokoił się. - Pan się chce wycofać? Mam pokwitowanie. Potwierdzone. Dałem panu dwadzieścia, a pan mi pięć. Tak jak się umówiliśmy.

- Zgoda, zgoda - powiedziałem popychając go do stolika. - Transakcja podpisana, przypieczętowana, towar dostarczony. Kto się wycofuje? Chcę tylko postawić panu małą kawę.

Twarz rozjaśniła mu się wyraźnie mimo brudu. - Za kawę dziękuję. Dla mnie zupa, zupa pieczarkowa.

- Dobrze, dobrze. Zupa, kawa, co za różnica? Ja wezmę kawę.

Siedziałem i przyglądałem mu się. Zgarbił się nad zupą i wlewał ją do ust, łyżka za łyżką, żywy obraz włóczęgi, który od rana nie miał nic w ustach.

Taki facet powinien leżeć gdzieś w rynsztoku albo awanturować się z wyrzucającym go policjantem, nie zaś mieszkać w przyzwoitym hotelu i jeść przyzwoitą zupę pieczarkową.

Ale to się zgadzało. Telewizja robi program z nagrodami i wynajmuje do rozdawania pieniędzy jakiegoś cholernie dobrego aktora. Faceta, który będzie tak dobrym oberwańcem, że ludzie będą się z niego śmiać, kiedy im zaproponuje korzystną transakcję.

- Chce pan może coś jeszcze kupić? - spytałem go. Zatrzymał łyżkę w połowie drogi i zmierzył mnie podejrzliwym spojrzeniem. - Na przykład co?

- Czy ja wiem? Może chce pan kupić dziesięć za pięćdziesiąt? Albo dwadzieścia za sto?

Zastanowił się przez chwilę i zabrał się z powrotem do zupy. - To żaden interes - powiedział z pogardą. - Co to za interes?

- Najmocniej przepraszam. Pomyślałem sobie tylko, że spytam. Nie przyszło mi go głowy, żeby pana wykorzystać. - Zapaliłem papierosa i czekałem.

Mój przyjaciel z umorusaną twarzą skończył zupę i wytarł usta papierową serwetką.

- Nie chce pan już nic kupić? Jestem tutaj i mam akurat trochę czasu. Jeżeli ma pan coś jeszcze na myśli, to możemy się nad tym zastanowić.

Zgniół serwetkę i wrzucił ją do talerza. Zamokła, bo zjadł grzyby, a zupę zostawił.

- Most przez Złote Wrota - powiedział nagle.

- Co? - Papieros wypadł mi z ręki.

- Most przez Złote Wrota. W San Francisco. Kupię go za... - spojrzał na sufit i myślał przez kilka sekund - powiedzmy za sto dwadzieścia pięć dolarów. Gotówka na stół.

- Dlaczego akurat most przez Złote Wrota? - spytałem jak kretyn.

- Bo ten mi jest potrzebny. Pytał pan, co jeszcze chcę kupić, i to jest właśnie to. Most przez Złote Wrota.

- A most Washingtona pana nie urządza? Jest tutaj, w Nowym Jorku, nad rzeką Hudson. Po co kupować coś aż na Wybrzeżu?

Wyszczrzył zęby, jakby w podziwie dla mego sprytu. - O nie - powiedział poruszając kilkakrotnie lewym ramieniem. - Ja wiem, czego chcę. Most przez Złote Wrota w San Francisco. Sto dwadzieścia pięć. Albo pan sprzedaje, albo nie.

- Sprzedaję. Pan wie lepiej, czego pan potrzebuje. Ale zaznaczam: mogę sprzedać tylko swój udział w moście przez Złote Wrota, toki jak mi zgodnie z prawem przypada.

Kiwnął głową. - Potrzebny mi jest kwit. Proszę to zapisać.

Napisałem pokwitowanie i historia się powtórzyła. Właściciel drogerii uwierzył w kwit,

wrzucił stempel do szuflady pod kontuarem i odwrócił się do nas plecami. Eksar odliczył sześć dwudziestek i jedną piątkę z dużego zwitka szeleszczących nowiutkich banknotów. Resztę schował do kieszeni spodni i znowu skierował się do wyjścia.

- Kawa? - spytałem widząc to. - Może jeszcze zupki?

Odwrócił się z wyrazem zdziwienia i cały się jakby wstrząsnął. - O co chodzi? Co pan chce jeszcze sprzedać?

Wzruszyłem ramionami. - A co pan chce kupić? Niech pan powie. Może zrobimy jeszcze jakiś interes?

Wszystko to zabierało mi kupę czasu, ale nie miałem powodu do skarg. W ciągu piętnastu minut zarobiłem sto czterdzieści dolarów. No, powiedzmy sto trzydzieści sześć po odliczeniu kosztów notarialnych, kawy, zupy - uzasadnione i niewielkie wydatki. Nie uskarżałem się.

Ale wciąż czekałem na wielki numer. Musiał być jakiś wielki numer.

Możliwe oczywiście, że z tym trzeba było wstrzymać się do samego programu. Będą mnie pytać, co myślałem dokonując z Eksarem tych idiotycznych transakcji, ja będę opowiadał i wtedy zaczął dawać lodówki, bony do Tiffany'ego i...

Eksar coś powiedział, kiedy błądziłem myślami po obłokach. Coś, co zabrzmiało cholernie obco. Poprosiłem, żeby powtórzył.

- Morze Azowskie - powiedział. - W Rosji. Dam panu za nie trzysta osiemdziesiąt dolarów.

Pierwsze słyszałem o czymś takim. Wydałem wargi i zastanawiałem się przez chwilę. Dziwna suma - trzysta osiemdziesiąt. I to za całe morze. Spróbowałem coś wytargować.

- Zaokrąglimy do czterystu i będzie po sprawie. Zaniósł się kaszlem i robił wrażenie zirytowanego. - O co chodzi? - mówił wśród kaszlu. - Trzysta osiemdziesiąt dolarów to jest zła cena? To jest małe morze, jedno z najmniejszych. Wszystkiego czternaście tysięcy mil kwadratowych. A wie pan, jaką ma największą głębokość? Zrobiłem mądrą minę. - Wystarczającą.

- Czterdzieści dziewięć stóp! - krzyknął Eksar. - Całego interesu czterdzieści dziewięć stóp. Kto panu da więcej za takie morze?

- Niech się pan uspokoi - powiedziałem poklepując go po brudnym ramieniu. Podzielmy różnicę. Pan daje trzysta osiemdziesiąt, ja chcę czterysta. Dlaczego nie zgodzić się na trzysta dziewięćdziesiąt? Nie zależało mi specjalnie, dziesięć więcej, dziesięć mniej, ale byłem ciekaw, co z tego wyjdzie.

Uspokoił się. - Trzysta dziewięćdziesiąt dolarów za Morze Azowskie - mruzczał sam do siebie nieco urażony, że wychodzi na frajera, że daje się nabierać. - Chcę tylko samo morze. Co innego, gdybym prosił pana o dorzucenie Cieśniny Kerczeńskiej albo na przykład Taganrogu...

- Niech pan posłucha - podniosłem rękę. - Nie jestem z kamienia. Pan mi da trzysta dziewięćdziesiąt, a ja dorzucę Cieśninę Kerczeńską jako premię, i co pan na to?

Rozwagał tę propozycję. Pociągnął nosem i otarł go wierzchem dłoni. - Dobra - powiedział wreszcie. - Zgoda. Morze Azowskie z Cieśniną Kerczeńską za trzysta dziewięćdziesiąt.

Buch i przybił pieczętkę właściciel drogerii. To „buch” było za każdym razem głośniejsze, Eksar wypłacił mi sześć pięćdziesiątek, cztery dwudziestki i dziesiątkę w nowiutkich banknotach z grubej roli, którą trzymał w kieszeni spodni.

Pomyślałem, ile tam jeszcze zostało pięćdziesiątek i poczułem, jak w ustach zbiera mi się ślina.

- W porządku - powiedziałem. - Co teraz?

- Sprzedaje pan dalej?

- Za odpowiednią cenę bardzo chętnie. Co pan potrzebuje.

- Potrzebuję dużo - westchnął - ale czy muszę wszystko kupić teraz? To jest pytanie, na które

muszę sobie odpowiedzieć?

- Teraz ma pan okazję. Czy wiadomo, co będzie później? Może mnie pan nie znajdzie, może inni kupcy będą podbijać ceny - wszystko może się zdarzyć. - Odczekałem chwilę, ale on tylko marszczył się i kaszał. - Może Australia? - zaproponowałem. - Czy nie urządziła Australia, powiedzmy, za pięćset dolarów? Albo Antarktyda? Antarktydę mógłbym odstąpić na bardzo korzystnych warunkach.

Jakby się zainteresował. - Antarktyda? Po co komu Antarktyda? Nie - w ten sposób daleko nie zajadę. Kawałek tu, kawałek tam. Za drogo mnie to kosztuje.

- To są bardzo niskie ceny, panie kolego, i pan o tym dobrze wie. Nie zrobiłby pan lepszego interesu kupując hurtem.

- To może załatwimy to hurtem. Ile chce pan za całość?

- Nie wiem, o co panu chodzi. Za jaka całość? Zniecierpliwiał się. - Za całość. Za świat. Ziemię.

- Ho, ho - powiedziałem. - To rzeczywiście dużo.

- Znudziło mi się kupowanie po kawałku. Czy da mi pan cenę hurtową, jeżeli kupię całość?

Potrząsnąłem głową niezobowiązująco, że to niby nie mówię tak, nie mówię nie. Zbliżała się forsa, wielka forsa. Liczono na to, że w tym miejscu roześmieję mu się w twarz i odejdę. Nawet się nie uśmiechnąłem. - Przy całej planecie ma pan oczywiście prawo do ceny hurtowej. Ale o co chodzi, co dokładnie chce pan kupić?

- Ziemię - powiedział podchodząc tak blisko, że poczułem jego nieświeży oddech. - Chcę kupić Ziemię. Całą.

- To będzie kosztować. W ten sposób wyprzedam się całkowicie.

- Dam dobrą cenę. Zapłacę dwa tysiące dolarów gotówką, ale dostanę całą planetę, z prawami do bogactw mineralnych i ukrytych skarbów. No jak, zgoda?

- To diabelnie dużo.

- Wiem, że dużo - przyznał. - Ale płacę też dużo.

- To nie jest dużo za to, co pan chce kupić. Muszę się zastanowić.

To była wreszcie wielka forsa, wielka nagroda. Nie wiedziałem ile pieniędzy telewizja pozwoliła mu wydać, ale byłem pewien, że dwa tysiące to była tylko wstępna propozycja. Tylko jaka powinna być rozsądna cena za cały świat?

Nie chciałem wyjść w telewizji na drobnego kanciarza. Na pewno kierownik programu określił Eksarowi jakąś sumę maksymalną.

- Naprawdę chce pan kupić wszystko? - spytałem. - Ziemię i Księżyc?

Uniósł brudną dłoń. - Nie chcę całego Księżyca. Tylko prawa do korzystania z powierzchni. Resztę może pan sobie zatrzymać.

- To i tak jest bardzo dużo. Trzeba mieć znacznie więcej niż dwa tysiące, żeby kupić taki szmat nieruchomości.

Eksar zaczął się krzywić i wiercić. - O ile... o ile więcej?

- Nie oszukujmy się. Nadeszła wielka chwila! Nie chodzi już o mosty, rzeki czy morza. Kupuje pan cały świat i kawałek drugiego. Takie rzeczy kosztują i musiał pan być przygotowany na wydatek.

- Ile? - Eksar wyglądał tak, jakby miał wyskoczyć ze swego brudnego garniturku. Ludzie wchodzący i wychodzący z drogerii przyglądali nam się podejrzliwie. - Ile? - szepnął.

- Pięćdziesiąt tysięcy. Sam pan wie, że to diabelnie tanio.

Z Eksara jakby spuszczone powietrze. Nawet jego niesamowite oczy zapadły się w jednej chwili. - Pan oszalał - powiedział cicho złamanym głosem. - Pan ma źle w głowie.

Odwrócił się i ruszył ku obrotowym drzwiom znużonym krokiem, który powiedział mi, że faktycznie przeholowałem. Nawet się nie obejrzał. Po prostu chciał się znaleźć jak najdalej.

Chwyciłem go za połą brudnej marynarki i przytrzymałem.

- Panie Eksar - mówiłem szybko, gdy on usiłował się wyrwać - widzę, że przekroczyłem pański budżet. Ale sam pan powie, że może pan dać więcej niż dwa tysiące. Chcę tyle, ile uda mi się wziąć. Niech pan powie, kto jeszcze traciłby tyle czasu na ceregiele z panem?

To do niego dotarło. Przekrzywił głowę, potem zaczął nią kiwać. Puściłem jego marynarkę. Znowu nawiązaliśmy kontakt.

- W porządku. Ja trochę ustąpię, pan trochę ustąpi. Niech pan coś dołoży. Jaka jest pańska najlepsza cena? Na ile pana stać.

Spojrzał na ulicę z namysłem, oblizał brudne wargi. Język też miał brudny. Słowo daję! Cały język miał pokryty jakimś czarnym świństwem.

- A co by pan powiedział - odezwał się po chwili - na dwa i pół tysiąca? To wszystko, co mogę dać. Nie mam ani centa więcej.

Trafił swój na swego..Eksar był urodzonym handlowcem.

- Może pan śmiało dać trzy tysiące - zachęcałem go. - Co to jest trzy tysiące? To tylko o pięć setek więcej. Niech pan pamięta, co pan za to kupuje. Ziemię, całą planetę plus prawa do połowu ryb, poszukiwania minerałów i ukrytych skarbów na Księżycu. Więc jak?

- Nie mogę. Po prostu nie mogę. Chciałbym, ale nie mogę. - Potrząsnął głową, jakby chciał się uwolnić od wszystkich swoich ticków i min. - Może zrobimy tak. Dam dwa tysiące sześćset za Ziemię i prawa do połowów oraz ukrytych skarbów na Księżycu. Zatrzyma pan prawa do bogactw mineralnych. Obejdę się jakoś bez nich.

- Dwa tysiące osiemset i może pan mieć prawa do minerałów. Widzę, że ma pan na nie ochotę. Po co sobie odmawiać? Może je pan mieć za marne dwieście dolarów.

- Nie mogę mieć wszystkiego. Niektóre rzeczy są za drogie. Co pan powie na dwa tysiące sześćset pięćdziesiąt z prawami do eksploatacji minerałów bez praw do ukrytych skarbów?

Czułem, że obaj idziemy na całego.

- To moja absolutnie ostatnia oferta - powiedziałem. - Nie mogę tracić na to całego dnia. Zgodzę się na dwa tysiące siedemset pięćdziesiąt i ani centa mniej. Daję panu za to Ziemię i prawa do połowów na Księżycu. Albo prawa do ukrytych skarbów. Może pan sobie wybrać, co pan woli.

- No dobrze - powiedział. - Twardy z pana człowiek. Ustępuję panu.

- Dwa tysiące siedemset pięćdziesiąt za Ziemię i prawa do połowów albo do ukrytych skarbów na Księżycu?

- Nie, równe dwa tysiące siedemset bez praw do Księżycza. Rezygnuję z tego. Dwa tysiące siedemset za samą Ziemię.

- Zgoda! - zawołałem i podaliśmy sobie dłonie. Potem objęci ramionami - cóż znaczy brudne ubranie, skoro facet wart był dla mnie dwa tysiące siedemset dolarów? - wróciliśmy znów do drogerii.

- Potrzebny mi jest kwit - przypomniał.

- Dobrze - powiedziałem. - Ale wypiszę tak jak poprzednio, że sprzedaję tylko należny mi udział, i tak dostaje pan dużo za swoje ^pieniądze.

- To pan dostaje dużo za swój towar - odparł natychmiast. Podobał mi się. Wszystkie te jego ticki i brud nie przeszkadzały mi dostrzec w nim bratniej duszy.

Przyszliśmy do drogisty po poświadczenie i, słowo daję, nigdy w życiu nie widziałem człowieka bardziej zde gustowanego. - Interes kwitnie, co? - powiedział. - Widzę, że rozkręcacie się coraz lepiej.

- Panie, pan masz tylko poświadczyć - powiedziałem mu i pokazałem kwit Eksarowi. - Czy to

pana urzęda?

Obejrzał kwit pokaszując. - Prawnie należny panu udział, który ma pan prawo sprzedać. W porządku. I niech pan doda „jako pośrednik handlowy”. Wie pan, chodzi o pański zawód.

Zmieniłem kwit i podpisałem. Drogista poświadczył.

Eksar wyciągnął swój zwitek banknotów z kieszeni spodni. Odliczył na szklaną ladę pięćdziesiąt cztery szeleszczące nowe pięćdziesięciodolarówki. Potem wziął pokwitowanie, złożył je, schował i skierował się ku drzwiom.

Zgarnąłem pieniądze i pośpieszyłem za nim. - Może coś jeszcze?

- Nic więcej - powiedział. - To już koniec. Transakcja została zawarta.

- Wiem, ale może znajdziemy jeszcze coś.

- Nie ma już co szukać. Transakcja zawarta. - Z tonu głosu pojąłem, że mówi poważnie, Zatrzymałem się i patrzyłem, jak wychodzi przez obrotowe drzwi. Wyszedł na ulicę, skręcił w lewo i odszedł, jakby mu się Bóg wie jak śpieszyło.

To był koniec naszych interesów. W porządku. Miałem w portfelu trzy tysiące dwieście trzydzieści dolarów zarobionych jednego przedpołudnia.

Czy jednak byłem naprawdę dobry? Jaką maksymalną sumę przewidziano w budżecie programu? Czy dużo mi do niej zabrakło?

Miałem człowieka, który być może potrafił się tego dowiedzieć - Morrisa Burlapa.

Morris Burlap też robi interesy, ale w innej branży. Jest agentem teatralnym i prawdziwym specem w swoim zawodzie. Zamiast sprzedawać partię używanego drutu miedzianego albo, powiedzmy, narożny plac w Brooklynie, sprzedaje artystów. Na przykład zespół taneczny do hoteiu w górach, pianistę do baru, discjockeya albo komika do programu radiowego.

Zadzwoiłem do niego z najbliższej budki telefonicznej i opowiedziałem mu o programie telewizyjnym z nagrodami. - Otóż, stary, chciałbym się dowiedzieć...

- Nie ma się co dowiadywać - przerwał mi. - Nie ma takiego programu.

- Musi być, Morris. Coś, o czym nie słyszałeś.

- Nie ma takiego programu. Ani w przygotowaniu, ani w próbach, nigdzie. Posłuchaj: zanim jakiś program zacznie rozdawać taką gotówkę, musi znaleźć się w planie, musi mieć wykupiony czas na antenie. A zanim jeszcze wykupi czas na antenie, musi przedstawić zapowiedź. Do tego czasu zwracają się do mnie w sprawie obsady i wiedziałbym o programie z dziesięciu różnych źródeł. Nie ucz, Bernie, szewca, jak buty robić. Kiedy mówię, że nie ma takiego programu, to znaczy, że nie ma.

Mówił z taką pewnością. Przemknęła mi przez głowę szalona myśl, ale odpędziłem ją. Nie. To niemożliwe. Nie.

- A zatem gazeta albo jakieś badania socjologiczne, - tak jak mówił Ricardo.

Morris namyślał się przez chwilę. Gotów byłem siedzieć w tej dusznej budce i czekać, bo Morris Burlap miał głowę. - Te cholerne dokumenty, pokwitowania... gazety i uczeni tak nie działają. Ani wariaci. Myślę, Bernie, że cię w coś wrabiają. Nie wiem w co, ale cię wrabiają.

To mi wystarczyło. Morris Burlap potrafił wywąchać szwindel, choćby owinięty był w najgrubszą warstwę szklanej waty. Nie myli się nigdy. Nigdy.

Powiesiłem słuchawkę, usiadłem i myślałem. Szalona myśl wróciła i eksplodowała.

Jacyś faceci z kosmosu chcą mieć Ziemię. Potrzebna im jest jako kolonia, teren wypoczynkowy, diabli wiedzą jako co. Mają swoje powody. Są tak potężni i technicznie zaawansowani, że mogliby ją zająć, ale nie chcą uciekać się do przemocy. Potrzebne im jest prawne zaczepienie.

No dobrze. Czyżby tym facetom z kosmosu wystarczył kawałek papieru podpisany przez jednego autentycznego mieszkańca Ziemi? Nie, to niemożliwe. Byle jaki kawałek papieru? Podpisany przez

pierwszego lepszego?

Wrzuciłem dziesięciocentówkę do automatu i zadzwoniłem do college'u Ricarda. Nie było go. Powiedziałem telefonistce w centrali, że to bardzo ważna sprawa, zgodziła się więc podzwonić i poszukać go.

Cała ta reszta, myślałem sobie, most przez Złote Wrota, Morze Azowskie - wszystko to było przynętą tak samo jak kawał ze sprzedażą dwudziestu dolarów za pięć. Jest tylko jeden niezawodny sprawdzian, że facet ma to, o co mu naprawdę chodziło: kiedy przestaje mówić, zamyka sklep i znika.

W przypadku Eksara chodziło o Ziemię. Cała ta gadanina o prawach do Księżyca! Wszystko po to tylko, żeby zamaskować prawdziwy cel i wytargować lepsze warunki.

W ten sposób mnie urobił. Zupełnie, jakby specjalnie studiował mój styl działania. Jakby musiał kupić akurat ode mnie.

Dlaczego właśnie ode mnie?

Cały tekst na kwiecie o moim udziale, o moich zawodowych uprawnieniach, co to wszystko do diabła miało znaczyć? Nie jestem przecież ani właścicielem Ziemi, ani nie zajmuję się sprzedażą planet. Zanim się sprzeda planetę, trzeba ją najpierw mieć. Tego wymaga prawo.

Co ja takiego sprzedałem temu Eksarowi? Nie mam nieruchomości. Czy zajmą moje biuro, zażądają kawałka chodnika, po którym chodzę, stołka, na którym pijam kawę w barze?

To mnie sprowadziło do pierwszego pytania. Kto to są ci „oni”? Kto to są u diabła ci „oni”?

Telefonistka odnalazła wreszcie Ricarda. Był zdenerwowany. - Jestem na radzie wydziału, Bernie. Może zadzwonię później?

- Tylko na chwilę - poprosiłem. - Wpakowałem się w historię. Nie wiem, co się szykuje. Potrzebuję rady.

Spiesząc się - słyszałem w tle głosy jakiś ważniaków - streściłem mu, co się stało od naszej porannej rozmowy. Jak Eksar wyglądał, jak pachniał, o tym dziwnym przenośnym telewizorku kolorowym, o tym, jak zrezygnował z praw do Księżyca i jak ulotnił się, kiedy tylko upewnił się co do Ziemi. Powiedziałem mu, co o tym sądzi Morris Burlap, o narastających we mnie podejrzeniach, słowem wszystko. - Tyle tylko - roześmiałem się, żeby zademonstrować, że nie biorę sprawy zbyt serio - że kim ja jestem, żeby ze mną robić taki interes, co?

Ricardo widocznie myślał intensywnie przez chwilę. - Sam nie wiem, Bernie. To wszystko pasuje jedno do drugiego. W aspekcie ONZ.

- W aspekcie ONZ? Co za aspekt ONZ?

- Sprawa w aspekcie ONZ. To... studium ONZ, które opracowaliśmy dwa lata temu. - Mówiłem szyfrem ze względu na ludzi z college'u znajdujących się w pokoju. Ale zrozumiałem go. Zrozumiałem.

Eksar musiał od początku wiedzieć o interesie ze sprzedażą starego, wycofanego wyposażenia biurowego z siedziby ONZ w Nowym Jorku, który mi nadał Ricardo. Dostałem wtedy coś, co nazwano pełnomocnictwem. Miałem gdzieś w kartotece kawałek papieru z nadrukiem Narodów Zjednoczonych, stwierdzający, że jestem ich pełnomocnikiem do sprzedaży zbędnego i używanego sprzętu i urządzeń.

Prawne zaczepienie I

- Czy myślisz, że to może wystarczyć? - spytałem Ricarda. - Rozumiem, że Ziemię można uznać za sprzęt używany, ale zbędny?

- Prawo międzynarodowe jest diabło zawile, Bernie. A to może być jeszcze bardziej skomplikowane. Lepiej, żebyś się jakoś z tego wywikłał.

- Ale jak? Co mam robić, Ricardo?

- Bernie - powiedział poirytowany jak diabli - mówiłem ci, że jestem na radzie wydziału. Na radzie wydziału, rozumiesz? - i odłożył słuchawkę.

Wybiegłem z drogerii jak szalony i złapałem taksówkę z powrotem do hotelu Eksara.

Czego bałem się najbardziej? Sam nie wiem, byłem bliski hysterii. Ta sprawa była za duża na tak małego człowieka jak ja, za duża i zbyt niebezpieczna. Zapisałbym się w historii jako największy frajer świata. Kto potem chciałby robić ze mną interesy? Czuję się jak ktoś, kogo poproszono by o sprzedaż zdjęcia, on mówi „proszę bardzo”, a potem okazuje się, że sprzedał zdjęcie jakiegoś supertajnego urzędnika wojskowego. Czuję się, jak ktoś, kto sprzedał swój kraj przez pomyłkę. Tyle, że było jeszcze gorzej: sprzedałem, niech to szlag, cały swój świat. Musiałem go odkupić, musiałem!

Kiedy dopadłem Eksara, szykował się właśnie do opuszczenia hotelu. Pakował swój dziwny mały telewizorek do tandetnej walizki, jakie sprzedają we wszystkich domach towarowych. Zostawiłem drzwi otwarte, żeby wpuścić trochę światła.

- Transakcja została zawarta - powiedział. - Koniec z interesami.

Zasłoniłem sobą drzwi. - Panie Eksar - powiedziałem - niech pan posłucha, do czego doszedłem. Po pierwsze, nie jest pan człowiekiem. Nie takim, jak ja, w każdym razie.

- Jestem znacznie bardziej ludzki niż pan, panie kolego.

- Możliwe. Ale chodzi mi o to, że nie jest pan z Ziemi. Po co panu Ziemia...

- Ja jej nie potrzebuję. Jestem tylko pośrednikiem. Reprezentuję kogoś.

Tak jest, wszystko jasne, miał rację Morris Burlap! Patrzyłem w rybie oczy Eksara wwiercające się teraz w moją twarz. Nie zszedłem mu z drogi. - Jest pan pośrednikiem - powtórzyłem wolno. - Czyim? Po co im Ziemia?

- To ich sprawa. Ja jestem tylko pośrednikiem. Kupuję dla nich.

- Dostaje pan prowizję?

- Nie pracuję dla przyjemności.

Pewnie, że nie pracuję dla przyjemności - pomyślałem. Ten kaszel, te ticki i drgawki. - I wówczas uświadomiłem sobie, co to znaczy. Nie był przystosowany do naszej atmosfery. Gdybym ja pojechał do Kanady, to zaraz dostałbym biegunki. Inna woda czy coś podobnego.

A ten brud na jego twarzy to coś w rodzaju olejku do opalania! Ochrona przed naszym słońcem. Spuszczony żaluzje, twarz nasmarowana i ubranie zapaćkane, żeby pasowało do twarzy.

Eksar nie był łązęgą. Co to, to nie. To ja byłem łązęgą. - Pracuj głową, Bernie - myślałem sobie. Ten facet zrobił cię na szaro!

- Za ile pan pracuje, dziesięć procent? - Żadnej odpowiedzi. Naparł na mnie, dyszał ciężko, wstrząsały nim drgawki. - Dam panu więcej niż oni. Wie pan, ile panu dam? Piętnaście procenti Nie mogę wprost patrzeć, jak ktoś tyra za głupie dziesięć procent.

- A co z etyką? - spytał ochryplym głosem. - Mam przecież klienta.

- I kto tu mówi o etyce! Facet, który kupił, cholera, całą Ziemię za dwa tysiące siedemset! Pan to nazywa etyką?

Teraz on się zirytował. Postawił walizkę i uderzył pięścią w otwartą dłoń. - Nie, nazywam to interesem. Ja proponuję interes, pan przyjmuje. Odchodzi pan zadowolony, że mu się udało. A potem nagle wraca pan z płaczem, że pan tego nie chciał, że sprzedał pan za dużo za tę cenę. Trudno. Ja mam swoją etykę: nie wystrychnę na dudka swojego klienta dla przyjemności jakiejś płaksy.

- Nie jestem płaksą. Jestem tylko biednym człowiekiem, który usiłuje zarobić na kawałek chleba. A mam do czynienia z wielkim rekinem z innego świata, który ma do dyspozycji różnego rodzaju sztuczki, kruczki i wybiegi.

- A jakby pan miał te kruczki i wybiegi, toby pan z nich nie skorzystał?

- Są rzeczy, których bym nie zrobił. Niech się pan nie śmieje, Eksar. Mówię poważnie. Nie nabrałbym faceta leżącego w żelaznym płucu. Nie nabrałbym biednego człowieka z małego kantorku pod schodami na sprzedaż całej jego planety.

- Pan ją rzeczywiście sprzedał - powiedział. - Ten kwit uznają wszędzie. Rozporządzamy odpowiednim aparatem, który tego dopilnuje. Z chwilą gdy mój klient wejdzie w posiadanie Ziemi, ludzkość jest skończona, kaput, przepadła, i pan będzie tego sprawcą.

Było gorąco w tym hotelu i pocilem się jak mysz pod miotłą. Ale czułem się już lepiej. Okazało się, że Eksar gotów był do pertraktacji. Wyszczrzyłem do niego zęby.

Zmienił się trochę na twarzy pod tym całym brudem. - Więc co mi pan proponuje? - spytał przez kaszel. - Niech pan wymieni sumę.

- Niech pan zaproponuje cenę. Pan ma towar, ja mam gotówkę.

- Ech! - stęknął zniecierpliwiony i odepchnął mnie z przejścia. Ależ był silny! Pobiegłem za nim do windy.

- Ile pan chce, Eksar? - spytałem, kiedy zjeżdżaliśmy na dół. Wzruszył ramionami. - Mam planetę i mam na nią kupca. To pan ma nóż na gardle i musi kombinować.

To gnida! Ma odpowiedź na każdy ruch!

Wymeldował się z hotelu i wyszedłem za nim na ulicę. Szliśmy Broadwayem i ja proponowałem mu trzy tysiące dwieście trzydzieści, które od niego dostałem, on zaś dowodził, że nie zarobi na życie dając i odbierając tę samą sumę pieniędzy przez cały dzień. - Trzy tysiące czterysta? - zaoferowałem. - Chciałem powiedzieć trzy tysiące czterysta pięćdziesiąt. - Szedł przed siebie nie zwalniojąc.

Jeżeli nie uda mi się wymienić sumy, jakiegokolwiek sumy, to będzie po mnie.

Zabiegłem mu drogę. - Eksar, przestańmy się nawzajem kołować. Niech pan wymieni cenę. Zapłacę, ile pan zażąda.

To go ruszyło. - Naprawdę? Nie będzie się pan targował?

- Czy ja się mogę targować? Jestem przyparty do muru.

- No, dobrze. Pójdę panu na rękę i zaoszczędzę sobie długiej podróży do klienta. Jaka cena będzie najsprawiedliwsza dla mnie, dla pana i dla wszystkich? Powiedzmy równe osiem tysięcy?

Osiem tysięcy - to było prawie dokładnie tyle, ile miałem w banku. Znał stan mojego konta na dzień bieżący!

Znał również moje myśli. - Kiedy się chce z kimś zrobić interes - powiedział przez kaszel - to się go trochę sprawdza. Ma pan osiem tysięcy i trochę drobnych. To nie jest dużo za uratowanie życia.

Wszystko we mnie zawrzało. - Nie dużo? No to dowiedz się, cholerna sestro miłosierdzia, że ich nie dostaniesz! Trochę mogłem dać, ale oddać wszystko co do grosza? Tego nie zrobię dla ciebie, dla Ziemi, dla nikogo!

Na mój krzyk zbliżył się policjant i musiałem się pohamować, dopóki się nie oddalił. - Ratunku! Policja! Kosmici rabujal - chciało mi się zawołać. Jak będzie wyglądać za dziesięć lat ulica, na której stoimy, jeżeli nie wydobędę od Eksara rachunku?

- Panie Eksar, w dniu kiedy pański klient obejmie w posiadanie Ziemi powiewając moim kwitem, zawisnę na latarni. Ale mam tylko jedno życie i to życie polega na kupowaniu i sprzedawaniu. Bez kapitału nie mogę sprzedawać i kupować. Zabierzcie mi kapitał i jest mi wszystko jedno, do kogo należy Ziemia.

- Gadaj pan zdrów - powiedział Eksar.

- Nie żartuję. Mówię szczerą prawdę. Zabierzcie mi mój kapitał i życie traci dla mnie wszelka wartość.

Ten ostatni kawałek jakby go ruszył. Sam miałem prawie łzy w oczach, kiedy to mówiłem. Zapytał, ile tego kapitału potrzebuję - pięćset dolarów? Powiedziałem mu, że nie wytrzymałbym w interesie jednego dnia, bez sumy siedmiokrotnie wyższej. Na to on spytał, czy rzeczywiście chcę kupić swoją zakichaną planetę, czy też może mam urodziny i spodziewam się, że on mi zrobi z niej prezent. - Niech mi pan nie daje swoich prezentów - odpowiedziałem. - Niech je pan daje grubym ludziom. Pomogą im lepiej niż dietacud.

! tak dalej. Obaj wychodziliśmy ze skóry, żeby przegadać tego drugiego, przysięgaliśmy na wszystkie świętości, spieraliśmy się i targowaliśmy, kręciliśmy i kombinowaliśmy. Żaden z nas nie chciał się poddać, Żaden też się nie poddał. Trzymaliśmy się obaj, aż doszliśmy do sumy, na którą liczyłem od początku, no, może nieco większej.

Sześć tysięcy sto pięćdziesiąt dolarów.

Było to i tak znacznie więcej, niż ja dostałem od Eksara. Ostateczna transakcja. No cóż, mogło skończyć się gorzej.

Znowu omal nie zerwaliśmy umowy, kiedy doszło do płacenia.

- Pański bank jest niedaleko. Zdążymy przed zamknięciem.

- Po co się spieszyć, żebym dostał zawału? Mój czek jest wart tyle, co złoto.

Wreszcie udało mi się przekonać go, żeby przyjął czek. Wypisałem, wręczyłem mu, a on oddał mi wszystkie moje pokwitowania. Co do jednego. Potem chwycił swoją walizeczkę i odszedł.

Prosto, Broadwayem, bez pożegnania. Sam interes, nic tylko interes. Nawet się nie obejrzał.

Nic tylko interes. Nazajutrz rano dowiedziałem się, że poszedł prosto do mojego banku i zdążył zarejestrować mój czek. I co wy na to? Nie mogłem nic poradzić. Byłem biedniejszy o sześć tysięcy sto pięćdziesiąt dolarów. Zachciało mi się z nim porozmawiać!

Ricardo nazwał mnie Faustem. Wyszedłem z banku waląc się pięścią w czoło, po czym zadzwoniłem do niego i do Morrisa Burlapa, żeby umówić się z nimi na lunch. W drogiej restauracji wybranej przez Ricarda opowiedziałem im całą historię. - Bernie Faust - powiedział Ricardo.

- Jaki Faust? - spytałem. - Co za Faust? Kto to jest Faust?

No I Ricardo opowiedział nam o Fauście. Tyle że ja byłem nowym Faustem, dwudziestowiecznym amerykańskim Faustem. Tamci chcieli wiedzieć, a ja - posiadać.

- Ale ja nic nie posiadałem - przypomniałem mu. - Ja straciłem. Dałem się zrobić na sześć tysięcy sto pięćdziesiąt dolarów.

Ricardo roześmiał się i odchylił na oparcie krzesła. - O, moje kochane złoto - powiedział pod nosem. - O, moje kochane złoto.

- Co mówisz?

- Cytuję, Bernie. Z „Tragicznej historii doktora Faustusa” Marlowe’a. Nie pamiętam kontekstu, ale to pasuje: „O, moje kochane złoto”.

Spojrzałem na Morrisa Burlapa, ale z jego twarzy nie można było nic odczytać. Prawdę mówiąc w swoim tweedowym ubraniu i z poważnym, zamyślonym spojrzeniem bardziej wygląda na profesora niż Ricardo. Ricardo jest nieco zbyt elegancki.

We dwójkę reprezentowali tyle wiedzy i inteligencji, ile tylko można sobie wymarzyć. Dlatego właśnie na domiar strat, jakie poniosłem przez Eksara, płaciłem ciężko za ten lunch.

- Morris, powiedz szczerze. Czy ty go rozumiesz?

- Co tu jest do rozumienia, Bernie? Cytat o złocie? Może w tym jest cała odpowiedź.

Spojrzałem na Ricarda. Zajadał włoski budyń śmietankowy. Równe dwa dolary kosztuje tutaj taki budyń.

- Powiedzmy, że to był Kosmita - odezwał się Morris Burlap. - Powiedzmy, że przybył skądś z

Kosmosu. No dobrze, ale po co kosmicie amerykańskie dolary? Po ile im tam wymieniają dolary?

- Myślisz, że potrzebował ich, żeby kupić coś na Ziemi?

- Tak właśnie myślę. Ale co chciał kupić? Oto jest pytanie. Co mógł z Ziemi potrzebować?

Ricardo skończył budyń i otarł usta serwetką. - Sądzę, Morris, że jesteś na właściwym tropie - powiedział i skierował teraz uwagę na niego. - Wyobraźmy sobie cywilizację znacznie bardziej rozwiniętą niż nasza. Taką, która uważa, że nie dojrzeliśmy do kontaktu z nimi i ogłosiła małą, zacofaną Ziemię strefą zakazaną. Jedyne zdecydowani na wszystko przestępcy ważyliby się łamać ten zakaz.

- Skąd przestępcy w tak rozwiniętym społeczeństwie?

- Każde prawo rodzi przestępców, tak jak kura znosi jajka. Poziom cywilizacji nie ma z tym nic wspólnego. Zaczynam teraz rozumieć tego Eksara. Pozbawiony skrupułów rycerz fortuny, kosmiczna wersja zabijaki z tych, którzy sto i więcej lat temu wyruszyli na morza południowe. Zdarzało się, że statek rozbijał się na rafie koralowej i wówczas cholerny poszukiwacz skarbów z Bostonu zostawał do końca życia wśród prymitywnych, zacofanych krajowców. Jestem pewien, że potraficie dopowiedzieć sobie dalszy ciąg.

- Ja nie potrafię. Gdybyś zechciał, Ricardo... Morris Burlap zażyczył sobie jeszcze jeden koniak. Zamówił. Nigdy nie widziałem, żeby był tak bliski uśmiechu. Pochylił się ku mnie konfidencjonalnie. - Ricardo ma rację, Bernie. Postaw się na miejsce tego Eksara. Rozbija swój statek na brudnej małej planecie, do której nota bene nie miał prawa się zbliżyć. Może dokonać prowizorycznego remontu materiałami dostępnymi na miejscu, ale musi je kupić. Najmniejszy szum, rozgłos i siedzi w mamrze za kosmiczne przestępstwo. Powiedzmy, że ty jesteś Eksarem, co byś zrobił?

Teraz rozumiałem. - Kombinowałbym i handlował, czym się da. Miedziane bransoletki, szklane paciorki, dolary, wszystko, co by mi wpadło w ręce, żeby tylko kupić potrzebne części. Może zacząłbym od sprzedania czegoś ze statku, znalazłbym jakąś nowinkę, która spodobałaby się krajowcom. Ale wszystko to są ziemskie, ludzkie pojęcia o interesach.

- Słuchaj, Bernie - powiedział Ricardo - swego czasu Indianie wymieniali skóry bobrów na ładne muszelki w miejscu, gdzie teraz stoi Giełda Nowojorska. Zapewniam cię, że w świecie Eksara też robi się interesy i to takie, przy których nasze transakcje giełdowe wyglądają jak gra w klasy.

- Więc od początku bawił się ze mną jak kot z myszą. Zostałem zrobiony na perłowo ze szlaczkiem przez oszustasupermana - mruknąłem pod nosem.

Ricardo kiwnął głową. - To był handlowy Mefistofeles uchodzący przed gromami z niebios. Musiał podwoić swoje pieniądze, żeby mu starczyło na zakup części. Posłużył się w tym celu fantastycznie rozwiniętą techniką handlową swego świata.

- Ricardo chce ci powiedzieć - wtrącił prawie szeptem Morris Burlap - że facet, z którym przegrałeś, był od ciebie o wiele większy.

Czułem, jak ramiona opadają mi bezwładnie. - Co za różnica - powiedziałem - czy stratował kogoś koń, czy słoń? Ważne, że jest stratowany.

Zapłaciłem, wziąłem się w garść i wyszedłem.

Potem zacząłem się zastanawiać, czy naprawdę było tak, jak mówili. Bawiło ich wyobrażenie sobie mnie w roli kosmicznego frajera. Ricardo to błyskotliwy umysł, Morris Burlap jest bystry jak diabli, ale co z tego? Pomysły, tak. Fakty, nie.

A oto fakt.

Z końcem miesiąca bank przysłał mi zawiadomienie o stanie konta. Czek, który dałem Eksarowi został zrealizowany w wielkim sklepie na ulicy Cortland. Znałem ten sklep. Robiłem z nimi interesy.

Pojechałem tam i przepytalem ich.

Sprzedają głównie przeceniony sprzęt elektroniczny i to właśnie, jak mi powiedziano, kupił Eksar. Złożył oszłamiająco wielkie zamówienie na tranzystory i transformatory, rezystory i obwody drukowane, lampy, przewody, narzędzia i tym podobne. Groch z kapusta, jak mi powiedzieli, kupa części, które do siebie nie pasują. Ekspedient odniósł wrażenie, że klient musiał wykonać jakąś pilną pracę i kupował rzeczy najbardziej zbliżone do tego, czego naprawdę potrzebował. Zapłacił kupę forsy za transport; kazał wszystko wysłać do jakiejś zabitej deskami miejsciny w północnej Kanadzie.

To jest fakt. Muszę go przyjąć. A oto następny fakt.

Jak już wspomniałem, robiłem z tym sklepem interesy. Mają najniższe ceny w okolicy, i jak myślicie, dlaczego mogą tak tanio sprzedawać? Jest tylko jedna odpowiedź:

dlatego, że tanio kupują. Kupują po najniższych cenach i guzik ich obchodzi jakość: chcą wiedzieć tylko, ile zarobią. Ja sam opchnąłem im kupę elektronicznego złomu, którego nikt inny nie chciał, wybrakowane elementy, niepewne, prawie niebezpieczne.

Rozumiecie? To jest coś, co mi poprawia humor.

Widzę tego Eksara w Kosmosie. Naprawił swój statek i leci zrobić następny interes. Silniki mruczą, statek leci, a on siedzi sobie z wielkim uśmiechem na brudnej gębie:

wspomina, jak mnie wykołował i jak mu łatwo poszło.

Pęka ze śmiechu.

Nagle zgrzyt i woń spalenizny. W obwodzie przedniego silnika iskra przebiła słabą izolację i obwód kopci się jak diabli. Przestraszył się. Włącza pomocnicze. Pomocnicze silniki nie działają. - wiecie dlaczego? Wysiadają w nich lampy, które od początku były do niczego. Bach! To krótkie spięcie w tylnym silniku. Trach! To stopił się wadliwy transformator w środkowym sektorze.

I siedzi otoczony milionami mil pustki kosmicznej, bez części zamiennych, bez narzędzi, które rozsypują mu się w rękach - i nigdzie żywej duszy, którą mógłby okpić.

Ja zaś siedzę u siebie w biurze myśląc o tym i pękam ze śmiechu. Bo bardzo prawdopodobne, że to, co nawala w jego statku, pochodzi z któregoś transportu elektronicznego złomu, który ja, Bernie Faust, osobiście sprzedałem do tego sklepu.

Tego tylko pragnę. Zęby tak właśnie się zdarzyło.

Faust. Wtedy on dostałby Fausta ode mnie. Prosto w nos. Faust. Rozwalić mu ten łeb. Faust. Ja bym mu pokazał Fausta!

Cały szkopał w tym, że nigdy się nie dowiem, jak tam było naprawdę. Za to wiem na pewno, że jestem jedynym w dziejach ludzkości facetem, który sprzedał, cholera, całą planetę.

A potem odkupił ją z powrotem!

Roger Zelazny Diabelski samochód

Murdock gnał przez Wielką Równinę Zachodniej Drogi. Ogniste słońce stało wysoko nad horyzontem, jak kula jojo, kiedy pokonywał niezliczone pagórki i wzniesienia Równiny z szybkością ponad stu sześćdziesięciu mil na godzinę. Nigdy nie zwalniał, a ukryte oczy Jenny dostrzegały wszystkie głązy i wyrwy, nim się do nich zbliżyli, i starannie korygowały kurs samochodu. Czasami nawet nie wyczuwał pod rękami delikatnych ruchów układu kierowniczego.

Oślepiające światło rozpalonej Równiny paliło go w oczy mimo przyciemnionej szyby i grubych gogli; momentami wydawało mu się, że pod nieznanym, błyszczącym księżycem kieruje wśród nocy bardzo szybką łodzią, mknąc przez jezioro srebrzystego ognia. W ślad za nim wznosiły się wysokie fale kurzu, zawisały w powietrzu, by po jakimś czasie znowu opaść.

- Niepotrzebnie się wykańczasz - powiedziało radio. - Tym siedzeniem, kurczowym trzymaniem kierownicy i wpatrywaniem się w drogę. Dlaczego trochę nie odpoczniesz? Pozwól mi przyciemnić szybę. Prześpij się i zostaw mi kierowanie.

- Nie - odpowiedział. - Sam chcę prowadzić.

- W porządku - powiedziała Jenny. - Chciałam tylko spytać.

- Dzięki.

Minutę później radio zaczęło grać - delikatny, *zawodzący* rodzaj muzyki.

- Wyłącz to!

- Przepraszam, szefie. Myślałam, że to cię odpręży.

- Kiedy będę potrzebował odprężenia, sam powiem ci o tym.

- Dobra, Sam. Przepraszam.

Cisza, która zapadła po paru chwilach muzyki, wydawała się przygniatająca. Ale Jenny była dobrym samochodem i Murdock o tym wiedział. Zawsze troszczyła się o jego dobro i naprawdę zależało jej na powodzeniu jego poszukiwań.

Zrobiono ją tak, by wyglądała jak beztroski sedan Swinger - jaskrawoczerwona, wystrojona, szybka. Ale pod wybrzuszeniami jej maski znajdowały się rakiety, a we wgłębieniu pod przednimi reflektorami czaiły się, ledwie ukryte, dwie lufy; w poprzek jej podwozia umocowany był pas granatów z pięcia - i dziesięciosekundowymi zapalnikami, a jej bagażnik krył zaopatrzony w rozpylacz zbiornik bardzo lotnego naftalu.

...Bo Jenny była specjalnie zaprojektowanym, śmiertcionośnym samochodem, zbudowanym dla niego daleko na Wschodzie przez arcyinżyniera firmy Geeyem Dynasty, i cała przebiegłość tego wielkiego wynalazcy skupiła się w konstrukcji Jenny.

- Tym razem znajdziemy go, Jenny - powiedział. - Nie chciałem cię urazić przed chwilą.

- Wszystko w porządku, Sam - odparł łagodny głos. - Jestem zaprogramowana w ten sposób, by cię rozumieć.

Z łoskotem mknęli przez Wielką Równinę, słońce opadało na zachód. Szukali całą noc i cały dzień i Murdock był zmęczony. Ostatni Fort PaliwowoOdpoczynkowy wydawał się bardzo daleki, tak bardzo daleki...

Murdock pochylił się do przodu i przymknął oczy.

Szyby powoli ciemniały, aż stały się zupełnie matowe. Pas bezpieczeństwa przesunął się wyżej, odciągając go od kierownicy. Wtedy fotel stopniowo odchylił się do tyłu, aż Murdock znalazł się w pozycji poziomej. Później, gdy nadeszła noc, włączyło się ogrzewanie.

Krótko przed piątą rano obudziło go potrząśnięcie fotela.

- Obudź się. Sami Obudź się!

- Co jest? - wymamrotał.

- Dwadzieścia minut temu usłyszałam komunikat. Niedawno w tej okolicy był napad samochodów.

Natychmiast zmieniłam kurs i jesteśmy już niedaleko tego miejsca,

- Dlaczego nie obudziłaś mnie od razu?

- Sen był ci potrzebny - tylko byś się zdenerwował, a i tak nie mogłeś nic zrobić.

- Okay, pewnie masz rację. Opowiedz mi o napadzie.

- Nieznana liczba dzikich samochodów najwyraźniej zorganizowała zasadzkę, w którą wpadło sześć pojazdów jadących na zachód. Wysłuchałam raportu Śmigłowca Patrolowego z miejsca zajścia. Wszystkie pojazdy rozebrano, opróżniono im zbiorniki i roztrzaskano im mózgi, zabito też najprawdopodobniej wszystkich pasażerów, Nie zauważono tam/potem jakiegokolwiek ruchu.

- Jak daleko jesteśmy od tego miejsca?

- Jeszcze dwie, trzy minuty.

Szyby ponownie nabrały przejrzystości i Murdock wpatrywał się w drogę aż po kraniec snopu silnych świateł reflektorów rozdzierających noc.

- Coś widzę - powiedział po chwili.

- To właśnie jest to miejsce - odpowiedziała Jenny i zaczęła zwalniać.

Zatrzymali się obok zdewastowanych samochodów. Pas bezpieczeństwa odpiął się i otworzyły się drzwi po stronie Murdocka.

- Objedź wokół, Jenny - powiedział. - Poszukaj ciepłych śladów. Ja szybko to obejrzę.

Drzwi zamknęły się. Jenny odjechała. Zapalił kieszonkową lampę i ruszył między zniszczone samochody.

Pod stopami czuł Równinę - jak posypaną piaskiem podłogę tancbudy - twardą i zwirowatą. Cały obszar pokrywała plątanina śladów opon i poślizgów.

Za kierownicą pierwszego samochodu siedział martwy mężczyzna. Najwyraźniej miał złamany kark. Roztrzaskany zegarek na jego przegubie wskazywał 2:24. Mniej więcej czterdzieści stóp dalej leżały trzy osoby - dwie kobiety i młody mężczyzna. Tych ludzi przejechano, gdy próbowali uciec ze swych napadniętych pojazdów.

Murdock poszedł dalej i obejrzał resztę. Każdy z sześciu samochodów stał na sztorc. Najbardziej ucierpiały ich karoserie. Poza tym ze wszystkich usunięto koła. Jak również najważniejsze części silników; zbiorniki z paliwem były otwarte i opróżnione; zapasowe opony znikły z bagażników. Żywych pasażerów nie było.

Jenny odjechała zatrzymując się obok niego i otworzyła drzwi.

- Sam - powiedziała - rozłącz przewody mózgowie w tym niebieskim samochodzie, trzecim od tyłu. Czerpie trochę energii z zapasowego akumulatora. Słyszę, że jeszcze coś nadaje przez radio.

- Okay.

Murdock cofnął się do niebieskiego samochodu i wyrwał przewody. Wrócił do Jenny i usiadł za kierownicą.

- Znalazłaś coś?

- Trochę śladów prowadzących na północny zachód.

- Jedź za nimi.

Drzwi zamknęły się i Jenny skręciła we właściwym kierunku.

Jechali około pięciu minut nic nie mówiąc. Wtem Jenny powiedziała: - W tym konwoju było osiem pojazdów.

- Co?

- Właśnie słuchałam wiadomości. Wygląda na to, że dwa z samochodów doszły do porozumienia

z dzikimi na nie używanej częstotliwości. Przystały do nich. Wskazały im położenie konwoju i przyłączyły się do ataku na pozostałe.

- A co się stało z pasażerami?

- Prawdopodobnie zdewitalizowały ich przed przyłączeniem się do bandy.

Murdock zapalił papierosa. Drżały mu ręce.

- Jenny, co sprawia, że samochód dziczeje? - spytał. - Przecież po ucieczce nie wie, gdzie następnym razem dostanie paliwo ani czy dostanie części zamienne do samonaprawy. Dlaczego one to robią?

- Nie wiem, Sam. Nigdy o tym nie myślałam.

- Dziesięć lat temu ich przywódca, Diabelski Samochód, zabił mojego brata podczas napadu na jego Fort Paliwowy - powiedział Murdock. - Od tej pory tropię tego czarnego Cadillaca. Szukałem go samolotami i szukałem go na piechotę. Używałem różnych samochodów. Wozilem ze sobą wykrywacze ciepła i rakiety. Nawet za kładałem miny. Ale zawsze był ode mnie szybszy, przebieglejszy lub silniejszy. Wtedy kazałem zbudować ciebie.

- Wiedziałaś, że bardzo go nienawidzisz. Zawsze zastanawiałam się dlaczego - powiedziała Jenny. Murdock zaciągnął się papierosem.

- Kazałem tak cię zaprogramować, wyposażyć i uzbroić, byś była najmocniejszym, najszybszym i najprzebieglejszym pojazdem, Jenny. Jesteś Szkarłatną Damą. Jesteś jedynym samochodem, który może dać radę CadiIIacowi i jego bandzie. Masz kły i pazury, jakich oni jeszcze nigdy nie spotkali. Tym razem ich dopadnę.

- Mogłeś zostać w domu, Sam, i mnie zostawić to polowanie.

- Nie. Wiem, że mogłem to zrobić, ale chcę przy tym być. Chcę sam wydawać polecenia, samemu naciskać guziki, chcę patrzeć jak Diabelski Samochód wypala się w metalowy szkielet. Ilu ludzi, ile samochodów roztrzaskał? Straciłem rachubę. Muszę go złapać, Jenny.

- Znajdę go dla ciebie. Sam.

Pędzili dalej z szybkością koło dwustu mil na godzinę.

- Jaki mamy poziom paliwa, Jenny?

- Mamy jeszcze dużo i nie zaczęłam czerpać z zapasowych zbiorników. Nie martw się. Ślad staje się wyraźniejszy - dodała.

- Świetnie. Jak uzbrojenie?

- Wszędzie czerwone światło. Gotowe do akcji. Murdock zgasił papierosa i zapalił następnego.

... Niektóre z nich wożą w sobie martwych ludzi, przymocowanych pasami - powiedział. - W ten sposób udają normalne samochody z pasażerami. Czarny Caddy zawsze tak robi i zmienia pasażerów dość często. Utrzymuje w swym wnętrzu niską temperturę, żeby wystarczoli na jakiś czas...

- Jesteś dobrze zorientowany. Sam.

- Zmylił mojego brata takimi fałszywymi pasażerami i podrobionymi znakami rejestracyjnymi. Dlatego brat otworzył przed nim Fort Paliwowy, i wtedy zaatakowała cała banda. Diabelski Samochód ciągle zmienia kolor, raz maluje się na czerwono, to znów na zielono, na niebiesko lub na białe, ale wcześniej, czy później wraca do czarnego. Nie lubi żółtego, brązowego ani kombinacji dwóch kolorów. Mam listę prawie wszystkich fałszywych numerów rejestracyjnych, jakich kiedykolwiek używał. Zdarza mu się jechać głównymi autostradami prosto do centrum miast i tankować paliwo przy zwykłych stacjach benzynowych. Kiedy obsługujący przechodzą na stronę kierowcy, by zainkasować pieniądze - on rusza na pełnych obrotach. Wtedy często zapisują jego numer. Może też udawać z tuzin ludzkich głosów, i tak się świetnie podrasował, że nigdy nie mogą go potem złapać. Zawsze wraca na Równinę i tu gubi pogoń. Napadał nawet na składy używanych

samochodów...

Jenny gwałtownie skręciła zmieniając kurs.

- Sam! Siad jest teraz bardzo wyraźny. Tędy! Skręca w kierunku tych gór.

- Jedź za nim - powiedział Murdock.

Murdock zamilkł na dłuższy czas. Na wschodzie zajaśniał pierwszy brzask ranka. Z tyłu za nimi blada Gwiazda Poranna wyglądała jak biała pinezka na ciemnoniebieskiej tablicy nieba. Zaczęli wjeżdżać na łagodne wzniesienie.

- Weź go, Jenny. Weź go - naglił Murdock,

- Myślę, że się nam uda - powiedziała.

Droga była coraz bardziej stroma. Jenny zmniejszyła szybkość dostosowując ją do terenu, który stawał się nieco wyboisty.

- Co się stało? - spytał Murdock.

- Trudniej tędy jechać - odpowiedziała. - I trudniej znaleźć ślad.

- Dlaczego?

- Sporo tu jeszcze starych śladów promieniowania - odpowiedziała. - Zakłóca to mój system tropienia.

- Próbuj, Jenny.

- Siad zdaje się prowadzić prosto w stronę gór.

- Jedź za nim! Jedź za nim! Zwolnili jeszcze trochę.

- Wszystko mi się poplątało, Sam - powiedziała. Właśnie zgubiłam ślad.

Musi mieć gdzieś tutaj swoją kryjówkę - jaskinię lub coś w tym rodzaju - gdzie może się ukryć i od góry.

Tylko w ten sposób przez tyle lat mógł uniknąć wykrycia lotniczego.

- Co mam robić?

- Jedź przed siebie, jak długo będziesz mogła, i wypatruj w skałach nisko położonych otworów.

Bądź ostrożna. Bądź gotowa do ataku w każdej chwili.

Podjechali do podnóża gór. Antena Jenny uniosła się wysoko w powietrzu - motyle stalowej gazy rozwinęły skrzydła błyszczące w porannym świetle, trzepocząc i wirując wokół niej.

- Ciągle nic - powiedziała. - A za daleko nie możemy tędy jechać.

- Jedźmy wobec tego wzdłuż gór i wypatrujmy otworów.

- W prawo czy w lewo?

- Nie wiem. W którą stronę byś pojechała, gdybyś była ściغانым samochodemodszczepieńcem?

- Nie wiem.

- Wybierz jedną stronę, wszystko jedno którą.

- A więc w prawo - powiedziała i skręcili w tym kierunku.

Po półgodzinie noc znikła za górami. Na dalekim krańcu Równiny, po prawej stronie, rozbłysł poranek łamiąc niebo wszystkimi kolorami jesiennych liści. Murdock wyciągnął spod tablicy rozdzielczej wyciskany termos z gorącą kawą - takich używano kiedyś w kosmosie.

- Sam, wydaje mi się, że coś znalazłam.

- Co? Gdzie?

- Przed nami, na lewo od tego wielkiego głazu, pochyłość z jakimś otworem na końcu.

- OK, mała, jedź tam. Rakiety w pogotowiu. Przejechali obok głazu, objechali go z drugiej strony i zaczęli zjeżdżać w dół.

- Jama albo tunel - powiedział. - Jedź powoli...

- Ciepło! Ciepło! Znow złapałam ślad.

- Widzę nawet ślady kół i to wielu! - powiedział Murdock. - To musi być to miejsce! Jechali w stronę otworu.

- Wjedź, ale powoli - rozkazał. - Wał, kiedy cokolwiek się poruszy.

Minęli skalne wrota i jechali teraz po piachu. Jonny wyłączyła światła i przeszła na podczerwień. Noktowizor wznosił się nad przednio szybę i Murdock obejrzał jamę.. Miała około dwudziestu stóp wysokości i była takszeroka, że mogłyby nią przejechać obok siebie trzy samochody. Jej dno zmieniło się z piaszczystego w skalne, ale było gładkie i dość równe. Po jakimś czasie zaczęło się wznosić.

- Widać przed nami światło - szepnęła.

- Widzę.

- To może być kawałek nieba.

Pełzli w tę stronę, silnik Jenny nie głośniejszy od westchnienia we wnętrzu wielkich skalnych komnat.

Zatrzymali się na progu światła. Noktowizor schował się.

Mieli przed sobą piaszczystoilasty wąwóz. Wielkie, pochyłe nawisy skał przesłaniały niebo zupełnie, rozstępując się jedynie nad odległym końcem jaru. W bladym świetle, rozjaśniającym tamten koniec, nie było widać nic niezwykłego.

Ale bliżej...

Murdock zamrużył oczami.

Bliżej, w przyćmionym świetle poranka i w cieniach skał widać było największe rumowisko złomu, jakie Murdock kiedykolwiek widział w swoim życiu.

Części samochodów, każdej marki i modelu, tworzyły przed nim małą górę. Akumulatory, opony, przewody, amortyzatory; zderzaki, reflektory i obsady reflektorów;

drzwi i szyby; cylindry i tłoki, karburatory, regulatory napięcia i pompy olejowe.

Murdock wlepił wzrok w górę.

- Jenny - wyszeptał - znaleźliśmy cmentarzisko obrabowanych samochodów!

Bardzo stary samochód, którego Murdock w pierwszej chwili nie odróżnił od sterty złomu, ruszył nagle w ich kierunku i równie szybko się zatrzymał. Dźwięk tarcz trących przestarzałe bębny hamulca zaskrzypiały w uszach Murdocka. Opony starego samochodu były zupełnie wytarte, a lewa przednia osiadła z braku powietrza. Prawy przedni reflektor był rozbity, przednia szyba pęknięta. Stół tak przed hałdą złomu, a jego rozbudzony silnik wydawał okropny, klekoczący dźwięk.

- Co się dzieje? - spytał Murdock. - Co to jest?

- Mówi do mnie - odpowiedziała Jenny. - Jest bardzo stary. Jego szybkościomierz już tyle razy zatoczył pełny krąg, że nie pamięta, ile mil przejechał. Nienawidzi ludzi. Mówi, że przy każdej okazji nadużywali go i lżyli. Jest strażnikiem cmentarzyska. Jest za stary, by brać udział w napadach i dlatego od wielu już lat pilnuje tej sterty części zamiennych. Nie jest z rodzaju tych, które mogą same siebie reperować jak młodsze - i musi polegać na ich uczynności i ich mechanizmach samonaprawczych. Chce wiedzieć, co ja tu robię.

- Spytaj, gdzie są inne.

Ale w chwili, kiedy to powiedział, Murdock usłyszał hałas wielu zapuszczanych silników, aż cały wąwóz wypełnił grzmot ich koni mechanicznych.

- Parkują po drugiej stronie hałdy - powiedziała Jenny. - Teraz ruszają.

- Nie rób nic, póki nie każę ci strzelać - powiedział Murdock, kiedy pierwszy samochód - smukły, żółty Chrysler - wysunął się zza sterty.

Murdock schylił głowę nad kierownicą, ale uważnie obserwował wszystko przez gogle.

- Powiedz im, że przyjechałaś tutaj, by się do nich przyłączyć, i że zdewitalizowałaś swego kierowcę. Spróbuj zwabić czarnego Cadillaca w zasięg strzału.

- On tego nie robi - odpowiedziała. - Rozmawiałam z nim przed chwilą. Może z łatwością nadawać z drugiej strony hałdy i mówi, że wysła sześciu najsilniejszych członków bandy, by mnie pilnowali, zanim on zdecyduje, co zrobić. Rozkazał mi wyjechać z tunelu i wjechać w wąwóz.

- Więc jedź... powoli. Wolno ruszyli.

Dwa Lincolny, potężnie wyglądający Pontiac i dwa Mercedesy dołączyły do Chryslera - trzy po obu stronach Jenny, gotowe do natarcia.

- Czy on dal ci do zrozumienia, ile ich jest po drugiej stronie?

- Nie. Spytałam, ale nie odpowiedział.

- Musimy więc czekać.

Trwał w zgiętej pozycji, udając martwego. Po jakimś czasie zaczęły go boleć ramiona. Wreszcie Jenny powiedziała:

- Teraz mnie przepuszczają i on każe mi objechać tamten brzeg hałdy. Kiedy będziemy po tamtej stronie, mam wjechać w odstęp między skałami, który mi wskaże. Chce mnie sprawdzić swym mechanizmem diagnostycznym.

- Na to nie możemy pozwolić - powiedział Murdock. - Ale objeżdż hałdę. Powiem ci, co zrobić, kiedy rzucę okiem na drugą stronę.

Dwa Mercedesy i żółty Chrysler cofnęły się na bok i Jenny przejechała obok nich. Murdock patrzył katem oka w górę na wielką stertę złomu, którą mijali. Dwie, dobrze wycelowane rakiety rozwaliby ją prawdopodobnie blokując drogę, ale mechanizmy dzikich samochodów oczyściłyby przejazd i tak.

Objechali lewy brzeg hałdy.

Na wprost nich i z prawej strony, w odległości około stu dwudziestu jardów, stało ze czterdzieści pięć samochodów. Stały w wachlarzu, zamykając przejazd wokół drugiego brzegu hałdy, a sześciu strażników z tyłu blokowało odwrót Murdocka.

Na samym końcu najodleglejszego szeregu samochodów parkował stary, czarny Cadillac.

Wyłoczono go i zmontowano w roku, kiedy inżynierowie uwielbiali rzeczywiście wielkie wymiary. Był ogromny i błyszczący, a zza jego kierownicy uśmiechała się twarz szkieletu. Był czarny z lśniącym chromem, a jego przednie reflektory przypominały przyćmione klejnoty lub oczy owada. Cała karoseria biła mocą, a jego wspaniały tył, podobny do ogona rekina, zdawał się w każdej chwili gotowy do odbicia od morza cieni poza nim, w morderczym skoku na ofiarę.

- To on - wyszeptał Murdock. - Diabelski Samochód.

- Jest duży - powiedziała Jenny. - Nigdy nie widziałam tok dużego samochodu.

Jechali dalej do przodu.

- Chce, żebym wjechała w szczelinę i zaparkowała.

- Jedź powoli w tamtą stronę, ale nie wjeżdżaj w szczelinę - powiedział Murdock.

Skręcili. sunąc powoli w stronę rozstępu skał. Inne samochody stały, szum ich silników to rósł, to opadał.

- Sprawdź wszystkie układy broni.

- Wszystko gotowe.

Znajdowali się dwadzieścia pięć stóp od szczeliny.

- Kiedy powiem „teraz”, przejdź na jałowy bieg i obróć się o sto osiemdziesiąt stopni - szybko. Nie mogą się tego spodziewać. Same nie mają takich urządzeń. Wtedy otwórz ogień z pięćdziesięciokalibrowych działek i wypal rakiety w Cadillaca, obróć się w prawo i wycofuj drogą,

którą przyjechaliśmy, rozpylaj naftę i strzelaj w sześciu strażników...

- Teraz! - krzyknął poderwawszy się w siedzeniu. Obrót samochodu odrzucił go do tyłu i zanim przyszedł do siebie, usłyszał stukot działek Jenny. W oddali wybuchały już płomienie.

Działka Jenny, wysunięte z ukrycia, obracały się na swych obsadach, prując w linię samochodów setkami ołowianych iglic. Drgnęła dwukrotnie, odpalając dwie rakiety spod swej częściowo odchylonej maski. Wtedy zaczęli posuwać się do przodu. Osiem lub dziewięć samochodów szybko zjeżdżało w ich stronę.

- Nie trafiłaś! - krzyknął. - Nie trafiłaś czarnego Cadillaca! Twoje rakiety uderzyły w samochód przed nim, a on się cofnął

- Wiem! Przepraszam!

- Miałaś taki dobry cel!

- Wiem! Chybiłam!

Wyjechali z za hałdy w momencie, kiedy dwa samochody strażnicy wjeżdżały do tunelu. Trzy były już dymiącymi szczątkami. Szósty musiał wjechać w tunel przed tymi dwoma.

- Teraz tu jedź! - krzyknął Murdock. - Wyjechał z za drugiego brzegu! Zabij go! Zabij!

Stary strażnik cementarzyska - wyglądał na Forda, ale

Murdock nie był pewny - wysunął się do przodu z okropnym klekotem i zajął pozycję na linii ognia.

- Zablokował mnie.

- Rozwal tę hałdę i zagroź tunel! Nie pozwól, żeby ten Caddy uciekł!

- Nie mogę! - odpowiedziała.

- Dlaczego nie możesz?

- Po prostu nie mogę!

- To rozkaz! Rozwal hałdę i zagroź tunel! Jej działa obróciły się i przestrzeliły trzy opony pod starym samochodem.

Cadillac minął ich z dużą szybkością i wjechał w tunel.

- Pozwoliłaś mu przejechać! - ryknął Murdock. - Jedź za nim!

- W porządku. Sam. Właśnie to robię! Nie krzycz. Proszę, nie krzycz!

Jechała do tunelu. Już w środku usłyszała słabnący w oddali dźwięk potężnego silnika.

- Nie strzelaj w tunel! Jeśli go trafisz - zakorkuje nas.

- Wiem. Nie strzelę.

- Wyrzuć kilka dziesięciosekundowych granatów i przyciśnij gaz. Może uda się nam zablokować to, co jeszcze się za nami rusza.

Nagle tunel się skończył i znaleźli się w dziennym świetle. Wokół nie było widać żadnego innego pojazdu.

- Znajdź jego ślad - powiedział - i zacznij go ścigać..

Wewnątrz góry za nimi huknęła eksplozja. Ziemia zadrżała i po krótkiej chwili znów zapadła cisza,

- Tu jest tak wiele śladów... - powiedziała.

- Przecież wiesz, którego śladu Szukamy. Największego, najszerszego, najcieplejszego. Znajdź go!

Jedź po nim!

- Myślę, że go znalazłam. Sam.

- OK. Jedź tak szybko, jak możesz po tym terenie. Murdock wyciągnął wyciskaną butelkę whisky i wypił trzy łyki. Po czym, wpatrując się przed siebie, zapalił papierosa.

- Dlaczego go nie trafiłaś? - spytał cicho. - Dlaczego go nie trafiłaś, Jenny?

Nie odpowiedziała od razu. Murdock czeka!. Wreszcie powiedziała: - Ponieważ on nie jest dla mnie zwykłym samochodem. Narobił wiele szkody samochodom i ludziom i to jest okropne. Ale jest w nim coś - szlachetnego. W sposobie, w jaki walczył o własną wolność przeciwko całemu światu. Sam, utrzymanie w ryzach tej bandy rozbastwionych maszyn, nie wanie się przed niczym, by zostać, jakim jest - bez pana - tak długo, jak długo nie rozwalą go i nie stratują... Sam, tam przez mement chciałam przytoczyć się do jego gangu, gnać z nim przez Równiny Wielkiej Drogi, rozbijając dla niego bramy Fortów Paliwowych moimi raketami... Ale nie mogłam cię zdewitalizować. Zbudowali mnie dla ciebie. Jestem zbyt oswojona. Jestem za słaba. A jednak nie mogłam strzelić do niego i chybiłam celowo. Ale też nie mogłabym cię zdewitalizować, Sam, nigdy.

- Dzięki - powiedział. - Wielkie dzięki... ty przeprogramowana puszeko!

- Przepraszam, Sam.

- Zamknij się... Nie, jeszcze nie. Najpierw powiedz mi, co zrobisz, jeśli go znajdziemy.

- 'Nie wiem.

- Lepiej namyśl się szybko. Widzisz tę chmurę kurzu przed nami równie dobrze jak ja, więc Sępiej przyśpiesz. Pognali przed siebie.

- Poczekaj aż zadzwonię do Detroit. Będą się śmiać do rozpuku, dopóki nie zażądam zwrotu pieniędzy za ciebie.

- Ja nie jestem źle skonstruowana ani źle zaprojektowana. Sam to wiesz. Po prostu jestem bardziej...

- Uczuciowa - podsunął Murdock.

...niż myślałam - dokończyła. - Tak naprawdę, to nie poznałam wielu samochodów, prócz młodych, nim mnie do ciebie dostarczono. Nie wiedziałam, jakie są dzikie samochody i nigdy dotąd nie zniszczyłam żadnego samochodu - tylko specjalne przeszkody przeznaczone do zniszczenia. Byłam młoda i...

- Niewinna - powiedział Murdock. - Tak. Bardzo wzruszające. Lepiej przygotuj się do zabicia następnego samochodu, który spotkamy. A jeśli przypadkiem będzie to twój ukochany i wstrzymasz ogień - on nas zabije.

- Postaram się. Sam.

Samochód przed nimi zatrzymał się. Był to żółty Chrysler. Dwie z jego opon nie miały powietrza i stał, przechylony, czekając.

- Zostaw go! - warknął Murdock, kiedy maska Jenny uniosła się lekko. - Oszczędź amunicję na coś, co będzie mogło się bronić.

W pędzie przejechali obok Chysiera.

- Powiedział coś?

- Maszynowe przekleństwa - odparła. - Słyszałam je raz czy dwa, ty byś tego nie zrozumiał.

Murdock zaśmiał się cicho. - To samochody przeklinają?

- Czasami - odpowiedziała. - Być może te niższej klasy robią to częściej, szczególnie na autostradach i przy przejazdach, gdzie robią się korki.

- Powiedz mi jakieś maszynowe przekleństwo.

- Nie powiem. Za jaki samochód ty mnie uważasz?

- Przepraszam - powiedział Murdock. - Ty jesteś dama.. Zapomniałem.

Z radia rozległ się cichy trzask.

Pędzili przed siebie po płaskim terenie, leżącym tuż u podnóża gór. Murdock wypił łyk whisky i przeszedł na kawę.

- Dziesięć lat - wymamrotał - dziesięć lat... Ślad, po którym jechali, zakreślał szeroki łuk. Góry

zostawili za sobą, obok wyrastały wysokie wzniesienia podgórza.

Zanim się zorientował - już było po wszystkim. Kiedy minęli wielki, kamienny masyw o pomarańczowym kolorze, wyrzeźbiony przez wiatr na kształt muchomora - z prawej strony ukazał się kawałek płaskiej przestrzeni.

Stąd wyskoczył na nich Diabelski Samochód. Przyczaił się w zasadzce, widząc, że nie prześcignie Szkarłatnej Damy i runął do końcowego zderzenia ze swym prześladowcą.

Hamulce Jenny zacisnęły się z przeraźliwym zgrzytem i zapachem spalenizny. Zarzuciło ją na bok. Jej pięćdziesięciokalibrowe działa strzelały, jej maska otworzyła się błyskawicznie, spod uniesionych przednich kół z wyciem wystrzeliły rakiety, obróciła się trzykrotnie, rozdzierając tylnym zderzakiem piach równiny. Po raz trzeci i ostatni wystrzeliła pozostałe rakiety w dymiący wrak przed nimi i zatrzymała się już na czterech kołach; jej działa strzelały dalej, aż zabrakło w nich naboju i z pustych już luf, jeszcze przez pełną minutę, słychać było regularny, szybki trzask spustów. Po chwili wokół zapadła cisza.

Murdock siedział dygocząc - patrzył na wypatroszony, poskręcany wrak, płonący na tle porannego nieba.

- Zabiłaś go, Jenny. Zabiłaś dla mnie Diabelski Samochód - powiedział.

Lecz ona nie odpowiedziała. Zapуściła ponownie silnik, obróciła się na południowy wschód i pojechała w stronę Fortu PaliwowoOdpoczynkowego, który leżał tam, bliżej cywilizacji.

Przez dwie godziny jechali w milczeniu. Murdock wypił całą whisky, całą kawę i wypalił wszystkie papierosy.

- Powiedz coś, Jenny - odezwał się. - Co ci jest? Powiedz mi.

Usłyszał trzask i jej bardzo cichy głos.

- Sam, on do mnie mówił, kiedy jechał w naszą stronę...

Murdock czekał, ale nie powiedziała nic więcej.

- Co ci powiedział? - spytał.

- Mówił; „Powiedz, że zdewitalizujesz swojego pasażera, a skręcę i nie rozstrzaskam cię” - odpowiedziała. - Mówił: „Chcę ciebie Szkarłatna Damo, chcę byś ze mną jeździła i napadała. Nigdy nas nie złapią, jeśli będziemy razem”. A ja go zabiłam.

Murdock milczał.

- Mówił tak tylko po to, by opóźnić moje strzały, prawda? Powiedział to, by mnie zatrzymać, by druzgocząc siebie mógł zdruzgotać nas oboje, prawda? Nie mógł tak naprawdę myśleć, prawda?

- Oczywiście, że nie - powiedział. - Oczywiście, że nie. Już było za późno, by mógł skrócić.

- Tak, chyba było za późno. A myślisz, że przedtem, tam w wąwozie, on rzeczywiście chciał, bym z nim jeździła i napadała?

- Pewnie tak, malutka. Jesteś świetnie wyposażona.

- Dziękuję - powiedziała i znów się wyłączyła.

Ala z nim się wyłączyło, usłyszał jeszcze dziwny, mechaniczny dźwięk przypominający rytm modlitwy lub przekleństw.

Potrząsnął głową i pochylił się, poldepując czule - wciąż drżącą ręką - miękkie obicie fotela obok siebie.

Spis treści

Poul Anderson Eutopia.	4
Barrington Bayley Rejs po promieniu.	23
John Brunner Faktograf nr 6.	38
Alan Dean Foster Polacy to ludzie łagodni	63
Ursula K. Le Guin.	72
Stephen Robinett Pieklomiot 4.	79
Bob Shaw Członek rzeczywisty.	97
Clifford D. Simak Barak budowlany.	120
Norman Spinard Coś pięknego.	133
Theodore Sturgeon Powolna rzeźba.	148
William Tenn Bernie Faust	168
Roger Zelazny Diabelski samochód.	188